

JAYNE ANN KRENTZ

*"Powiedz że mnie
kochasz*

ROZDZIAŁ 1

Kiedy Case McCord wjechał swym srebrnym ferrari na łukowaty podjazd przed domem, zauważył z niepokojem, że mały, czerwony ford, własność Pru, stoi tuż przy schodach prowadzących do otwartych na oścież drzwi domu. Na podjeździe był zaparkowany jeszcze jeden znajomy samochód, nieprawdopodobnie długi, staroświecki biały cadillac El Dorado, którego chromowane części lśniły w popołudniowym słońcu. McCord zauważył go kątem oka.

Całą uwagę skupił na czerwonym fordzie. Bagażnik samochodu był otwarty, a Steve Graham, młody człowiek, którego McCord zatrudnił przed paroma miesiącami do pomocy w ogrodzie, usiłował właśnie umieścić jedną z pękatek walizek Pru w niewielkiej przestrzeni przewidzianej na bagaż.

Czyżby rzeczywiście chciała spełnić swą groźbę? - zadał sobie w duchu pytanie. Nie bardzo chciał w to uwierzyć. Wprawdzie zapowiedziała, że od niego odejdzie, ale wówczas nie potraktował tego poważnie. Uznał, że nie zdobyłaby się na tak odważny krok. Czy teraz przyjdzie mu zmienić zdanie?

Z piskiem hamulców zatrzymał ferrari tuż za fordem

i szarpnięciem otworzył drzwiczki. Steve Graham przestał mocować się z oporną walizką i obejrzał się przez ramię. Niepokój, widoczny na jego młodzieńczej, spalonej morskim wiatrem i słońcem twarzy, przeszedł w wyraźną ulgę.

- O, kurczę, jak to dobrze, że pana widzę, panie McCord. Złapał pan wcześniejszy samolot, prawda? Tak się bałem, że nie zdąży pan na czas. Mamy tu niezłe zamieszanie. Pru zakomunikowała nam, że wyjeżdża. Na zawsze. Martha dostała ataku nerwowego, a pan Arlington ciągnie pańską whisky, jakby dziś miał nastąpić koniec świata. Przed godziną przybyli dostawcy i teraz błąkają się po domu, całkiem zbici z tropu. Pru nie chciała z nimi rozmawiać i nie wydała im żadnych poleceń. Pańscy goście zjawią się tu za jakieś dwie godziny, a Pru twierdzi, że do tego czasu będzie daleko stąd.

- Odnoszę wrażenie - wycedził McCord z groźną miną - że Pru nie chodzi o to, żeby wyjechać przed gośćmi. Przypuszczam, więcej, jestem pewny, że zamierzała wymknąć się przed moim powrotem do domu. Dobrze wie, że ze mną nie pójdzie jej łatwo.

Z twarzy Steve'a znikł chłopięcy optymizm. Młody człowiek zamrugał nerwowo, nie odrywając wzroku od pracodawcy, i odkaszlnął.

- Powiedziała, że wróci pan dopiero wieczorem.

- Pomyliła się - burknął McCord. -I to bardzo. - Powiedziawszy to, obrócił się na pięcie i pospiesznie skierował ku schodom. Kiedy przecinał podjazd, żwir zachrzęścił pod jego stopami, tak energicznie stawiał kroki. Brał po dwa stopnie naraz. Na szczycie schodów zatrzymał się na moment, odwrócił i rzucił do Steve'a:

- Wyjmij tę walizkę z bagażnika. Pru nigdzie nie pojedzie.

- Mówiła, że chce stąd wyjechać najpóźniej za piętnaście minut.

- Wyjmij tę cholerną walizkę z samochodu, Graham, bo jak tego nie zrobisz, to stracisz robotę.

Steve Graham pracował u Case'a McCorda wystarczająco długo, by czuć respekt przed zwodniczo łagodnym brzmieniem jego głosu, nawet jeśli nie do końca uwierzył w groźbę. Kiedy McCord wpadał w złość, nigdy nie podnosił głosu. Wręcz przeciwnie - mówił wówczas cicho, bez emocji i z przejmującym chłodem.

Wyciągając bagaż z małego schowka, Steve w pośpiechu zarysował bok walizki. Utkwił przerażony wzrok w rysie, ale po chwili westchnął z rezygnacją. Najwyżej odkupi tę cholerną walizkę. Lepsze to, niż narażać się na atak wściekłości pracodawcy.

A nie ulegało wątpliwości, że Case McCord jest wściekły.

Prudence Kenyon była w kuchni, zajęta uspokajaniem gospodyni, Marthy Hewett, kiedy usłyszała kroki McCorda w holu. Na moment przymknęła powieki, zirytowana i rozżalona na samą siebie. Powinna była się pospieszyć. Nie należało zważać na przeszkody w rodzaju wizyty J.P. czy ataku nerwowego Marthy. A przede wszystkim powinna była przewidzieć, że w ostatniej chwili coś może przeszkodzić w realizacji jej planu.

I tak się właśnie stało. McCord na pewno złapał wcześniejszy samolot do San Diego. Miał wracać przynajmniej godzinę później.

- Och, Bogu dzięki, że przyjechał pan McCord. - Martha Hewett wyraźnie się odprężyła, a jej ciężki oddech cudownym zrządzeniem losu zaczął się wyrównywać. Schowała fiolkę do szafki, nie wziawszy ani jednej ze znajdujących się w niej małych niebieskich pigułek. Oczy rozbłysły jej nadzieją. - On się wszystkim zajmie, zobaczysz. - Poklepała Pru po ramieniu, natychmiast odwracając role i przeobrażając się z osoby chorej, wymagającej opieki, w pocieszycielkę.

Pru miała akurat tyle czasu, by przesyć wzrokiem gospodynię, najwyraźniej bardzo zadowoloną z obrotu rzeczy. Atak nerwowy minął w mgnieniu oka, jak ręką odjął. Niska, tęga pięćdziesięciolatka uśmiechała się pogodnie, a w jej żywych, orzechowych oczach malowała się ulga.

- Gratuluję szybkiego powrotu do zdrowia, Martho - zauważyła szorstko Pru. W tym momencie wahadłowe drzwi kuchni odskoczyły tak gwałtownie, że zadzwoniła porcelana, pieczołowicie poustawiana w kredensie. Dwaj kelnerzy, którzy przybyli z dostawcą, aż podskoczyli. Pru nawet nie odwróciła głowy. Nie musiała. Wiedziała, kto właśnie wkroczył do przestronnej, lśniącej czystością kuchni. - Pewnie wcale nie potrzebujesz tego lekarstwa - dodała jeszcze.

Ale gospodyni nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Wzrok miała utkwiony w potężnym mężczyźnie, który, mimo że stał w progu, zdawał się wypełniać sobą całe pomieszczenie.

- Wcześniej pan wrócił, panie McCord. Tak się cieszę. Mamy tu coś na kształt kryzysu - poinformowała po-

spiesznie. - Nic, z czym nie można by się uporać przed przybyciem gości - dodała prędko. - Gdy pan tylko zechce porozmawiać z Pru, na pewno wszystko się ułoży. Ona jest trochę zdenerwowana.

- Czy to prawda, Pru? Jesteś trochę zdenerwowana?

Pru, nie dając się zwieść pozornej łagodności w jego głosie, na chwilę wzniosła oczy ku górze w cichym błaganiu, po czym, zmobilizowawszy wszystkie siły, odwróciła się ku nowo przybyłemu z chłodnym uśmiechem.

- Bynajmniej, McCord. Jeśli o mnie chodzi, wszystko jest pod kontrolą. Wydawało mi się, że Martha ma jeden z tych swoich ataków, ale najwyraźniej się myliłam. Teraz wybaczone mi oboje, ale na mnie czas.

Odważnie ruszyła do drzwi, spodziewając się, że McCord odruchowo zejdzie jej z drogi. Naturalnie przeliczyła się. Nawet nie drgnął. Stał w milczeniu, blokując przejście tak skutecznie jak opancerzony czołg, aż w końcu była zmuszona zatrzymać się parę kroków przed nim. Ponure spojrzenie zmrużonych oczu przesunęło się po niej od czubka głowy do stóp, zatrzymując się kolejno na dopasowanym zielonym sweterku, obcisłych dżinsach i sandałkach. Niewątpliwie nie był to strój stosowny do podejmowania ważnych osobistości, których oczekiwano tego wieczoru.

- A więc - mruknął stanowczo zbyt łagodnie McCord, krzyżując ramiona na szerokiej piersi i opierając się nonszalancko o framugę - mówiłaś poważnie. Naprawdę zamierzałaś wyjechać.

Pru wzięła głęboki oddech, modląc się w duchu, by McCord nie zorientował się, że cała drży.

- Oczywiście, że mówiłam poważnie. Jak najbardziej poważnie. Przynajmniej tyle mamy ze sobą wspólnego. Żadne z nas nie posługuje się groźbami na niby. Po prostu nie zmieściłam się w czasie i tyle. Miałaś wrócić za godzinę.

- Spóźniłaś się, fakt. - McCord oderwał się od drzwi i popatrzył groźnie na Marthę i dwóch stremowanych mężczyzn w uniformach dostawców. - Nie mam zamiaru ciągnąć tej rozmowy przy widzach. Chodźmy. - Odwrócił się i poszedł w głąb holu, najwyraźniej przekonany, że ona posłusznie za nim podaży.

Pru aż pokręciła głową, zdumiona tak niesłychaną zarozumiałością.

- Obawiam się, że nie mam czasu na długą rozmowę! - zawołała za nim. - Muszę ruszać w drogę. Lepiej zajmij się przygotowaniami do dzisiejszego przyjęcia. Zostało jeszcze sporo do zrobienia przed przybyciem gości.

McCord, który tymczasem dotarł do otwartych drzwi gabinetu, znów się odwrócił i wbił w nią wzrok.

- Do diabła z przyjęciem. Skoro masz czelność próbować ode mnie odejść, równie dobrze możesz znaleźć w sobie dość odwagi, by przedyskutować całą sprawę. Chodź tu, Pru, chyba że wolisz rozmawiać pośrodku holu.

- Nie licz na spokój w gabinecie - ostrzegła, z wahaniem ruszając ku niemu. - Tam jest J.P.

McCord wsadził głowę do wygodnie urządzonego, pełnego książek pokoju.

- Witaj, J.P. Czy nikt ci nie mówił, że to niebezpieczne wtrącać się w rodzinne kłótnie? - spytał, wchodząc do środka.

Pru jęknęła. Dokładnie tak to sobie wyobrażała. Wszystko

byłoby o wiele prostsze, gdyby wyjechała przed powrotem McCorda. Teraz czekała ją burzliwa scena, której świadkami będą wszyscy domownicy, dostawcy i J.P. Arlington we własnej osobie. Kiedy miało się do czynienia z Case'em McCordem, nic nigdy nie przebiegało łatwo.

Ale przecież wiedziała o tym od samego początku.

Podążała w kierunku gabinetu, zupełnie jakby szła na sąd wojenny. Powtarzała sobie w myśli, że to McCord został osadzony i skazany i że to ona jest zarazem sędzią i ławą przysięgłych. Ale on w takiej sytuacji jak ta potrafił pobić przeciwnika jego własną bronią. Jeśli nie będzie ostrożna, skończy się na tym, że ulegnie naciskom, podda się i zrezygnuje ze swoich planów, krótko mówiąc, całkiem się rozklei.

Nikt, kto nie był zmuszony stawić czoła McCordowi, nie zdołałby zrozumieć, jaki on potrafi być onieśmielający i jak skutecznie przeprowadza swoją wolę. Na ten szczególny dar złożyło się sporo czynników, wśród których niebagatelną rolę odgrywała jego postura.

McCord był wysoki, mierzył około stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu. Był też dobrze zbudowany i wystarczająco muskularny. Włosy, niemal tak ciemne jak oczy, nosił krótko przystrzyżone, by zniwelować lekkie falowanie. Pru często myślała, że klucz do Case'a McCorda kryje się w jego oczach. To one zdominowały wyraziście, męskie rysy twarzy.

W tych ciemnych oczach nietrudno było dostrzec zarówno bystrą inteligencję, jak i ognisty temperament. Połączenie to groziło powstaniem wybuchowej, wręcz śmiertelnej mieszanki. Mogła ona w znacznym stopniu wyostrzyć takie cechy charakteru, jak wybuchowość, arogan-

cja i upór. I tak samo podzielać na zmysłowość, stopień lojalności i opiekuńczość.

W takich chwilach jak ta, kiedy przepełniał go gniew, gdzieś w głębi tych lśniących namiętnych oczu czaiło się niebezpieczeństwo. Tylko głupiec zignorowałby tak wyraźne ostrzeżenie.

A jednak ona od chwili poznania McCorda ignorowała wszelkie ostrzeżenia, uprzytomniła sobie Pru, usiłując w ten sposób dodać sobie odwagi. Wszystko zaczęło się przed sześcioma miesiącami, kiedy rozpoczęła pracę w Dziale Badań i Rozwoju Rolnictwa Fundacji Arlingtona. Teraz na naukę ostrożności było stanowczo za późno.

Przygodny obserwator, który nic nie wiedział o Casie McCordzie, odgadłby zapewne, że spędza on wiele czasu na powietrzu. Tego popołudnia miał wprawdzie na sobie szare spodnie, białą koszulę i jedwabny krawat, ale tylko dlatego, że właśnie wrócił ze spotkania w Waszyngtonie, zorganizowanego przez Fundację Arlingtona. Za to długie buty nawiązywały do jego zwykłego stylu ubierania. Kiedy nie miał w planie spotkań z naukowcami, ekspertami i przedstawicielami rządów różnych krajów, nosił przeważnie dżinsy i sportową koszulę rozpiętą pod szyją. Do pracy na doświadczalnych poletkach fundacji często wkładał klasyczny stetson.

To prawda, postronny obserwator z łatwością by się domyślił, że żywioł Case'a McCorda to żyzne, urodzajne pola i spalone słońcem hektary upraw. Być może jednak nie zorientowałby się, że ma on nie tylko doskonałe wyczucie upraw, ziemi i pogody. Posiada również gruntowną wiedzę w tym zakresie.

Case McCord był jednym z licznego grona ekspertów zatrudnionych w Fundacji Arlingtona. Zaczął pracować w niej przed trzema laty i szybko awansował do obecnej wysokiej pozycji, ponieważ, prócz starannego wykształcenia, miał wrodzony dar przewodzenia. Fundacja zajmowała się udoskonalaniem technik uprawy roli w rozwijających się krajach. Jej założyciel, J.P. Arlington, lubił mawiać swoim przeciągłym teksańskim akcentem, że nie można wymagać od ludzi, aby zachwycali się cudami demokracji, zanim nie doświadczą cudów pełnego żołądka.

Fundacja, na prośbę rządów i prywatnych firm, posyłała swoich fachowców we wszystkie strony świata. McCorda zaangażowano ze względu na jego wykształcenie rolnicze, ale z czasem do jego obowiązków doszło zarządzanie i sprawy organizacyjne. Staremu J.P. nie można było odmówić bystrości, kiedy w grę wchodziło rozpoznanie i wykorzystanie talentów personelu. Bystrość ta przejawiała się na wiele sposobów, co Pru odkryła w ciągu sześciu miesięcy pracy w wydawnictwie fundacji. Na swój sposób starszy pan był równie inteligentny i niebezpieczny jak McCord. Sama myśl o wejściu do gabinetu i stanięciu twarzą w twarz z nimi obydwoma wystarczyła, by przeszły ją ciarki.

Powinna była dać sobie spokój z przygotowaniami do wieczornego przyjęcia i opuścić dom McCorda już wczoraj. Głupio postąpiła, pozwalając, żeby poczucie odpowiedzialności zawodowej weszło w drogę poczuciu odpowiedzialności wobec samej siebie. No cóż, im szybciej będzie po tej małej scenie, tym lepiej.

Zdecydowana trzymać nerwy na wodzy, weszła do gabinetu. McCord stał na lekko rozstawionych nogach przed swoim biurkiem, mierząc zimnym wzrokiem J.P. Arlingtona,

J.P. wyglądała imponująco jak zawsze. Jego ubiór harmonizował z dużym, rzucającym się w oczy El Dorado zaparkowanym na podjeździe przed domem. Brzoskwińniowy, lamowany srebrem garnitur w westernowym stylu nawet w najmniejszym stopniu nie nadawał jego potężnej postaci wrażenia zniewieściałości. Starszy pan zdjął dobrany do garnituru stetson, odsłaniając gęste, siwe włosy. Od kącików szarych oczu odchodziły setki malutkich zmarszczek, skutek lat spędzonych pod gorącym, teksasnym słońcem. J.P. odziedziczył po przodkach ziemię, w której czterdzieści lat temu znalazł ropę.

Arlington siedział rozparty wygodnie w fotelu gospodarza, opierając nogi w długich butach z jaszczurczej skóry o polerowany blat biurka. Na niskim stoliku obok fotela stała otwarta butelka whisky, a sam J.P. trzymał w ręku szklaneczkę. Na widok wchodzącej Pru rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu.

- Cóż, może teraz wreszcie uda nam się załagodzić to małe nieporozumienie, zanim sprawy zajdą za daleko. Mówiłem ci, żebyś zaczekała, aż wróci McCord, czy nie tak, dziewczyno? Teraz wszystko pójdzie jak po maśle. Na problemy nie ma jak usiąść i porozmawiać, zawsze to powtarzam. Z McCordem trzeba czasem postępować jak z mułem. Na wstępie musisz walnąć go w głowę pałką baseballową, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Skoro będziesz miała to już za sobą, przekonasz się, że on potrafi być całkiem rozsądny. - Starszy pan zmrużył oczy i spojrzał na mężczyznę

stojącego po drugiej stronie biurka. - Porozmawiaj z nią, McCord. Chcę, żebyście zakończyli ten drobny spór, i to zaraz. Ta dziesiątka ważniaków ma się tu pojawić za... - Urwał i zerknął na solidny złoty zegarek zdobiący mu nadgarstek - ..niecałe dwie godziny - dokończył.

- Porozmawiam z nią - obiecał McCord - pod warunkiem, że nie będziesz tu siedział i co chwila się wtrącał. Wyjdź, J.P. To sprawa wyłącznie między Pru a mną. Ciebie nie dotyczy.

- Akurat, chłopcze. Potrzebuję jej. Jest cholernie dobrą redaktorką i jeszcze lepszą gospodynią na moich przyjęciach. Jeśli będę zmuszony szukać na jej miejsce kogoś innego, uczynię cię za to osobiście odpowiedzialnym. A teraz do roboty.

- Wyjdź z mego gabinetu, J.P. - powtórzył McCord.

Arlington popatrzył na niego groźnie, po czym przeniósł wzrok na Pru.

- Myślisz, że sama sobie z nim poradzisz?

- O, tak - odparła z przekonaniem, którego wcale nie czuła. - Poradzę sobie.

Starszy pan powoli podniósł się z fotela.

- Zgoda. Dam wam obydwójgu trochę czasu na rozwiązanie tego problemu. - Przeszył wzrokiem McCorda. - Oczekuję pomyślnych rezultatów. Nie pozwól jej wyjechać, słyszysz? Jeśli to schrzanisz, obedę cię ze skóry i przybiję ją do maski mego El Dorado. - Wyszedł ciężko z pokoju ze szklaneczką w dłoni, zatraskując za sobą drzwi.

Pru odprowadziła go spojrzeniem, po czym śmiało odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z McCordem. Zdobyła się nawet na promienny, pełen zdecydowania uśmiech.

- Ta rozmowa to strata czasu. Chciałabym już jechać, a ty będziesz miał pełne ręce roboty przed dzisiejszym przyjęciem. Wprawdzie Martha otrzymała dokładne instrukcje, a dostawcom wystarczą ogólne wskazówki, ale zostało jeszcze parę spraw do ustalenia. Radzę ci powierzyć bar Steve'owi. Coraz lepiej radzi sobie z takimi rzeczami. Dopilnuj tylko, żeby włożył czystą białą koszulę. A kiedy już pojawią się goście, nie pozwól J.P. opowiadać tych jego historyjek z czasów spędzonych na polach naftowych. Wiesz, co się z nim dzieje, kiedy zejdzie na ten temat. Przypilnuj też, żeby Martha podała francuską brandy. Ci ludzie spodziewają się czegoś takiego. Jestem pewna, że ze wszystkimi innymi sprawami świetnie sam sobie poradzisz.

McCord oparł się tyłem o biurko i położył duże dłonie na mocnych udach. Obrzucił Pru ponurym spojrzeniem.

- Daj spokój, oboje wiemy, że nigdzie nie pojedziesz.

Pru pokręciła ze smutkiem głową.

- Mylisz się - powiedziała łagodnie. - Naprawdę odchodzę. Przed twoim wyjazdem do Waszyngtonu powiedziałam ci, że kiedy wrócisz, nie zastaniesz mnie tutaj.

- Jak wyjeżdżałem, byłaś zdenerwowana. Nie myślałaś tak naprawdę.

- Mówiłam absolutnie poważnie - zapewniła. - Po prostu ty nie zwróciłeś na to uwagi.

- Nigdy nie zwracam uwagi, kiedy ktoś stawia mi ultimatum. To właśnie próbowałam zrobić przed moim wyjazdem, prawda? Usiłowałam dać mi do zrozumienia, że to ultimatum. Do tej pory powinnaś znać mnie na tyle dobrze, żeby zdawać sobie sprawę, że poznam się na blefie.

- To nie był błąd. Moje walizki są spakowane. Jestem gotowa do wyjazdu.

Zacisnął wargi w wąską szparkę.

- Powiniennem ci pozwolić wyjść tymi drzwiami. Może to by cię czegoś nauczyło.

- Ja już się czegoś nauczyłam, McCord.

- Doprawdy? - spytał z kpiącym uśmiechem. - Którą lekcję masz na myśli? Ja osobiście przypominam sobie, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy nauczyłem cię wielu interesujących rzeczy.

Na twarz wypłynął jej pełen zakłopotania rumieniec, a McCord sunął wzrokiem po jej sylwetce, powoli i władczo, ogarniając nim kasztanowe włosy, podwijające się tuż powyżej linii ramion, i zielone oczy. Przez chwilę uważnie badał delikatny zarys miękkich ust, po czym przeszedł do łagodnych krągłości drobnych piersi. Wreszcie jego spojrzenie powędrowało niżej i zatrzymało się na zaokrągleniach bioder. Nietrudno było się domyślić, co mu chodzi po głowie. Nie dało się też zatrzeć wspomnień, które z premedytacją w niej budził.

Pru miała na tyle poczucia rzeczywistości, by zdawać sobie sprawę, że nie jest piękna. Na swój sposób była dość atrakcyjna i pełna uroku, ale daleko jej było do olśniewającej piękności. Jednak w ramionach McCorda dowiedziała się, co znaczy czuć się piękną.

Zalewała się coraz gorętszym rumieńcem. Te parę miesięcy u boku Case'a McCorda upłynęło jej na namiętnych uniesieniach, niepodobnych do niczego, czego doświadczyła wcześniej. McCord był na tyle bystry, że z miejsca domyślił się jej ograniczonych doświadczeń w sferze ero-

tyki i nie omieszkął tego wykorzystać. Uczenie jej właściwych reakcji sprawiało mu wiele przyjemności. Okazał się dobrym nauczycielem. Na tyle dobrym, że Pru wmówiła sobie, iż on jest w niej zakochany - tak samo jak ona w nim. Ale w końcu przed sobą samą musiała przyznać się do błędu.

Pomimo palących wspomnień, przemykających jej przez głowę, zachowała dumę i opanowanie, aż nadto świadoma czujnego, taksującego spojrzenia kochanka. Nie wolno jej okazać słabości. Nie teraz. Z pewnością by to spostrzegł i wykorzystał.

Z determinacją przetrzymała wzrok McCorda.

- Najważniejsza lekcja, którą mi dałeś, sprowadza się go tego samego, co moja ciotka Wilhelmina usiłowała wbić do głowy mojej siostrze i mnie jeszcze w Spot, w Teksasie. Do tego, co matki próbują wpoić córkom od początku świata.

- Czyżby? - zadrwił. - A cóż to za perła kobiecej mądrości?

- Wystarczy, że raz poczęstujesz mężczyznę whisky, a on z miejsca nabierze przekonania, że nigdy nie musi za nią płacić. Niełatwo zainkasować pieniądze, kiedy już wypił - zacytowała ponuro Pru. Słowa ciotki Wilhelminy zadźwięczały jej w uszach.

McCord gniewnie uniósł głowę. Przez moment wydawało się, że jego kipiący tuż pod powierzchnią gniew wyrwie się spod kontroli.

- To głupia uwaga, która przystoi egzaltowanej nastolatce.

- Próbowałam być bardzo dorosła i doświadczona, kie-

dy postanowiłam z tobą zamieszkać, ale poniosłam klęskę. Trzy miesiące temu, gdy mnie tu zaprosiłeś, a raczej zakomunikowałeś mi, że mam się wprowadzić, powiedziałam sobie, że można cię oswoić, sprawić, byś dostrzegł uroki udanego ogniska domowego i dzielenia życia z kobietą, której na tobie zależy. Tymczasem im więcej dawałam, tym więcej brałeś. W ubiegłym tygodniu ostatecznie przyznałam sama przed sobą, że nie mam na co liczyć. Ty się nigdy nie zmienisz. Nie chcesz małżeństwa ani zobowiązań. Chcesz po prostu wszystkich wygod i korzyści płynących z tego, że masz kobietę w domu i w łóżku, nie musząc dawać nic w zamian.

- Zdawało mi się, że w ramach naszej umowy dostawałaś to, czego chciałaś - odparował. - Skąd te narzekania?

- Powiedziałam ci to przed twoim wyjazdem - przypomniała mu wyraźnym, choć cichym głosem. - Zamieszkałam z tobą, bo wierzyłam, że nasza umowa, jak ją nazywasz, prowadzi do czegoś ważnego. Myślałam, że budujemy wspólną przyszłość. Po spędzeniu trzech miesięcy pod twoim dachem zdałam sobie sprawę, że to mrzonki. Jak powiedziałyby ciotka Wilhelmina: Snucie marzeń o mężczyźnie takim jak ty jest równie pozbawione sensu jak założenie gęsi butów.

- W jednej sprawie przyznaję ci rację. Jeśli rzeczywiście mamy tu do czynienia z oszustwem, to ty oszukiwałaś samą siebie. Wiedziałaś, że małżeństwo mnie nie interesuje - zauważył opryskliwie. - Nigdy nie udawałem, że jest inaczej.

- Nie - zgodziła się z nim z pozorną nonszalancją. -

Z całą pewnością tego nie zrobiłeś. Niestety, ja doszłam do wniosku, że zależy mi na małżeństwie. A ty bez ogródek oświadczyłeś mi, że z twojej strony nigdy nie mogę na to liczyć.

- Postanowiłaś więc mnie zmusić, czy tak? To ci się nie uda, Pru. Powiedziałem ci to przed wyjazdem do Waszyngtonu. Nie ma najmniejszej szansy, żebym pozwolił jakiegokolwiek kobiecie, nie wyłączając ciebie, manipulować sobą do tego stopnia.

Pru skinęła głową i przez chwilę wpatrywała się w swoje splecione dłonie, próbując pogodzić się z bólem, jaki sprawiły jej te słowa.

- Rozumiem. Byłeś wobec mnie nad wyraz szczery. To ja się łudziłam.

- Przestań robić z siebie męczennicę. - McCord oderwał się od biurka i przeszedł majestatycznie obok niej, kierując się do szerokiego wykuszowego okna, wychodzącego na porośnięty bujną roślinnością ogród. - Nie licz, że ta sztuczka zadziała lepiej niż ultimatum.

Pru zacisnęła wargi.

- Przestańmy więc marnować czas twój i mój. Czeka mnie daleka droga. Zegnaj, McCord. To było interesujące doświadczenie. - Okręciła się na pięcie i ruszyła ku drzwiom.

Kiedy McCord uświadomił sobie, że ona naprawdę zamierza wyjść, oderwał się od okna. Zdażył złapać ją za ramię, gdy już sięgała do gałki drzwi. Gwałtownie obrócił ją twarzą do siebie i wbił wzrok w jej stężałe rysy.

- Nigdzie nie pojedziesz i wiesz o tym. Nie próbuj ze mną żadnych sztuczek, Pru. Nie masz szans.

- De razy mam to powtarzać? Niczego nie próbuję. Odchodzę. Dokładnie tak jak powiedziałam. Twój błąd, McCord, polega na tym, że założyłeś, iż chcę tobą manipulować. Ja tego nie robię. Minimalizuję straty i znikam. Przy tobie nie mogę liczyć na wspólną przyszłość.

- Bo nie wsunę ci obrączki na palec?

- Bo albo jesteś za wielkim tchórzem, albo jesteś po prostu zbyt samolubny, by podjąć długofalowe zobowiązanie. Nie potrafię ustalić, który z tych dwóch powodów jest tym właściwym, ale to w końcu i tak nie ma znaczenia. Tak czy inaczej, ja chcę się z tego wycofać.

- Myślisz, że padnę na kolana i będę błagał, żebyś została? Że grożąc odejściem, możesz wymóc na mnie obietnicę małżeństwa? Czy tak?

Z rezygnacją pokręciła głową i popatrzyła znacząco na palce zaciśnięte na swoim ramieniu.

- Nic nie rozumiesz, McCord. Co więcej, myślę, że to się nigdy nie stanie. Gdy przychodzi do obmyślenia, jak hodować zboże na pustyni, jesteś bystry, ale okazujesz wyjątkową tępotę, kiedy chodzi o zrozumienie, czego potrzeba do prawdziwego związku dwojga ludzi. Puść mnie, proszę. Mówiłam ci już, że czeka mnie daleka droga.

Nie oderwał palców od jej ramienia, a jego wzrok przepalał ją na wylot.

- A dokąd to zawiedzie cię ta daleka droga? W ramiona innego mężczyzny? Czy tak, Pru? Masz kogoś? Kogoś, kogo trzymałaś w odwodzie na wypadek, gdyby nie udało ci się wmanewrować mnie w małżeństwo? Kim on jest? Czy wie o ostatnich paru miesiącach? Czy wie, czego nauczyłaś się w moich ramionach? Jak drżysz, kiedy doty-

kam cię nocą? Myślisz, że z jakimkolwiek mężczyzną doświadczysz tego co ze mną?

- Mam dla ciebie nowinę, McCord. Może i jesteś dobry w łóżku, ale to za mało. Przynajmniej dla mnie. A teraz bądź uprzejmy puść moje ramię. Sprawiasz mi ból. - Po raz pierwszy tego dnia zaczynał wzbierać w niej gniew. Bała się, że emocje zburzą opanowanie, które sobie nakazała. McCord natychmiast wyczułby jej słabość i wykorzystał ją do swoich celów.

- Nie odejdziesz stąd - zapowiedział McCord, wymawiając każde słowo z charakterystycznym naciskiem. Spojrzał na swoją rękę na jej ramieniu i oderwał ją z widocznym wysiłkiem. - Nie możesz tego zrobić.

- Dlaczego nie? - Przekreśliła gałkę i pchnęła drzwi. Samokontrola opuszczała ją błyskawicznie. Jak najprędzej musi wydostać się z tego domu.

- Wiesz dlaczego. - McCord szedł dużymi krokami za Pru, która pospieszyła do wyjścia. - Nie możesz mnie zostawić, bo mnie kochasz.

Pru przez chwilę miała trudności ze złapaniem oddechu, ale się nie zatrzymała. Wiedział. Miała nadzieję, że zdoła uratować przynajmniej tyle, jeśli chodzi o dumę, ale najwyraźniej nie było jej to pisane. Odkrycie, że Case McCord doskonale zdaje sobie sprawę z rozmiarów jej uczuciowego zaangażowania, nie powinno jej zaskoczyć. Ten facet był stanowczo za bystry, by mogło to przynieść pożytek jakiegokolwiek kobiecie.

Nie przychodziła jej do głowy żadna sensowna odpowiedź na to wyzwanie. Powiedział prawdę. Wiedzieli o tym oboje. Było to aż nazbyt oczywiste. Pru nie widziała

powodu narażać się na dalsze upokorzenia, toteż nie potwierdziła jego słów. Wyszła frontowymi drzwiami, świadoma, że kochanek podaży tuż za nią.

Przy jej samochodzie stał Steve Graham, a u jego stóp na wyżwirowanym podjeździe dostrzegła swoją walizkę. Gdy Pru ukazała się w drzwiach, niespokojnie uniósł głowę. Jego oczy powędrowały od jej twarzy do ponurej i wściekłej twarzy mężczyzny idącego w ślad za nią.

- Jeszcze nie wsadziłeś tej walizki do bagażnika, Steve?! - zawołała ze schodów.

- Pan McCord powiedział, żebym tego nie robił. Twierdził, że nie wyjeżdżasz.

- Był w błędzie. Wyjeżdżam. Jeśli nie umieścisz jej w samochodzie, zrobię to sama.

Steve schylił się po walizkę.

- Zrobię to, jeśli naprawdę tego chcesz, Pru. - Zerknął buntowniczo na pana domu, który zignorował jego spojrzenie.

- Jeśli myślisz, że będę się przed tobą czołgał, jesteś szalona, kobieto. - McCord stał sztywno na górnym stopniu schodów, jakby szykował się do walki. - Ta sztuczka zda się na nic. Przyznaj to wreszcie i przestań zachowywać się jak melodramatyczna nastolatka, grożąca ucieczką z domu, zawsze gdy nie może postawić na swoim.

Steve zatrzaskał bagażnik. Pru milczała. Nie zostało nic do powiedzenia. Bez słowa usiadła za kierownicą fordą, zapięła pas i przekreśliła kluczyk w stacyjce. Po chwili znalazła się na podjeździe.

Kiedy zerknęła w tylne lusterko, ujrzała w nim J.P.,

Marthę i Steve'a skupionych wokół uosobienia męskiej wściekłości. Więcej się za siebie nie obejrzała.

McCord odprowadzał wzrokiem czerwonego forda, póki nie zniknął mu z oczu. Wszyscy milczeli. Kiedy w końcu odwrócił się, aby majestatycznie wejść do środka, stanął oko w oko z trzema osobami, na twarzach których wyraźnie malowało się oskarżenie.

Przez chwilę panowała cisza, aż wreszcie Martha powiedziała ze smutkiem w głosie:

- Odjechała.

- To chyba oczywiste, prawda? - warknął McCord. - Może byś się zabrała do pracy, Martho - polecił ostrym tonem. - Zdaje się, że zostało sporo do zrobienia, zanim przybędą nasi goście. Nie masz czasu na żaden z twoich nerwowych ataków. Steve, rozumiem, że dzisiejszego wieczora zajmiesz się barem. Idź i wszystko przygotuj. Postaraj się nie zostawiać wszędzie butelek i kieliszków, tak jak to robisz z narzędziami, które rozwlekasz po całym ogrodzie. Dlaczego wszyscy troje tak się na mnie gapicie? To nie moja wina. To Pru wpadła w złość i pojechała sobie na dwie godziny przed przyjęciem.

- Nie zrzucaj winy na nią - zaproponował J.P. - Nie chciała niczego więcej ponad to, czego każda miła młoda dama z Teksasu ma prawo oczekiwać od swego mężczyzny. Przez ostatnie parę miesięcy byłeś radosny jak byk w koniczynie. Dostawałeś wszystko, czego chciałeś, prawda? Nawet nie zauważyłeś, że słodka, mała Pru cierpi. Pozostawało tylko czekać, aż wstanie i odejdzie. Swoją drogą jestem zaskoczony, że zajęło jej to tyle czasu. Nie mam pojęcia, skąd wziąć gospodynię przyjęć, nie mówiąc o dobrej redaktorce.

- Będzie mi jej brakowało - zauważył z zadumą Steve. - Ogród właśnie zaczynał wyglądać jak należy. Nie będzie jej tu, kiedy rozpocznie się sezon pomidorów.

Martha pociągnęła nosem i sięgnęła po chusteczkę.

- Była taka wyrozumiała. - Głośno wydmuchała nos w skrawek Inu. - Nie każdy potrafi zrozumieć, jak to jest, kiedy ma się atak nerwowy.

Oczy McCorda lśniły bezsilną wściekłością.

- Bądźcie uprzejmi skończyć z ckliwymi wspominkami. Nie mam ochoty wysłuchiwać tych bzdur. Przez najbliższe dwie godziny czeka nas sporo pracy. Ruszajcie się, wszyscy. - Przebił się przez małą grupkę stojącą na szczycie schodów i dużymi krokami poszedł do gabinetu. Nawet J.P. nie próbował go zatrzymywać.

Znalazłszy się w środku, zatrzasnął za sobą drzwi, podszedł do biurka i sięgnął po pozostawioną przez J.P. butelkę whisky. Na małej półce obok biurka stała czysta szklaneczka. Napełnił ją bursztynowym płynem i skierował się do okna.

Odeszła. Popołudniowe słońce wciąż wlewało się przez okna, ale dom wydawał się pusty i mroczny. Zupełnie jakby przed wyjściem pogasiła wszystkie światła.

McCord zacisnął palce na szklaneczce whisky.

ROZDZIAŁ 2

Tydzień po ostentacyjnym odejściu od Case'a McCorda Pru wylegiwała się na leżance przy basenie u siostry w Pasadena. Wielki ogrodowy parasol chronił ją przed ostrym słońcem. Całe Los Angeles gotowało się w upale wczesnego lata i Pru przyłapała się na myśli o tym, jak przyjemnie byłoby w taki dzień jak dziś w ogrodzie okalającym willę byłego kochanka. Z jego uroczego domu wzniesionego na stoku w La Jolli, na północ od San Diego, roztaczał się kojący widok na ocean. Będzie jej go brakowało w takie dni jak ten.

Swoją drogą, możliwość podziwiania widoków była tylko jedną z wielu zalet mieszkania pod wspólnym dachem z McCordem, zadumała się, nie spuszczać z oka siostrzenicy i siostrzeńca baraszkujących bez troski w chłodnej, przejrzystej wodzie basenu. W tym momencie dosięgnęła jej kolejna niewielka fala. Wskutek żywiołowej zabawy dzieci była już tak przemoczona, że zaczęła się zastanawiać, czy nie zafundować sobie jeszcze jednej kąpieli.

Zanim powzięła decyzję, w kuchennych drzwiach pojawiła się wdzięczna blond główka jej siostry, Annie Gates:

- Hej, Pru! Masz ochotę na szklanekę lemoniady?

- Ja chcę! - zawołała siedmioletnia Katy z basenu.

Jej brat, Dave, nie chcąc dać się prześcignąć, powtórzył jak echo:

- I ja też!

Annie zmarszczyła nos i łagodnie upomniała swoje pociechy:

- Czy to te same dzieci, które przy lunchu nie miały już miejsca na brukselkę?

- Teraz jestem głodna - zapewniła Katy matkę.

- Ja też - powtórzył, jak było do przewidzenia, Dave. Był prawie dwa lata młodszy od siostry, ale naśladował ją we wszystkim. Przy Katy błyskawicznie się uczył, że asertywność popłaca.

Pru posłała starszej siostrze szeroki uśmiech.

- Jeśli dopiero przygotowujesz lemoniadę, lepiej zrób jej sporo.

- Do licha, skoro popyt jest tak duży, może zacznę pobierać opłaty. - Annie znikła w lśniącej, nowoczesnej kuchni. Po paru minutach wyszła przed dom, niosąc duży plastikowy dzbanek lemoniady i cztery plastikowe kubki.

- Hop, hop, chodźcie tu wszyscy. Gotowe.

Katy i Dave nie czekali na ponowne zaproszenie. W mgnieniu oka wyskoczyli z basenu, chwycili napełnione kubki, po czym pobiegli na swoje leżaki, by wypić lemoniadę.

- Właśnie tego potrzebowałam - zauważyła Pru, sięgając po lemoniadę.

- Nie tylko ty. - Annie usiadła wygodniej na wyplatany taśmą krześle i oparła stopy w sandałkach o koniec leżanki siostry. - Ktoś wcześniej włączył ciepło w tym ro-

ku. Prawie jak lato w Spot w Teksasie. Prawie, choć nie do końca. Jak się czujesz?

Pru uśmiechnęła się i upiła łyk musującego napoju.

- Dobrze. Znasz jakiś powód, dla którego miałyby być inaczej?

- Nie, naturalnie, że nie. - Annie westchnęła. - Przepraszam, jeśli jestem nadopiekuńcza. To dlatego, że skoro nie masz męża, który by się o ciebie niepokoił, czuję się w obowiązku go zastąpić.

- Doceniam to - powiedziała łagodnie Pru - ale to nie jest konieczne. Naprawdę czuję się świetnie.

Annie zmierzyła ją przenikliwym spojrzeniem.

- Przynajmniej na tyle, na ile świetnie może się czuć niezamężna kobieta w ciąży.

- Mam dwadzieścia siedem lat, Annie. Nie jestem jakąś naiwną nastolatką, która narobiła sobie kłopotów.

- To prawda, jesteś naiwną dwudziestosiedmiolatką, która narobiła sobie kłopotów. A to skunks!

Pru pokręciła głową. Niewiele mogła tu poradzić. Annie już wyrobiła sobie zdanie o Casie McCordzie. Jak przystało na opiekuńczą starszą siostrę, nie była skłonna do wyrozumiałości, a tym bardziej życzliwości względem mężczyzny, który sprawił, że Pru była w ciąży.

- Już ci mówiłam, Annie. On nie wie, że spodziewam się dziecka.

- Czy to miałyby jakieś znaczenie? - spytała prowokująco siostra.

Pru zawahała się, zanim odpowiedziała:

- Nie wiem. Nie sprawdzałam. Skoro nie był zainteresowany małżeństwem ze mną dla mnie samej, tym

bardziej nie chciałam, żeby żenił się ze względu na dziecko.

- Twój problem polega na tym, że jesteś zbyt dumna.

- Dam sobie radę bez niego. Wiele kobiet jest w podobnej sytuacji.

- Co nie oznacza, że to normalne!

- Wiem. - Pru wzruszyła ramionami. - Ale takie rzeczy się zdarzają.

- Nie powinnaś była się z nim zadawać. - Annie użyła tych słów nie po raz pierwszy. - Tego dnia, kiedy zadzwoniłaś, by mi powiedzieć, że się do niego wprowadzasz, miałam przeczucie, że pakujesz się w kłopoty. Wykorzystał cię.

- Wtedy - powiedziała Pru z zadumą - myślałam, że mnie potrzebuje. Wiem, że mnie pragnął. Miałam nadzieję, że mnie kocha.

- Cóż, naturalnie, że cię pragnął. Wpadłaś mu prosto w ręce, mam rację? Mężczyźni zawsze chętnie biorą, co im się nawinie, zwłaszcza jeśli nie muszą za to płacić.

Pru otworzyła szerzej oczy, a jej uśmiech przeszedł w dźwięczny śmiech.

- Mówisz zupełnie jak ciotka Wilhelmina.

- Ciesz się, że ciotka Wilhelmina nic nie wie o tej całej sytuacji. Kiedy się dowie, dostanie ataku hysterii.

- Nie ma obawy. Po prostu dojdzie do wniosku, że odezwała się we mnie krew matki. Nie będzie zaskoczona. Jestem przekonana, że od samego początku spodziewała się czegoś takiego - zauważyła żartobliwie Pru, oczami wyobraźni widząc wyprostowaną jak struna zasadniczą ciotkę, która wychowała ją i siostrę.

- Zawsze chciała dla nas dobrze. I bardzo się starała nadrobić, no, braki mamy. - Annie, która od dobrych paru lat mieszkała z dala od ciotki Wilhelminy, była skłonna spojrzeć na całą sprawę w szerszym kontekście. - Pewnego dnia odbierze w niebie jakąś nagrodę dla umęczonych starych pannen, które trawią życie na wychowywaniu nieślubnych dzieci swoich upadłych sióstr - dodała z poważną miną. - Kiedy zamierzasz jej powiedzieć, że mieszkałaś kilka miesięcy z mężczyzną bez ślubu, a w dodatku zaszłaś z nim w ciążę?

- Nie wcześniej, niż będę musiała - stwierdziła zapytana bez owijania w bawełnę. - Ciotka Wilhelmina niewiele złagodniała z wiekiem, przecież wiesz. Nie mam ochoty wysłuchiwać teraz jej wykładów o mężczyznach, którzy piją darmową whisky i mleko i nie poczuwają się do płacenia za alkohol czy kupowania krowy.

- Coś ci powiem - wtrąciła cicho Annie, odszukawszy wzrokiem córkę. - Kiedy rozmyślam o tym, jak Katy dorosnie i zacznie umawiać się na randki, skłaniam się do poglądu ciotki Wilhelminy. Zdaję sobie sprawę, że to zabrzmi staroświecko i cynicznie, ale chcę jej powiedzieć, żeby nie oddawała się mężczyźnie, póki nie będzie go absolutnie pewna.

- To znaczy, póki on nie dowiedzie swej wiarygodności, wsuwając jej obrączkę na palec.

- Przyjrzyj się faktom, Pru. Nie byłabyś teraz w takiej sytuacji, gdybyś słuchała rad ciotki Wilhelminy.

Pru popatrzyła siostrze prosto w oczy.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie spałaś z Tonym przed ślubem? I tak ci nie uwierzę. Byłaś w nim po uszy zakochana, a on nie potrafił utrzymać rąk z dala od ciebie.

Annie spłonęła wdzięcznym rumieńcem, po czym uśmiechnęła się.

- Cóż, przynajmniej mogłam być pewna naszych wzajemnych uczuć, zanim poszliśmy do łóżka. To więcej, niż ty możesz powiedzieć o sobie, prawda, Pru? Od początku wiedziałas, że wiążąc się z Case'em McCordem, podejmujesz wielkie ryzyko.

- Przynajmniej był wobec mnie uczciwy - powiedziała cicho Pru. - Na samym początku mnie uprzedził, że nie ma zamiaru się żenić.

- A ty mu nie uwierzyłaś?

- Myślałam, że potrafię sprawić, by zmienił zdanie. Czułam, że w gruncie rzeczy ma zadatki na głowę rodziny. On jest prawdziwym domatorem, wiesz. Wieczory spędzaliśmy zwykle w domu, chyba że wyjeżdżał gdzieś służbowo. Gotowa jestem przysiąc, że kiedy byliśmy razem, McCord był mi absolutnie wierny.

- Nie byliście razem tak znowu długo. Może urok nowości nie miał okazji zblaknąć.

- Stajesz się cyniczna, Annie.

- Cyniczna to zbyt łagodne określenie na to, co odczuwam za każdym razem, kiedy myślę o tym, co on ci zrobił. Ogarnia mnie wściekłość.

- Miałam świadomość tego, co robię, i zdawałam sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuję - podkreśliła Pru. - Wiedziałam też, że kiedy mu powiem, iż chcę poważnie porozmawiać o naszej przyszłości, on najprawdopodobniej wpadnie we wściekłość.

- Kiedy to zrobiłaś?

- Tego dnia, kiedy wróciłam do domu po wizycie

w klinice. Wpierw chciałam się upewnić, że jestem w ciąży. Wszystko zrobiłam nie tak. Teraz to wiem. Ale wtedy byłam trochę rozstrojona.

- Założę się, że tak było - skomentowała Annie z przejęciem. - A więc postawiłaś mu ultimatum?

- McCord nie reaguje dobrze na takie postępowanie. Następnego dnia miał lecieć do Waszyngtonu. Powiedziałam mu, że jeśli nie zgodzi się na konkretne ustalenia w sprawie naszej przyszłości, nie zostanie mnie w domu po powrocie. Chyba wmówiłam sobie, że on naprawdę mnie kocha i uświadomi to sobie, kiedy stanie przed ewentualnością utracenia mnie na zawsze.

- Pomyliłaś się.

Pru wzruszyła ramionami.

- Założył, że próbuję nim manipulować, zmusić go do ślubu. Być może w pewnym sensie tak było.

- Skoro chciałaś go do tego przekonać, trzeba było wykorzystać wszystkie argumenty - zauważyła Annie bez osłonek. - Powinnaś była powiedzieć mu, że jesteś w ciąży.

Pru zamknęła oczy na wspomnienie burzliwej sceny w gabinecie, tuż przed tym, zanim po raz ostatni wyszła z domu McCorda.

- Nie mogłam tego zrobić. Chciałam, żeby to na mnie mu zależało. Nie chciałam, żeby proponował mi małżeństwo z poczucia obowiązku, a mógłby tak postąpić. Ma dość dziwne, ale surowe poczucie honoru. A przecież każdy wie, że legalizacja związku, która dochodzi do skutku wyłącznie z powodu nie planowanej ciąży, nie ma wielu szans na przetrwanie. Widzisz, on naprawdę miał na myśli

to, co powiedział na początku naszej znajomości. On nie chce się żenić. Nie chce długoterminowych zobowiązań. Powinnam była wiedzieć, że to nie są puste słowa.

- Jak długo zostałąbyś z nim na jego warunkach, gdybyś nie zaszła w ciążę?

- Nie wiem, Annie. Wymagałam od niego więcej, niż był skłonny mi dać. Chciałam tego na długo przedtem, zanim odkryłam, że jestem w ciąży. Od samego początku zależało mi na stałym związku. Zdaje się, że nauki ciotki Wilhelminy zapadły głębiej, niż myślałam.

- To nie jest wina ciotki Wilhelminy - stwierdziła energicznie Annie. - Należysz do kobiet, które bez reszty angażują się w związek dwojga ludzi. Jesteś wielkoduszna, dobra i wyjątkowo lojalna. Jakaś część ciebie chce w zamian tego samego. Próbowалаś wymusić odzew na mężczyźnie, który nie zamierza odpowiedzieć w ten sposób nigdy w życiu. To twój pierwszy błąd. Zajście w ciążę - to drugi. Nawiasem mówiąc, jak do tego doszło?

- Jak zwykle w takich przypadkach.

- To nie żart, Pru. Co poszło nie tak? Pigułka zawiodła? Pru upiła kolejny łyk lemoniady.

- Niezupełnie. Tamtej nocy nie użyliśmy niczego. Miałam pecha.

- Jak mogłaś tak ryzykować?

Pru uniosła brwi i przyjrzała się siostrze znad okularów.

- Chcesz dokładnego sprawozdania?

Annie uśmiechnęła się z przymusem.

- Naturalnie, że nie. Zastanawiałam się tylko, jak mogłaś tak się zapomnieć, skoro to oczywiste, że ani ty, ani on nie życzyliście sobie żadnych niespodzianek.

- McCorda nie było w kraju przez dziesięć dni.

- Aha. - Annie domyślnie pokiwała głową. - Dziesięć dni abstynencji wystarczyło, żeby zaniedbał ostrożności, czy tak?

- Nie - odparła Pru z zadumą. - Te dziesięć dni spędzonych na zapoznawaniu się z problemami suszy w Afryce w pewnym sensie go załamało. Ty możesz sobie tylko wyobrazić, jak tam jest, Annie. On musiał oglądać to na własne oczy. Fundacja Arlingtona inicjuje podstawowe programy edukacyjne dla rolników w kilku krajach Afryki. Zajmujemy się też opracowywaniem bardziej skomplikowanych programów szkolenia miejscowych badaczy i naukowców. Ale McCord nie przebywał w miastach. Wyjechał na wieś, żeby zobaczyć tamtejszą ziemię na własne oczy. Ziemię... i ludzi, którzy na niej umierają.

Pru przerwała. Przed oczami stanęła jej umęczona, smutna twarz kochanka tamtej nocy, kiedy wrócił z Afryki. Ponura rzeczywistość tego, co tam zobaczył, zebrała swoje żniwo. Może McCord nie był zdolny do związania się na stałe z jakąkolwiek kobietą, ale był niezwykle oddany swojej pracy.

- Chyba zaczynam kojarzyć. Był wykończony i pewnie bezradny wobec tak przytłaczającego problemu. Dodaj do tego różnicę czasu i masz mężczyznę, który nie myśli o pewnych sprawach tak jasno, jak powinien - dokończyła Annie z niejakim zrozumieniem, które okazała dla McCorda po raz pierwszy.

- Poszedł prosto do łóżka. Ja też. - Pru wzięła głęboki oddech. - Ale zbudził się w środku nocy i, no cóż, po prostu stało się. - Nie próbowała wyjaśnić wszystkiego.

Nie potrafiłaby opisać nagłej, prymitywnej żądz, która płonęła w oczach McCorda w mroku szerokiego łóżka tamtej nocy, jak również swojej reakcji na to pragnienie.

Po dziesięciu dniach patrzenia na śmierć McCord zapragnął dotknąć życia. Wyciągnął ręce do Pru, a ona znalazła się w jego objęciach bez chwili wahania.

- Rozumiem - powiedziała łagodnie Annie, po czym umilkła na długą chwilę, wpatrzona w dwójkę zdrowych, dobrze odżywionych dzieci, które według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy nie poznają znaczenia suszy i uczucia głodu. Sięgnęła po dzbanek lemoniady. -I tym sposobem całe twoje życie nagle się zmieniło.

- Tak.

- Cóż, jak zwykła mawiać ciotka Wilhelmina: O biegu życia decydują zazwyczaj nie wielkie sprawy, tylko drobiazgi. Jeśli już coś ma cię ukąsić, będzie to raczej kleszcz niż grzechotnik.

- Nie jestem pewna, czy McCordowi spodobałoby się porównanie go do kleszcza, niemniej jednak rozumiem, co ciotka Wilhelmina próbowała przez to powiedzieć.

Przez długi czas pod parasolem panowała cisza. Obydwie kobiety przyglądały się dzieciom gramolącym się z powrotem do basenu. Pru znów się odprężyła i wyciągnęła na leżaku. Jej dłoń bezwiednie powędrowała do wciąż płaskiego brzucha. Pozwoliła sobie na rozmyślanie, czy jej dziecko będzie miało ciemne włosy McCorda i jego przepastne oczy.

- Możesz zostać tu tak długo, jak ci się podoba, Pru - odezwała się wreszcie Annie z całą szczerością. - Tony nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Oboje jesteście bardzo wspaniałomyślni, ale ja nie będę was już długo wykorzystywać. Myślę, że wezmę tamto mieszkanie, które oglądałam wczoraj.

- To w pobliżu politechniki? - Annie skinęła aprobująco głową. - To świetny punkt. Jeśli uda ci się dostać pracę w kampusie, o którą ubiegałaś się w poniedziałek, wszystko ułoży się doskonale. No, prawie doskonale - skorygowała trzeźwo.

- A skoro mówimy o Tonym... - zaryzykowała Pru.

- Tak?

- Nie mówiłaś mu o moim... hm... stanie, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. Przecież obiecałam, że tego nie zrobię.

- Naturalnie. Przepraszam.

Annie uśmiechnęła się cierpko.

- Nie zdołasz utrzymać tego długo w sekrecie, Pru.

- Wiem. Chodzi po prostu o to, że to wszystko jest takie nowe. Całe to bycie w ciąży jest bardzo dziwne. Potrzebuję czasu, żeby się z tym oswoić.

- Rozumiem. - Annie zamierzała dodać coś jeszcze, ale przeszkodził jej w tym odległy dźwięk dzwonka przy drzwiach. - Wygląda na to, że mamy gości. Zaraz wracam. Przypilnuj dzieci.

- Jasne. - Pru odprowadzała siostrę wzrokiem, aż ta weszła do domu, po czym skupiła uwagę na siostrzenicy i siostrzeńcu, którzy bawili się nadmuchaną plastikową tratwą w króla gór.

- Nie wracasz do basenu, ciciu? - zawołała Katy siedząca na samym brzeżku błękitnej tratwy. Dave zawzięcie starał się wrzucić siostrę z powrotem do wody.

- Za chwilę! - odkrzyknęła Pru. Skrzyżowała gołe nogi i usiadła prosto, żeby lepiej widzieć dzieci. Obydwoje czuli się w basenie jak ryby w wodzie, ale byli jeszcze mali i pod wieloma względami delikatni. Annie i Tony otaczali je wręcz przesadną troskliwością.

Ja też będę chronić swoje dziecko, obiecała sobie przepełniona macierzyńską mądrością Pru, ale nie będę nadmiernie opiekuńcza. Dzieci potrzebują swobody, żeby się sprawdzać; przestrzeni, w której mogłyby się rozwijać i popełniać własne błędy.

Właśnie.

Postanowiła, że jeśli będzie miała córkę, zrobi wszystko, by uchronić ją przed popełnieniem błędu, który był udziałem jej samej, tak samo jak ciotka Wilhelmina próbowała uchronić Pru i Annie przed pójściem w ślady matki. Kobiety najwidoczniej są na wieki skazane na przekazywanie tego ostrzeżenia z pokolenia na pokolenie. I zawsze znajdzie się parę takich, które je zignorują. Ze szkodą dla siebie.

Z tej filozoficznej zadumy wyrwał ją głos siostry. Annie była czymś wyraźnie wzburzona. Pru nie rozróżniała słów, ale ton głosu nie pozostawiał wątpliwości. Automatycznie przeniosła wzrok na kuchenne drzwi, które właśnie gwałtownie się otworzyły.

Ale nie pojawiła się w nich Annie. Pierwszy na patio wyszedł Case McCord.

Kubek z lemoniadą niebezpiecznie zadrżał w dłoni Pru, a słodkie lepkie krople pociekły na jej nagie udo. Prawie nie poczuła tej odrobiny chłodu na rozgrzanej słońcem skórze. Całą jej uwagę przykuł zbliżający się do niej mężczyzna.

Gdzieś głęboko w niej zapłonął niebezpieczny, żłudny płomyk nadziei. Pra uświadomiła sobie, że tak naprawdę nigdy nie zgąsł. Jakaś jej częśćka żywiła tę szaloną nadzieję od dnia, w którym opuściła dom w La Jolli.

Oczy przybysza powędrowały natychmiast ku jej twarzy. Pod tym mrocznym, oceniającym spojrzeniem Pru aż się wzdrygnęła. Siedziała bardzo spokojnie na leżance, nie śmiejąc się poruszyć. Z trudem przyjmowała do świadomości obecność McCorda w tym domu. Siła woli i determinacja otaczające go niczym aura były niemal namacalne.

Przyglądała mu się zachłannie, mając nadzieję, że w raz oczu nie zdradzi jej uczuć. Był ubrany na sportowo jak zwykle; miał na sobie džinsy i koszulę, której długie rękawy, zawinięte aż do przedramienia, odsłaniały mocne, potężne mięśnie. Prawie czarne włosy były lekko potargane, zupełnie jakby przed chwilą przeganiał je palcami w niecierpliwym geście. Wysokie buty wydawały głuchy stuk na wyłożonym kafelkami patiu otaczającym basen. McCord zmierzał długimi, zamaszystymi krokami prosto ku niej.

Jak przez mgłę dostrzegła Annie, postępującą tuż za niepożądanym gościem i atakującą go gniewnym głosem niczym mały, rozzłoszczony terier.

- Do diabła, nie wolno panu wdzierać się tu w taki sposób. Moja siostra ma prawo zdecydować, czy chce pana widzieć, czy nie. Nie pozwolę jej niepokoić, rozumie pan?

- Mamusiu, co się stało? - Katy przerwała hałaśliwą zabawę w basenie i przyglądała się z ciekawością niezna-

jomemu. Towarzyszący jej Dave także znieruchomiał. Jego błękitne oczy mierzyły obcego z wielkim zainteresowaniem.

- Nic takiego - powiedziała stanowczo Annie. - Ten pan mówi, że chce się widzieć z waszą ciocią. To wszystko. Wracajcie do zabawy. - Zawołała do siostry: - Nie wiedziałam, kim on jest, Pru! Zanim się zorientowałam, zdążył już wejść do środka. Przykro mi, że tak się stało. Wiesz, że nie musisz z nim rozmawiać, jeśli nie chcesz.

McCord przemówił dopiero wówczas, gdy zatrzymał się przed Pru.

- Ona będzie ze mną rozmawiać - oświadczył cichym, pozbawionym emocji głosem. - Prawda?

Pru powoli rozkrzyżowała nogi i usiadła na skraju leżanki, nie odrywając oczu od jego twarzy.

- Co tu robisz, McCord?

Uśmiechnął się ironicznie, trochę smutno i dziwnie łagodnie. Spojrzenie jego ciemnych oczu było mroczne i głębokie.

- Znasz odpowiedź, prawda? Musiałem cię odnaleźć. Jej puls bił odrobinę za szybko i odrobinę za mocno.

- Dlaczego?

Przykucnął przed nią tak, że jego wzrok znalazł się na poziomie jej oczu.

- Myślę, że znasz odpowiedź również i na to pytanie. Przyjechałem zabrać cię do domu. To tam chcesz być, a ja chcę cię tam widzieć.

Potrząsnęła głową, wciąż oszołomiona. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Case McCord nie należał do mężczyzn narzucających się kobietom.

- Nie wiem, co powiedzieć - szepnęła wreszcie.

Wyciągnął rękę, dotknął jej drobnej dłoni i objął ją ciepłym, mocnym uściskiem.

- Zazwyczaj nie brakuje ci słów. W każdym razie tak było w dniu twego odjazdu. - Podniósł się i pociągnął ją, aż stanęła przed nim. - Dlaczego wyglądasz na taką zaskoczoną, złotko? Nie spodziewałaś się, że pewnego dnia mnie tu zobaczysz?

- Nie - wyrzuciła z siebie z całą szczerością, kiedy już odzyskała jasność umysłu. - Założyłam, że kiedy oświadczyłeś, iż nie zamierzasz za mną jechać, mówiłeś szczerze. Zawsze mówisz, co myślisz, McCord.

- Zdarza mi się popełniać błędy, jak wszystkim.

Wyczuła w tych słowach nutkę znajomej arogancji.

- Och, nie wątpiłam w to ani przez chwilę. Nie spodziewałam się tylko, że potrafisz się do nich przyznać. W każdym razie nie tak szybko.

Zaśmiał się cicho i pociągnął ją za rękę.

- Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać. Już prawie wpół do szóstej. Ubierz się. Pojedziemy na drinka i na kolację. Nie potrzebujemy widzów. - Wskazał na dwójkę dzieci i Annie. Cała trójka z bacznością obserwowała przebieg wydarzeń.

Jego słowa wyrwały Annie z pełnego niechęci milczenia. Spojrzała na siostrę.

- Nie musisz z nim nigdzie iść.

- Wiem. - Pru odwróciła głowę w stronę byłego kochanka. - Podaj mi jakiś powód, McCord.

- Żebyś ze mną wyszła? - spytał z nie ukrywaną arogancją. Świadczyły o niej uniesione brwi i linie ust wygię-

tych w półuśmiechu. Nie był przyzwyczajony do konieczności tłumaczenia się ze swego postępowania. - Czy musisz? Nie chcesz ze mną iść, Pru?

- Nie, jeśli sądzisz, że wszystko między nami może wrócić do poprzedniego stanu. Nie miałam napadu hysterii tamtego dnia, kiedy wyjechałam. I nie odeszłam od ciebie w gniewie. Odeszłam, bo uznałam to za najlepsze, co mogłam zrobić w tych okolicznościach. Nie zmieniłam zdania.

- Ale ja tak - powiedział po prostu.

Wbiła w niego osłupiały wzrok.

- Ty zmieniłeś zdanie?

- Jasno dałaś mi do zrozumienia, że nie zaakceptujesz niczego poza małżeństwem. Chcę, żebyś do mnie wróciła. Jeśli jedyny sposób na to, by cię mieć, to poślubić cię, nie mamy o co się spierać. Przebierz się, Pru. Pójdziemy w jakieś spokojniejsze miejsce i pomówimy o małżeństwie.

Wargi jej drżały. Usiłowała znaleźć jakąś sensowną odpowiedź, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Odwróciła się i spojrzała na siostrę, licząc na wskazówkę, jak powinna postąpić w tej dziwnej sytuacji. Annie sprawiała wrażenie głęboko zamyślanej.

- Przebierz się, Pru - powiedziała półgłosem. - McCord ma rację. Przy tego rodzaju widowni nie da się przeprowadzić osobistej rozmowy.

Pru zerknęła na Case'a. Jego twarz przybrała wyraz czujności, zupełnie jakby się bał, że ona spanikuje i ucieknie.

Świadomość, że kochanek spodziewał się po niej tak śmiesznej reakcji, spowodowała, iż gwałtownie podsko-

czył jej poziom adrenaliny i nagle poczuła przypływ energii. Przeprosiła gościa z chłodnym, lekkim skinieniem głowy i przeszła przez patio w kierunku przesuwanych szklanych drzwi prowadzących do pokoju dziennego. Po chwili znikła wewnątrz domu.

McCord odprowadził ją wzrokiem. W całym ciele czuł znajome napięcie. Wystarczył widok jej słodko zaokrąglonego tyłeczka, którego kształty podkreślało jeszcze czerwone bikini. Boże, jak mu jej brakowało. Miniony tydzień był jednym z najbardziej frustrujących i przygnębiających w jego dotychczasowym życiu.

- Była przekonana, że nie przyjedzie pan tu za nią - zauważyła Annie, przerywając zadumę McCorda.

Raptownie oderwał wzrok od przesuwanych szklanych drzwi, odwrócił się i spojrzał na nią. Uznał, że wcale nie jest podobna do siostry. Annie była jasną blondynką o błękitnych oczach, podczas gdy włosy Pru, o wiele dłuższe i ciemniejsze, wpadały w ciepły odcień kasztanowego brązu. Również zielone oczy Pru podobały mu się bardziej. W spojrzeniu Annie dostrzegł wrogość. Westchnął. Nie był zaskoczony.

- Nie przedstawiłem się jak należy, pani Gates.

- Proszę się tym nie kłopotać. Domyśliłam się, kim pan jest. Czy naprawdę zamierza pan ożenić się z Pru, czy to tylko podstęp, żeby z powrotem ściągnąć ją do San Diego?

Annie nie ukrywała siostrzanego sceptycyzmu. W McCordzie na moment wezbrała wściekłość, ale zapamiętał nad emocjami.

- Mówiłem poważnie. W przeciwnym razie nie wspominałbym o tym.

- Kiedy?

- Kiedy co? - Spojrzał na nią pytająco.

- Kiedy ma pan zamiar się z nią ożenić? - spytała z niecierpliwością Annie.

- Najszybciej, jak się da. - W jego wzroku pojawiło się wyzwanie. Ku jego zaskoczeniu Annie po prostu skinęła głową.

- To dobrze. Myślę, że nawet bardzo dobrze. - Powiedziawszy to, odwróciła się w stronę basenu. - Dzieci, dość na dziś. Czas wyjść i szykować się do kolacji.

Katy i jej brat z ociąganiem podpłynęli do schodków i wygramolili się z wody.

- Czy on będzie jadł z nami kolację? - spytała dziewczynka, nie odrywając wzroku od przybysza.

- Nie - odparła energicznie matka. - Zabierze ciocię Pru na kolację w mieście. No, biegnijcie. - Ponownie odwróciła się do mężczyzny. - Niech pan siada, panie McCord. Moja siostra za chwilę przyjdzie. - Ruszyła ku domowi, ale zatrzymała się gwałtownie, usłyszawszy za plecami głos McCorda.

- Zaopiekuję się twoją siostrą, Annie - powiedział cicho.

Annie prześliznęła się po nim spojrzeniem, zupełnie jakby go oceniała.

- To nie będzie takie łatwe, jak myślisz.

- Co nie będzie takie łatwe?

- Przekonanie jej, żeby zgodziła się zostać twoją żoną. Już wykonałeś zbyt dobrą robotę, przekonując ją, że nie chcesz się żenić. - Znów się odwróciła i weszła do domu.

McCord stał przy basenie, pogrążony w myślach. Annie

miała słuszość. Wykonał kawał dobrej roboty, przekonując Pru, że nigdy się z nią nie ożeni. Od samego początku nie krył swych poglądów na małżeństwo, chociaż był czas, że martwił się, iż ją z tego powodu utraci. W końcu znalazła się w jego objęciach z całą słodką, namiętną wielkoduszością swej natury, a potem zamieszkała z nim i zaczęła przeobrażać miejsce do mieszkania w prawdziwy dom.

Z jego punktu widzenia umowa między nim a Pru miała znacznie solidniejsze podstawy niż większość małżeństw. Był zły i oszołomiony, kiedy ni stąd, ni zowąd zaczęła nalegać na rozmowy o przyszłości. Fakt, że jego słodka, wielkoduszna, namiętna Prudence przeistoczyła się w stanowczą, pełną roszczeń kobietę, która ośmieliła się postawić mu ultimatum, wprawił go we wściekłość. Natychmiast uznał, że najskuteczniejszą metodą przekonania jej, iż on nie pozwoli sobą manipulować żadnej kobiecie, jest oskarżenie jej o błąd.

Tyle że ona wierzyła w każde słowo swego ultimatum.

Przez cały pierwszy dzień po odejściu Pru wmawiał sobie, że ona wróci. Kochał ją. Tego akurat był pewny. Głęboko wierzył, że kiedy wybuch kobiecego gniewu minie, Pru wróci do niego jak na skrzydłach.

Jeszcze nie otrząsnął się z szoku spowodowanego jej odejściem, kiedy przyszedł rachunek z kliniki ginekologicznej. Jak tylko rozdarł kopertę i przejrzał zawartość, wszystko stało się nagle aż nazbyt jasne. Będąc panią siebie, Pru mogłaby wrócić do kochanka. Tylko że ona nie była już panią siebie. Była w ciąży.

Nosiła pod sercem dziecko McCorda, dziecko mężczy-

zny, który arogancko oświadczył, że małżeństwo go nie interesuje. Poniewczasie zdał sobie sprawę z tego, co wpłynęło na jej decyzję. Założyła, że skoro myśl o małżeństwie była mu obca, tym bardziej nie byłby skłonny zaakceptować faktu, że jest ojcem. A jednak zebrała się na odwagę i zaryzykowała, żądając ślubu. Kiedy jej odmówił, zrobiła jedyną rzecz, którą w swoim przekonaniu w tych okolicznościach uznała za słuszną - opuściła go.

Dzisiejszego wieczoru będzie musiał znów o nią zabiegać, rozpraszać jej wahania i lęki, aż poczuje się na tyle bezpieczna, by jeszcze raz poddać się jego woli. Tym bardziej że teraz naprawdę nie było wyboru. W chwili gdy dotarło do niego, że Pru jest w ciąży, cały świat McCorda ponownie się wyprostował.

Nie mógł dłużej pozwalać na to, by jego przeszłość kładła się cieniem na teraźniejszości i przyszłości.

Stał samotnie na rozgrzanych słońcem kafelkach patia i myślał o przeszłości. Trzy lata temu odciął się od wszystkiego i wszystkich, których znał od kołyski. Powiedział sobie, że może żyć bez tych wszystkich rzeczy i ludzi, a nawet udawać, że nie istnieją. Odszedł od upartego, dumnego mężczyzny, który był jego ojcem, od bolesnych wspomnień o zmarłej narzeczonej i nie narodzonym dziecku, które odeszło wraz z nią. Porzucił również swoje dziedzictwo.

Teraz jednak zamierzał ożenić się i mieć dziecko. Wszystko się zmieniło.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy do stolika podeszła kelnerka, żeby przyjąć zamówienie na drinki, Pru zażyczyła sobie soku owocowego zamiast zwyczajowego kieliszka wina. McCord zerknął na nią z rozbawioną miną.

- Czyżbyś postanowiła zachować dzisiaj szczególną ostrożność? Boisz się, że od alkoholu rozum ci się zmaci?

- Zważywszy na okoliczności, uważam, że odrobina ostrożności nie zawadzi - odparła ze świeżo odzyskanym spokojem.

Gdy już usiadła naprzeciwko McCorda w przytulnym barze sąsiadującym z salą jadalną wybranej przez niego luksusowej restauracji, doszła do przekonania, że wreszcie jest w stanie postępować wobec niego racjonalnie i poważnie.

Było o wiele za wcześnie na wyznanie, że jest w ciąży i tylko z tego powodu unika alkoholu. Musiała przeprowadzić całą rzecz powoli i ostrożnie. Case działał szybko jak zwykle. Poprzednim razem to szybkie tempo sprawiło, że zanim się obejrzała, zgodziła się z nim zamieszkać.

McCord sięgnął przez stół i nakrył jej dłoń swoją. Jego oczy skrywał cień, ale namiętny błysk, jaki się w nich

pojawił, był doskonale widoczny dla kogoś, kto znalazł go tak dobrze jak ona.

- Nie musisz się martwić, złotko. Jeśli nasze dzisiejsze spotkanie znajdzie finał w łóżku, stanie się tak dlatego, że ty będziesz tego chciała, a nie dlatego, że cię upiję i uwiodę. Okaż mi trochę zaufania. Nigdy nie stosowałem tej taktyki wobec ciebie.

- Nigdy nie musiałeś - usłyszała swoje pełne smutku wyznanie.

Zanim zdążył odpowiedzieć, przyniesiono sok owocowy i whisky. Po odejściu kelnerki Pru wbiła wzrok w swoją szklanę.

- I to cię dręczy, Pru? - spytał miękko McCord. - To, że pragnęłaś mnie tak bardzo jak ja ciebie?

Uniosła głowę, jej spojrzenie było poważne i odrobinę zaniepokojone.

- Nie wstyd mi tego, co czułam w stosunku do ciebie. Myślę tylko, że tobie ułatwiło to życie, a mnie wręcz przeciwnie.

- Kochasz mnie, mam rację, Pru? - Jego spojrzenie, bardzo bezpośrednio, przenikało ją na wylot. - To leży u podstawy wszystkiego. Oto powód, dla którego poszłaś ze mną do łóżka za pierwszym razem, i powód, dla którego w końcu zgodziłaś się ze mną zamieszkać.

Zdobyła się na lekkie wzruszenie ramion.

- Wydaje ci się, że zawsze znasz wszystkie odpowiedzi, prawda, McCord?

- Zamierzasz zanegować to, co przed chwilą powiedziałem?

- Nie. Nie miałoby to zbytniego sensu. Poza tym to

i tak nie ma znaczenia. Będziesz wierzył w to, w co chcesz wierzyć. Zasadnicze pytanie sprowadza się do tego, co ty czujesz do mnie.

Słyszając, jak sprawnie pobiła go jego własną bronią, aż zamrugał. Na parę sekund wygiął wargi w uśmiechu niechętnego podziwu.

- Chcę, żebyś do mnie wróciła. Chcę mieć cię w swym łóżku i w swym domu. Jak rozumiem, do pełni szczęścia potrzebujesz gwarancji, którą jest dla ciebie małżeństwo. Chętnie dam ci tę gwarancję.

Odsunęła na bok szklankę z sokiem, pochyliła się ku niemu przez stół i zadała jedyne pytanie, które miało dla niej znaczenie.

- Czy ty mnie kochasz, Case?

Zamyślił się na chwilę.

- Nie wiem - powiedział wreszcie z całą szczerością. - A jak myślisz?

- Myślę, że mnie kochasz, ale z jakiegoś powodu będzie ci trudno to przyznać. Chciałabym znać ten powód. Doprowadza mnie to do szału, odkąd cię poznałam.

Dużo było trzeba, by zaskoczył McCorda, ale teraz z pewnością wyglądał na skonsternowanego jej rozważnymi słowami.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

Uśmiechnęła się, usiadła wygodniej i zaczęła mu się bawczo przyglądać. Głęboki dekolot wąskiej, białej bawełnianej sukienki ześliznął się nieco na jedną stronę, odsłaniając delikatne wklęsnięcia i dołki na ramieniu. W cienkim złotym łańcuszku, zdobiącym szyję, odbijało się światło świecy. W tym łagodnym świetle jej oczy wydawały się złote.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak niewiele ja czy wszyscy inni wiedzą o tobie, McCord? J.P. wie, że jesteś świetnym fachowcem w swojej dziedzinie i że potrafisz sprawić, by wszystko szło jak należy. Martha - że lubisz ciasto maślane z orzeszkami i nie znosisz słodkich likierów po kolacji. Steve wie, że lubisz ogrody i przywiązujesz wagę do tego, by twój dom otaczało całe mnóstwo bujnie rosnących roślin.

- A ty, Pru? Co ty o mnie wiesz?

Lekko poruszyła ręką.

- Wiem, że chodziłeś do dobrych szkół, jesteś oddany pracy w fundacji i byłeś mi wierny, odkąd się poznailiśmy.

Na jego twarzy pojawił się niemal niedostrzegalny uśmiech.

- Co sprawia, że jesteś tego taka pewna?

- Po prostu jestem i już.

Skinał głową.

- Mów dalej.

- Cóż, poznałam wiele drobnych szczegółów...

- Nie wyłączając tego, jak zadowolić mnie w łóżku.

Usiłowała nie dostrzegać prowokującego wyrazu jego oczu.

- Jesteś dobrym nauczycielem, przyznaję, ale nie o to teraz chodzi. Chciałam powiedzieć, że choć poznałam wiele szczegółów, jest równie dużo istotnych spraw, których wciąż nie rozumiem.

- Na przykład?

- Dlaczego byłeś tak nieprzejednany, kiedy zaczęłam mówić o małżeństwie, to po pierwsze. - Na ułamek sekun-

dy zapadła cisza, po czym Pru zadała kolejne pytanie: - Byłeś już kiedyś żonaty, McCord?

- Nie. Trzy lata temu byłem zaręczony.
- Jak się domyślam, sprawy potoczyły się źle?
- I to bardzo.
- A ty... ty wciąż ją kochasz, czy tak?
- Ona nie żyje. Zginęła w wypadku samochodowym.

Nie, zapewniam cię, że jej nie kocham. - Ton jego głosu dawał do zrozumienia, że nie zamierzał powiedzieć na ten temat nic więcej.

Pru przez chwilę rozważała, co kryje się za tymi szorstkimi słowami.

- To dlatego nie chciałeś się żenić? Bo twoje pierwsze zaręczyny pozostawiły po sobie zbyt głęboki uraz?

Uniósł szklaneczkę i pociągnął łyk trunku.

- To, co się stało w przeszłości, nie dotyczy ciebie, Pru.
- Może nie, ale mam prawo wiedzieć, dlaczego nagle zmieniłeś zdanie w sprawie małżeństwa - odparowała.

Odstawił szklaneczkę na stolik.

- Już ci mówiłem, dlaczego zmieniłem zdanie. Chcę, żebyś do mnie wróciła, a ty wyjątkowo jasno dałaś rai do zrozumienia, że twoją ceną jest małżeństwo.

Pru zadrzała, ugodzona szczerością tego stwierdzenia, zamknęła oczy, po czym zastygła bez ruchu.

- To się nie uda, prawda? Przykro mi, McCord. Proszę, uwierz mi, nigdy nie zamierzałam ustalać ceny na siebie i żądać, żebyś ją zapłacił. Nigdy nie chciałam, żeby między nami wytworzyła się sytuacja tego rodzaju. Żałuję, że nie potrafiłam ułatwić tej sprawy nam obojgu. Niestety, nie mogę z tobą mieszkać. Już nie. Teraz wiem także, iż nie

mogę cię poślubić. Przynajmniej tak długo, jak długo ty postrzeżasz tę całą sprawę jako transakcję handlową. Nie licz na to, że sprzedam się tobie w zamian za obrączkę.

- Pru...

Nie zwracała na niego uwagi. Szybko podniosła się z miejsca i sięgnęła po swoją torebkę.

- Nie musisz mnie odwozić, McCord. Wezmę taksówkę.

- Do diabła, Pru, siadaj. - Wstał, zanim zdążyła obejść krzesło. Zacisnął dłoń na jej nadgarstku, skłaniając ją tym samym łagodnie, lecz stanowczo do tego, aby ponownie zajęła swoje miejsce. - Już raz odeszłaś ode mnie przy świadkach. Nie zamierzam pozwolić, abyś zrobiła to ponownie. Zniszczyłaś moje ego i moją dumę, moja pani. Nie potrzebuję kolejnej demonstracji twego typowo kobiecego temperamentu. Czyżby ci nie wystarczyło, że jestem tu i na kolanach proponuję ci małżeństwo?

Wpatrywała się w niego ze zdumieniem, usiłując uwolnić nadgarstek. Kiedy dotarło do niej, że McCord nie zamierza jej puścić, z powrotem usiadła na krześle. Wówczas oderwał dłoń i opadł na swoje miejsce, przesywając ją wzrokiem.

Upłynęła dobra chwila w pełnym napięcia milczeniu, zanim poczucie humoru Pru wreszcie dało o sobie znać.

- Na kolanach, McCord? Wybacz mi, proszę, ale nie zdawałam sobie sprawy, że się przede mną płaszczysz. Odniosłam niejasne wrażenie, że przyjechałeś tu, by zmusić mnie do wyjścia za ciebie.

Uśmiechnął się z przymusem.

- Z pewnością ułatwiłoby mi życie, gdybym potrafił to zrobić. Masz pojęcie, przez co przeszedłem w ubiegłym

tygodniu? Od twego wyjazdu Martha i Steve prawie się do mnie nie odzywają. J.P. przynajmniej raz dziennie wygłasza wykład o tym, jak powinno się traktować uczciwą kobietę. Sądząc po tym, jak wszyscy się zachowują, można byłoby pomyśleć, że przykułem cię łańcuchami do łóżka i zmusiłem do życia w grzechu przez ostatnie trzy miesiące. Jestem więcej niż pewny, że nawet gdybym przekonał cię, byś wróciła i zamieszkała ze mną bez ślubu, J.P., Martha i Steve nie dopuściliby do tego. Oni wszyscy myślą, że już wystarczająco długo postępowałem z tobą nie tak, jak należy. Teraz, kiedy wyrwałaś się z moich szponów, mają nadzieję, że pozostaniesz poza moim zasięgiem, póki nie zmusisz mnie do zrobienia tej jednej jedynej słusznej rzeczy.

- Nie miałam pojęcia - powiedziała na pół do siebie Pru - jak wielu ludzi na tym świecie wciąż żywi te same przekonania co ciotka Wilhelmina, kiedy przychodzi do takich spraw jak mieszkanie z mężczyzną bez ślubu.

- Czy to ta sławna ciotka, która uczyła cię, by nie sypiać z mężczyzną, zanim nie zaciągniesz go do ołtarza?

- Ta sama. - Z jakiegoś powodu Pru nagle poczuła się znacznie lepiej. Uświadomiła sobie, że napięcie między nią a McCordem właśnie zelżało, a swoboda, która zazwyczaj cechowała ich wzajemne relacje, powróciła. Pru, po raz pierwszy tego wieczoru, zaczęła się odprężyć.

- Przyszło mi właśnie do głowy - zauważył powoli McCord - że jest parę rzeczy, których o tobie nie wiem. Nawet twoją siostrę poznałem dopiero dziś. Czy masz liczną rodzinę?

- Tylko ciotkę Wilhelminę. Mieszka w Spot, w Teksasie.

- A twoi rodzice? - podsunął łagodnie.
- Matka nie żyje - odparła cicho Pru. - Zginęła wkrótce po moich narodzinach. W samochodzie, który prowadził pewien bardzo pijany mężczyzna. Niewykluczone, że był moim ojcem. Jechali do Meksyku. Lubię sobie wyobrażać, że po przekroczeniu granicy zamierzali się pobrać. Taka moja dziecięca fantazja.
- Boże, Pru, nie miałem pojęcia...
- W porządku. Właściwie jej nie znałam. Annie cierpiała bardziej niż ja. Jest ode mnie pięć lat starsza i wciąż ma parę wspomnień związanych z matką.
- A jej ojciec?
- Kierowca ciężarówki. Wyjechał z miasteczka na długo przed narodzinami Annie. Moja matka była najwyraźniej bardzo lekkomyślną młodą kobietą, kiedy przychodziło do wyboru męskiego towarzystwa. Poza tym rozpaczliwie chciała wydostać się ze Spot. Najwidoczniej liczyła na to, że jakiś mężczyzna jej w tym pomoże. W efekcie dorobiła się dwójki nieślubnych dzieci. Ciotka Wilhelmina bardzo się obawia, że w rodzinie jest zła krew.
- A co myślicie ty i twoja siostra?
- Pru uśmiechnęła się łagodnie.
- Że moja matka urodziła się w biedzie i dwukrotnie desperacko próbowała od niej uciec, wiążąc się z mężczyznami, których miała nadzieję poślubić. Dwukrotnie popełniła błąd.
- Domyślam się, że wychowała was ciotka?
- Pru przytaknęła.
- Moja ciotka była zawsze bardzo dumna z tego, że nie poszła najłatwiejszą drogą, aby wydostać się z biedy. Zdo-

była wykształcenie i została nauczycielką w szkole podstawowej. Skończyło się na tym, że utrzymywała z nauczycielskiej pensji dwójkę dzieci. - Zamilkła na chwilę, po czym powiedziała powoli: - Bardzo trudno dorastać pod opieką kogoś, kto nie kryje, że był zmuszony poświęcić się dla ciebie. Szczerze mówiąc, bywały chwile, kiedy żałowałam, że nie oddała mnie i Annie do rodziny zastępczej. - Uśmiechnęła się. - Ale oczywiście ciotka Wilhelmina nigdy nie zrobiłaby czegoś podobnego. Jest prawą kobietą, która zna swoje obowiązki i je wypełnia.

- Nie omieszkawszy zadbać o to, by wszyscy wokół byli tego świadomi?

- Właśnie.

- Znam ten typ. - McCord wykrzywił usta w rozba-wieniu.

- Cóż, właściwie nie mogę narzekać. Ciotka Wilhelmina jest dobrą kobietą. Poświęciła całe swoje życie, troszcząc się o to, abyśmy, Annie i ja, nie poszły w ślady matki. Była wobec nas bardzo surowa, ale to dzięki niej skończyliśmy szkołę i college. I zrozumiała nas, kiedy pierwsze, co postanowiliśmy zrobić po college'u, to strząsnąć ze stóp pył Spot. Na początku, kiedy Annie udała się do Kalifornii, a ja poszłam za jej przykładem, miała trochę wątpliwości, uznała jednak, że w kwestii zaszczepienia nam podstawowych wartości zrobiła, co mogła. Naszą sprawą było żyć, jak należy. Kiedy Annie wyszła za mąż za Tony'ego Gatesa, była zachwycona. Mogła przestać się martwić przynajmniej o jedną z nas. Często przyjeżdża do nich w odwiedziny. Mam wrażenie, jakby z wiekiem trochę złagodniała. Chyba lubi dzieci Annie.

- Domyślam się, że nie powiedziałaś ciotce o związku ze mną? - McCord uniósł dłoń, zanim Pru zdążyła odpowiedzieć. - Zapomnij, że o to pytałem. To oczywiste. Nie mogłabyś jej powiedzieć, że mieszkasz z mężczyzną bez dobrodziejstw, jakie daje ceremonia zaślubin, chyba że nie miałabyś innego wyjścia. Wyobrażam sobie, że należy do ludzi, którzy wpadliby w szal, usłyszawszy coś takiego.

- Raczej uznałaby, że to ta zła krew - poprawiła Pru. McCord pokręcił głową, zasmucony i zaskoczony.

- Zdawałem sobie sprawę, że niełatwo ci przyszło podjąć decyzję o zamieszkanu ze mną, ale nie miałem pojęcia, jak wiele oporów musiałaś przezwyciężyć w swym własnym umyśle, żeby to zrobić.

Pru przez chwilę rozważała jego słowa.

- Ta cała sytuacja od samego początku była skomplikowana. Może udałoby mi się wszystko wyprostować, gdyby nie... - Urwała, nie kończąc zdania.

- Gdyby nie co, złotko? - podsunął McCord, próbując zachęcić ją do zwierzeń. Może teraz powie mu o dziecku? Tymczasem Pru nie pisnęła na ten temat słowa. Nie rozumiał dlaczego, ale nic nie powiedział. W końcu to jej niespodzianka. To ona miała prawo go nią zaskoczyć.

- Nieważne. McCord, co my zrobimy?

- Pobierzemy się.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Po prostu nie wiem. Jest tyle spraw, które należałoby rozważyć. Tyle rzeczy, których o tobie nie wiem.

- Nie martw się tym. Kochasz mnie, a ja nie chcę żadnej innej kobiety. Ostatnio dotarło do mnie ponad wszelką

wątpliwość, że do szczęścia potrzebujesz świadectwa ślubu. Dopilnuję, żebyś je otrzymała.

W duchu przyznawał jej rację, jeśli chodzi o pewne aspekty tej sytuacji. Było wiele rzeczy, które powinna o nim wiedzieć, ale dzisiejszy wieczór nie nadawał się na tego rodzaju wyznania. Choć czuli się ze sobą znacznie swobodniej niż na początku kolacji, Pru wciąż była spięta i niepewna. Nie chciał ryzykować i wyjaśniać swojej rodzinnej sytuacji akurat teraz. To mogło poczekać. Obecnie musiał skoncentrować się na tym, by możliwie łagodnie wprowadzić ją na powrót do swego życia.

- Złotko, znasz mnie równie dobrze jak wszyscy inni. Nawet lepiej, jeśli mam być szczery. Wiesz, że nigdy cię nie okłamałem. Musisz mi uwierzyć, skoro mówię, że chcę, byś była ze mną.

- Ale małżeństwo?

Oczy rozbłysły jej nie skrywaną tęsknotą i nadzieją. Naprawdę go kochała. Po prostu bała się wyznać to na głos. Fakt, że nie próbowała wykorzystywać ciąży, by zmusić go do ślubu, poruszył go do głębi. Dzięki temu zdał sobie sprawę z tego, jaka jest dumna.

W ciągu minionego tygodnia zaczął przyznawać się sam przed sobą, że małżeństwo nie jest wcale takim złym pomysłem, i wręcz przywiązywać do tej myśli. Zaatakowała go jak grzyb, jak powiedziała by J.P. Arlington. McCord odkrył, że podoba mu się pomysł związania się z Pru na stałe pod względem prawnym i emocjonalnym. Coś w tej koncepcji odpowiadało władczej stronie jego natury. Ciekawe, dlaczego wcześniej nie zdał sobie z tego sprawy. Prawdopodobnie dlatego, przyznał w du-

chu, że nie było takiej potrzeby. J.P. miał słuszność. McCord był tak radosny jak byk w koniczynie. Nie było powodu myśleć o zmianie sytuacji, która idealnie mu odpowiadała.

- Tak, Pru. Małżeństwo. Przecież tego właśnie chcesz, a ja chętnie w to wejdę.

Nie wyglądała na zachwyconą sposobem, w jaki to ujął, ale też nie zerwała się z krzesła i nie wybiegła na ulicę. Przez długą chwilę milczała. Kiedy wreszcie się odezwała, jej głos brzmiał bardzo cicho i niepewnie.

- Czy ty... - Urwała, odchrząknęła i spróbowała ponownie: - Czy ty kiedykolwiek myślałeś o tym, żeby mieć dzieci?

McCord uśmiechnął się najbardziej przekonująco, jak potrafił.

- Uważam, że skoro zamierzamy się pobrać, możemy równie dobrze pójść na całość. A im wcześniej, tym lepiej. Nie stajemy się młodszy, prawda? Chyba byłiby z nas dobrzy rodzice, jak sądzisz?

- Tak - przytaknęła uszczęśliwiona. - Myślę, że tak.

W jej oczach odmalowała się ulga, ale Pru nic nie powiedziała. McCord nie naciskał.

Zadbał o to, żeby kolacja przebiegła bez zgrzytów. Rozmyślnie skierował rozmowę na neutralne tematy i nie omieszkął przekazać Pru najnowszych wieści z fundacji oraz relacji Steve'a Grahama dotyczącej ogrodu.

- Pewnego dnia znajdę jakiś sposób, by go nauczyć odkładania narzędzi na miejsce - powiedział z surową miną, skończywszy opisywać uprawy pomidorów.

- On uwielbia pracę w ogrodzie i tak wiele korzysta od

ciebie. Przyznaj, bawi cię uczenie go - podkreśliła Pru. - Po co robić tyle szumu o jakiś drobny zły nawyk?

- Bo takie postępowanie szkodzi narzędziom i ktoś mógłby zrobić sobie krzywdę, dlatego - odburknął.

- To taki drobiazg. - Uśmiechnęła się szeroko. - Nie przejmuj się tym.

- Zobaczmy, czy będziesz tak mówić, kiedy wejdiesz na grabie.

Ponieważ w jego naturze leżało rozwiązywać problemy z miejsca i bez niedomówień, wolałby dalej wywierać nacisk na Pru. Teraz, kiedy sam podjął decyzję, niecierpliwilo go jej wahanie. Był coraz bardziej świadomy, że ona znajduje się na krawędzi, i równie pewny, że wie, jak Pru się zachowa, kiedy nadejdzie czas.

Gdy kolacja zbliżała się do końca, zaczął się zastanawiać, co dalej. Miał łatwy wybór. Mógł spróbować zwabić ją do swego pokoju w hotelu albo odwiedzić do domu siostry i przed drzwiami pożegnać się z nią cnotliwym, dżentelmeńskim pocałunkiem.

Nie ulegało wątpliwości, która opcja odpowiada mu bardziej. Cały wieczór przesiedział jak na szpilkach. Wystarczyłoby jedno dotknięcie, by doprowadzić go do wybuchu. Nie trudno było się zorientować, że Pru bardzo uważała, by go nie dotknąć. Zastanawiał się, czy to oznacza, że jest równie bliska utraty panowania jak on, i doszedł do wniosku, że to możliwe. W końcu strawił parę miesięcy, poznając ją intymnie, ucząc się, jak doprowadzić ją do ekstazy, i rozwijając szósty zmysł odczytywania jej reakcji.

Była jego kobietą i znał ją naprawdę dobrze. Gdyby dzisiejszego wieczoru odrobinę bardziej nacisnął, mógłby

z łatwością mieć ją w swoim łóżku. Właśnie tam chciał ją zobaczyć i domyślał się, że ona, choć wciąż nie była gotowa tego przyznać, właśnie tam chciała się znaleźć.

Kiedy wstali od stolika, jego oczy spoczęły na moment na delikatnej krzywiznie jej piersi pod dopasowaną sukienką z bawełnianej dzianiny. Idąc za nią w kierunku drzwi, podziwiał subtelnie prowokujące kołysanie jej bioder. Obserwowanie zmian w jej smukłym ciele w miarę rozwoju ciąży będzie z pewnością fascynującym doświadczeniem. Już się na to cieszył.

Nagle odkrył, że myśl o dziecku, zwiniętym teraz bezpiecznie w swoim ciepłym gniazdku, jest o wiele bardziej podniecająca, niż mógłby przypuszczać. Zatęsknił za tym, by kochać się z kobietą noszącą w łonie jego dziecko. To gwałtowne doznanie tak nim wstrząsnęło, że aż się zatchnął. Pru obejrzała się za siebie, marszcząc czoło, zupełnie jakby wyczuła, że coś jest nie tak.

- Case? Czy coś się stało?

- Nie - odparł lakonicznie. Już wiedział, jak powinien postąpić. - Nic się nie stało. Przynajmniej nic takiego, na co mógłbym poradzić dzisiejszego wieczoru. - Kiedy weszli na chodnik, podał jej ramię i poprowadził do samochodu, zaparkowanego pół przecznicy w dół ulicy. - Czas, bym zawiózł się do siostry. Robi się późno.

Pru głęboko wdychała ciepłe, balsamiczne powietrze, świadoma siły bijącej od mężczyzny u jej boku.

- Zawieziesz mnie prosto do domu?

- Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że zawiozę cię do Annie. Dom twojej siostry nie jest twoim, Pru. Twój dom jest przy mnie.

- Wydajesz się bardzo pewny swego.
- Jestem pewny. - Zatrzymał się przy ferrari i otworzył przed nią drzwiczki. - A kiedy ty również będziesz tego pewna, zabiorę cię tam. Na razie zawiozę cię po prostu do domu Annie.

Zerknęła na niego ostrożnie, wślizgując się do środka. Uśmiechnął się lekko i stanowczo zamknął drzwiczki samochodu, zanim zdążyła obmyślić odpowiedź. Patrząc, jak obchodził przód ferrari, poczuła bolesne ukłucie tęsknoty. Kiedy zajął miejsce za kierownicą obok niej, chciała go dotknąć, ale nie śmiała. Za to ukradkowo dotknęła swego wciąż płaskiego brzucha.

McCord w milczeniu prowadził samochód wysadzaną palmami aleją, która wiodła przez zamożną dzielnicę, zamieszkiwaną przez klasę średnią. Przemówił dopiero po zaparkowaniu samochodu przed domem w południowo-zachodnim stylu.

- Przyjadę po ciebie rano. Moglibyśmy wybrać się na plażę. - Czekaając na odpowiedź, przyglądał się jej badawczo, oparłszy przedramię o kierownicę.

Pru próbowała myśleć jasno i logicznie, ale to się jej nie udało.

- Zgoda - usłyszała swój głos. - To byłoby miłe.

Skinął głową i wysiadł z samochodu. Odprowadzwszy ją do frontowych drzwi, zatrzymał się. Z miejsca domyśliła się, że on odwróci się i natychmiast odejdzie. Wyciągnęła rękę i dotknęła go, po raz pierwszy tego wieczoru.

- McCord?
- O co chodzi, Pru?

- Nie... nie chcesz wejść do środka? Nie miałeś okazji poznać Tony'ego.

- Zaczekam, aż będę pewny, że mam stać się członkiem rodziny. - Pochylił się i musnął wargami jej usta w przyjacielskim pocałunku.

Pru wydała z siebie cichy dźwięk, wyraz zarazem protestu i tęsknoty, prawie niesłyszalny wśród cichych odgłosów nocy. Jeśli McCord go usłyszał, nie dał tego po sobie poznać. Prawie natychmiast uniósł głowę, zupełnie jakby dotyk jej warg go palił.

- Dzwonek? - podsunął.

Pru zamrugała.

- Co takiego?

- Zadzwoń do drzwi.

- Ach. - Pogrzebała w torebce. - Nie trzeba. Mam klucz.

Wziął go od niej i wsunął do zamka. Kiedy przeszła przez próg, skinął jej głową na dobranoc, odwrócił się i poszedł alejką do samochodu.

Pru nie wiedziała, czy ma płakać, czy się śmiać. Powoli zamknęła drzwi i oparła się o nie. W holu pojawiła się Annie. Jej zatroskane oczy były pełne pytań.

- Nie spodziewałam się ciebie dzisiejszego wieczoru - powiedziała spokojnie.

- To dlatego, że nie znasz dobrze Case'a McCorda. - Pru oderwała się od drzwi. - To inteligentny mężczyzna. Na tyle, by wiedzieć, kiedy naciskać, a kiedy pozwolić swej ofierze samej zmierzać prosto w pułapkę.

- Nie wyglądasz na zbyt zaniepokojoną jego metodami.

Pru uśmiechnęła się tajemniczo.

- Nie niepokoję się, bo mam wrażenie, że on istotnie ma ten zamiar, Annie. Myślę, że on naprawdę chce się ze mną ożenić.

Annie uśmiechnęła się szeroko.

- Chyba masz rację. Jak długo zamierzasz trzymać go w niepewności?

Pru dotknęła brzucha.

- Nie za długo. Po prostu potrzebuję trochę czasu, żeby się upewnić, czy dobrze robię. - Westchnęła ze zdziwieniem. - Nie sądziłam, że on tu za mną przyjedzie, Annie. Byłam przekonana, że już nigdy go nie zobaczę.

- A więc nie znasz go tak dobrze, jak myślisz. Wystarczyło mi raz spojrzeć na jego twarz dzisiejszego popołudnia, kiedy niemal siłą wdarł się do domu, i już wiedziałam, że nie wyjdzie stąd bez ciebie.

Trzymała go w niepewności jeszcze przez dwa dni. Jeden z nich spędzili na plaży, drugi w Disneylandzie. Wspaniale było znów poszaleć u jego boku, pomyślała w drodze powrotnej z Disneylandu. Uświadomiwszy to sobie, zerknęła na McCorda, który zgłębiał zawilosci systemu autostrad Los Angeles.

- Ile masz wolnego? Czy J.P. nie będzie cię potrzebował?

Zagadnięty, uśmiechnął się szeroko, ale nie oderwał wzroku od drogi.

- J.P. dał mi wyraźne instrukcje, żebym nie wracał bez ciebie.

Otworzyła oczy szerzej.

- Nie wiedziałam, że tak się martwi utratą jednej małej redaktorki.

- Moim zdaniem, najbardziej doskwiera mu brak twoich talentów gospodyni. Przywykł do tego, że to ty organizujesz przyjęcia koktajlowe, lunche i kolacje wydawane przez fundację. Rozpuściłaś go. Teraz boi się, że będzie musiał sam sobie radzić. Myśl o tym, że za parę tygodni odbędzie się pierwszy doroczny bal fundacji, przyprawia go o dreszcze. To ty go na to namówiłaś, nie zapominaj. Przypomnij sobie, jak go zapewniałaś, że zbierze fortunę w postaci datków na rzecz fundacji, jeśli wyda ekskluzywny bal na cele charytatywne. Aż do tej pory wszystkim się zajmowałaś, nic więc dziwnego, że sama myśl o zorganizowaniu imprezy bez ciebie, wystarczy, by oblał go zimny pot. Jedyne, co J.P. potrafi, to upiec mięso na rożnie. Już kawior i kanapki przerastają jego możliwości.

- Może znaleźć kogoś innego.

- Kiedy chce, żebyś ty wróciła. - McCord zamikł na ułamek sekundy, po czym dodał: -I ja też. - Wtem uśmiechnął się. - J.P. mówi, że bez ciebie jestem pożyteczny jak, no wiesz...

Pru wbiła wzrok w jego wyrazisty profil i spytała słodko:

- Jak wymiona u byka?

- Mniej więcej. J.P. był odrobinę bardziej obrazowy.

- Założę się, że tak. To podobne do niego. Albo mojej ciotki. - Siedziała w milczeniu przez parę minut, wpatrzona w widok za oknem. Wreszcie skinęła głową. - Zgoda.

McCord rzucił jej szybkie, uważne spojrzenie.

- Zgoda? Czy to znaczy, że przyjmujesz moje oświadczenia?

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Jeśli jesteś pewny, że chcesz się ze mną ożenić, McCord, przyjmuję twoje oświadczenia.

Ponownie skierował uwagę na drogę.

- Wybrałaś doskonały moment, by mi to oznajmić.

- Czyżbyś się skarżył?

- Nie, pani - zapewnił ją żarliwie. - Biorę, co dają.

- Jesteś pewny, prawda, McCord? - spytała cicho. - Nie mogłabym znieść, gdybyś... gdybyś zmienił zdanie albo żałował, że się ze mną ożeniłeś. Naprawdę nie chcę cię do tego zmuszać.

- Wiem o tym, Pru. Przestań się martwić. Jestem więcej niż pewny, że chcę się z tobą ożenić.

Tego wieczoru obwieścili nowinę Annie i Tony'emu. Annie roześmiała się i uściskała siostrę. Tony, szczupły przystojny mężczyzna tuż po trzydziestce, potrząsnął dłonią McCorda i zaproponował mu drinka.

- Przyda ci się przed rozmową z ciotką Wilhelminą - poinformował przyszłego szwagra.

- Nie wiedziałem, że mam się z nią widzieć. - McCord przyjął zaoferowaną whisky i usiadł na sofie obok Pru. Żartobliwie przyglądał się narzeczonej. - Tylko mi nie mów, że jest tu gdzieś w pobliżu. Zdawało mi się, że mieszka w Teksasie.

- To prawda - odezwała się Annie - ale będziemy musieli do niej zadzwonić i zawiadomić ją, że Pru wychodzi za męża. Gdybyśmy tego nie uczynili, nigdy by nam nie wybaczyła.

Pru skrzywiła się.

- Niewielka strata.

- Daj spokój, Pru, przecież nie myślisz tak naprawdę. - Annie uśmiechnęła się szeroko. - O co chodzi? Boisz się, że po rozmowie z ciotką Wilhelminą McCord zmieni zdanie?

- Istnieje taka możliwość.

Tony zachichotał.

- Przeżyjesz, McCord.

- Czy ona naprawdę jest taka straszna? - spytał McCord niepewnie, ale kiedy spojrział na Pru, oczy mu się śmiały.

- Wyobraź sobie wszystkich groźnych nauczycieli, którzy uczyli cię kiedykolwiek w szkole podstawowej, razem wziętych. Wszystkich tych, którzy zatrzymywali cię po lekcjach, żebyś dokończył pracę, i wszystkich tych, którzy posyłał cię do dyrektora za każdym razem, gdy coś przeskrobałeś. I nie zapomnij o tych, którzy sprawiali, że czułeś się jak kompletny idiota za każdym razem, kiedy zawałiłeś test z matematyki albo dyktando. Dołóż jeszcze tych, których pomysł na wychowanie seksualne polegał na tym, by cię przestrzec, że kiedy w tańcu za bardzo przytulasz się do dziewczyny, ona zajdzie od tego w ciążę. Potrafisz to sobie wyobrazić? - Tony pociągnął łyk whisky. - Ale skoro ja jakoś zniosłem śledztwo, oczekuję, że zbierzesz się w sobie, jak przystało na mężczyznę, i zrobisz to samo.

- Śledztwo? - spytał spokojnie McCord.

- Jasne - oświecił go Tony. - Spyta cię, ile zarabiasz, czy masz własny dom, jakie masz perspektywy na przyszłość, czy jesteś ubezpieczony i należysz do funduszu emerytalnego. Będzie też chciała wiedzieć, czy żenisz się z Pru dlatego, że wpakowałeś ją w kłopoty.

Pru zamarła, świadoma, że na policzki wpływa jej

gorący rumieniec. Rzuciła krótkie, pełne bólu spojrzenie na siostrę. Ta lekko pokręciła głową, milcząco zapewniając, że nie powiedziała Tony'emu o dziecku. Pru westchnęła z ulgą, po czym spojrzała na McCorda. Wydawał się nieświadomy jej napięcia. Śmiał się z udawanym smutkiem z tego, co Tony właśnie powiedział.

- Czy ktoś kiedyś próbował powiedzieć ciotce Wilhelminie, że odpowiedzi na te wszystkie pytania to nie jej sprawa? - spytał.

- Żartujesz? Powiedzieć ciotce Wilhelminie, żeby pilnowała swego nosa? Co za obrazoburcza myśl. - Na twarzy Tony'ego odmalowało się niebotyczne zdziwienie.

Annie uniosła dłoń, by powstrzymać męża.

- Dość tego. Śmiertelnie go przerazisz, zanim z nią porozmawia. Nie martw się, McCord. Tony przesadza. Ma specyficzne poczucie humoru.

- Miło mi to słyszeć. Może zadzwonimy, żeby mieć to z głowy?

Pru zerknęła na zegarek.

- W Teksasie jest już prawie dziewiąta wieczór. Może zaczekamy do jutra?

- Nerwowa, złotko? - McCord śmiał się z niej. - Boisz się, że po rozmowie z ciotką Wilhelminą przestraszę się i ucieknę?

- Nie, tylko...

- Nie martw się - powiedział cicho. Rozbawienie w jego wzroku zastąpiła powaga. - Jakiegokolwiek problemy masz z ciotką Wilhelminą, zapewniam cię, że to nic w porównaniu z problemami, które ja mam ze swoją rodziną. Ty przynajmniej, rozmawiasz z własną ciotką.

- O czym ty mówisz? - Pru wpatrywała się w niego ze zdziwieniem. - Z jaką rodziną? Nigdy o nikim nie wspominałeś.

Wziął mały ozdobny telefon stojący na pobliskim stoliku i podał go Pru.

- Dzwon.

- Ale co z twoją rodziną? - Nie dawała za wygraną.

- Zawiozę cię do nich po ślubie. Nie jestem na tyle głupi, by pozwolić ci poznać ich wcześniej.

- Ale, McCord...

- Jedno wyzwanie naraz, Pru. Dzwon.

Pru zimnymi, odrętwiałymi palcami nakręciła numer ciotki. Coś było nie tak. Po raz kolejny przebiegło jej przez myśl, że wciąż nie wie wielu rzeczy o Casie McCordzie. Zbyt wielu.

ROZDZIAŁ 4

Trzy dni później Pru stała przed lustrem zajmującym jedną ze ścian komfortowej łazienki apartamentu w przytulnym zajeździe i zastanawiała się, czemu jest taka stremowana. Przecież to McCord czekał na nią za drzwiami łazienki. Ten sam McCord, z którym mieszkała przez trzy miesiące i który odkrył przed nią tajniki jej własnej zmysłowej natury i potrafił sprawić, że czuła się niewiarygodnie piękna w łóżku.

Ten sam, za którego sprawą była w ciąży.

Przecież nie był kimś obcym. Do niedawna był jej kochankiem, a teraz stał się jej mężem. Wkrótce zostanie ojcem jej dziecka. To typowe dla panny młodej zdenerwowanie w jej sytuacji nie miało najmniejszego sensu.

Pobrali się tego popołudnia. Podpisanie aktu ślubu odbyło się bardzo skromnie. Za jedynych świadków mieli Annie i Tony'ego. Zważywszy na wątpliwości, niepewność i gwałtowne emocje, które dręczyły Pru podczas dwóch tygodni poprzedzających to wydarzenie, sama ceremonia w pewnym sensie ją rozczarowała. Przez mgłę spowijającą jej umysł przedarł się mocny, pewny siebie głos McCorda podczas składania przysięgi, usłyszała swoje własne ciche słowa i wkrótce, bardzo szybko, było po wszystkim.

Później McCord pomógł jej wsiąść do samochodu i odwrócił się, chcąc pożegnać się ze szwagrem. Annie nachyliła się do okienka, by zamienić kilka słów z siostrą.

- Nie powiedziałaś mu jeszcze o dziecku, prawda? - szepnęła.

Pru z uśmiechem pokręciła głową.

- Nie. To szczególny czas. Ślub i miesiąc miodowy są dla nas, dla McCorda i dla mnie. Chcę, byśmy przez dzień czy dwa mogli zająć się wyłącznie sobą nawzajem. Powiem mu później.

- Rozumiem. - Annie uśmiechnęła się szeroko. - Mam wrażenie, że lubię twego męża, Pru. Trzeba przyznać, że świetnie sobie poradził z ciotką Wilhelminą tamtego wieczoru. Myślałam, że umrę ze śmiechu, kiedy zaczęła przypiekać go na wolnym ogniu przez telefon, a on tylko słuchał i uśmiechał się pod nosem, a w końcu powiedział, że poprosi swego bankiera o referencje na piśmie. Biedna Wilhelmina. Wyobrażam sobie jej minę. Zadawała te swoje obcesowe pytania, a McCord po prostu się wymigał.

- On potrafi być bardzo dobry, jeśli chodzi o ignorowanie tego, czego nie uważa za istotne.

- Najlepsze nastąpiło, kiedy spytała, czy wpędził cię w kłopoty. - Annie przybrała stosownie smutną minę. - Tony miał rację. Ciotka Wilhelmina naprawdę to zrobiła. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

Pru zarumieniła się lekko, przypominając sobie odpowiedź męża. Choć ani ona, ani pozostali nie mogli usłyszeć pytania, wszyscy zorientowali się, że padło, bo McCord, ze słuchawką przytkniętą do ucha, obrzucił rozbawionym spojrzeniem szkarłatne policzki Pru.

- Proszę się tym nie trapić, ciociu Wilhelmino - zapewnił. - Jeśli nawet mamy kłopoty, to nie takie, z którymi nie mógłbym sobie poradzić.

Przez chwilę Pru zastanawiała się, czy McCord wie o jej ciąży. Jego przenikliwy wzrok przepalał ją na wylot. Ale zaraz powiedziała sobie, że to niemożliwe.

Ciotka Wilhelmina na parę sekund zaniemówiła, zbyt zaskoczona, by znaleźć odpowiednie słowa. Jednak w końcu, kiedy McCord przekazał słuchawkę Pru, starsza pani nie kryła zadowolenia z narzeczonego siostrzenicy.

- Wygląda na to, że on mocno stoi obiema nogami na ziemi - oświadczyła. - Bezczelny i dumny jak paw, ale to nie takie złe u mężczyzny. W dodatku bardziej wykrętny niż nasmarowany tłuszczem wieprz na lodzie. Powinnaś być wdzięczna, że się z tobą żeni. Taki mężczyzna jak on z łatwością mógłby namówić cię do pójścia z nim do łóżka bez zwracania sobie głowy obrączką. Zadzwoń do mnie, jak wrócicie z podróży poślubnej.

- No i? - spytał McCord, nie wyglądając na zbyt zaniepokojonego. - Jaki werdykt?

Pru odchrząknęła.

- Mówi, że jesteś gładszy niż nasmarowany tłuszczem wieprz na lodzie i że powinnam być wdzięczna losowi, że się ze mną żenisz, bo bez problemu mógłbyś mnie uwieść.

McCord skrzywił się.

- No, no. Ta dama ma dość staroświeckie poglądy, czyż nie? - Pokazał wszystkie zęby w przebiegłym uśmiechu. - Czy jesteś wdzięczna, że się z tobą żenię, Pru?

Zatrzepotała rzęsami w udawanym podziwieniu.

- O tak, nieopisanie. Nie ma słów, którymi byłabym w stanie wyrazić mą wdzięczność.

McCord roześmiał się, otoczył dłonią jej kark, przyciągnął ją do siebie i złożył pocałunek na jej nosie.

- Zupełnie, jakbym miał jakiś wybór.

Nie była pewna, jak potraktować ten komentarz, ale uznała, że w jego zamierzeniu miał być to żart.

Po ślubie McCord powiózł ją wzdłuż wybrzeża aż za Venture. Zatrzymali się w uroczym, wielokrotnie rozbudowywanym zajeździe, położonym nad samym oceanem. Pru zachwyciła się kominkiem, dużą łazienką i luksusowym umeblowaniem niewielkiego apartamentu. Orzekła nawet entuzjastycznie, że to idealne miejsce na miesiąc miodowy.

Teraz jednak była dziwnie niespokojna i nie miała pojęcia dlaczego. Jedno było pewne - im dłużej ociągała się z wyjściem z łazienki, tym większy niepokój ją ogarniał.

Po raz ostatni rzuciła okiem na spływające do ziemi fałdy bladożółtej koszuli nocnej z dużym dekoltem, którą kupiła z myślą o nocy poślubnej, po czym wyprostowała ramiona i otworzyła drzwi.

McCord stał twarzą do okna, wpatrzony w pociemniały ocean. Był nagi do pasa i bosy, bo buty zdjął już wcześniej. Dzinsy, w które przebrał się po kolacji, zwisały mu luźno na biodrach, a szerokie, muskularne barki lśniły złotawo w słabym świetle nocnej lampki.

Zdażył już otworzyć butelkę szampana, którą wcześniej zamówił do pokoju, a na stoliku obok niego stały dwa wysmukłe kieliszki. Kiedy usłyszał, że drzwi łazienki się uchylają, odwrócił się i stanął twarzą w twarz ze swoją

nowo poślubioną żoną. Jego oczy były nieskończenie ciemne i niezgłębione, ale ich spojrzenie brało ją w posiadanie. Pru zatrzymała się w progu, trochę zażenowana.

McCord uśmiechnął się lekko i sięgnął po butelkę szampana. Napełnił oba kieliszki, uniósł je, powoli przeszedł przez pokój i wręczył jeden z nich Pru. Ujęła go lekko drżącymi palcami i odwzajemniła uśmiech.

- Wiem. - McCord, nie odrywając od niej wzroku, starał się łagodnie dodać jej otuchy. - Ja też się trochę denerwuję.

- Jak przypuszczam, to jedna z zalet mieszkania z mężczyzną przed ślubem - szepnęła Pru. - Zna cię na tyle dobrze, że domyśla się, co czujesz, kiedy wychodzisz z łazienki w noc poślubną.

- Zażyłość niesie z sobą pewne wygody, prawda? - Przytknęła kieliszek do jej warg, nakłaniając ją do skosztowania trunku.

Pru przypomniała sobie te wszystkie porady, w których przestrzegano kobiety w ciąży przed pić alkoholu, i poprzestała na umoczeniu języka. Zmarszczyła nos, uświadomiwszy sobie, że nie czuje smaku. Dziwne. Zwykle doceniała dobrego szampana.

- Skoro znamy się tak dobrze, dlaczego się denerwujemy? - spytała, unosząc głowę i patrząc na McCorda.

Wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie dlatego, że kiedy wszystko już zostało powiedziane i zrobione i staliśmy się mężem i żoną, weszliśmy w nową fazę.

Nagle ogarnęło ją wyjątkowe zażenowanie. Jej oczy

w słabym świetle rozszerzyły się, a ukryty w nich niepokój stał się bardziej widoczny.

- McCord, jesteś pewny, że właśnie tego chciałeś?

Wyjął niemal pełen kieliszek z jej palców, postawił go na stoliku obok swojego i ścisnął ją mocnymi dłońmi za ramiona. Stała nieruchomo, zafascynowana tą męską pewnością siebie, którą widziała w jego oczach.

- O, tak, moja słodka Prudence, właśnie tego chciałem. Po prostu uświadomienie sobie tego zajęło mi trochę czasu. - Ustami potarł lekko jej wargi, zacieśnił uścisk na ramionach i przyciągnął ją do swego twardego torsu.

Uśmiechnęła się drżącymi wargami. Przytłoczona głębią własnych odczuć i olbrzymią ulgą, którą odczuwała na myśl, że znów jest z McCordem, wtuliła się w niego bez oporów. Położyła głowę na jego nagim ramieniu i zamknęła oczy, a ciepły, piżmowy zapach jego skóry przenikał jej zmysły.

- Nie sądziłam, że cię jeszcze kiedyś zobaczę - szepnęła.

- Nie powinnaś być taka niemądra. - Złożył lekki pocałunek na jej włosach.

- Powiedziałaś, że za mną nie pojedziesz.

- Byłem wściekły. A poza tym myślałem, że blefujesz. Nie mogłem uwierzyć w to, że naprawdę mnie zostawisz.

Pru nagle poczuła się winna. Objęła go ramionami w pasie.

- Przepraszam. Myślałam, że muszę to zrobić.

- Wiem - powiedział łagodnie. - Po tych wszystkich miesiącach spędzonych u twego boku i po rozmowie z ciotką Wilhelminą mogę tylko powiedzieć, że to cud, że

byłaś ze mną tak długo, zanim zażądałaś zalegalizowania naszego związku. Należysz do kobiet, którym zależy na podejmowaniu zobowiązań. I w zamian chcesz tego samego. Powinienem być zdać sobie z tego sprawę dawno temu. Powinienem być przewidzieć, co się stanie, jak tylko uświadomiłem sobie, że mnie kochasz.

Wtuliła twarz w jego ramię i przygryzła mu skórę małymi białymi zębami, zaskakując tym zarówno siebie, jak i jego.

- Bestia. Czemu jesteś tak pewny tego, że cię Kocham?

- Nie wiem. Od naszego pierwszego razu jestem cię bardzo pewny. - Kiedy zaczęła protestować, zacieśnił uścisk. - Wiem, to arogancko brzmi, ale to fakt. Nie potrafisz ukrywać swoich uczuć. To dlatego nie przejąłem się, kiedy zagroziłaś, że ode mnie odejdziesz. Pomyślałem, że za bardzo mnie kochasz, żeby zrealizować swą groźbę.

- Nie sądziłam, że mam wybór.

Jego dłonie przesuwają się niespiesznie i zmysłowo wzdłuż szczupłych pleców żony, kojąc napięcie jej ciała.

- Wiem, Kochanie. Teraz jestem przeświadczony, że miałaś słusność. Nie moglibyśmy tego tak dalej ciągnąć. Nadszedł czas, by pomyśleć o przyszłości. - Jego głęboki głos był niczym pieszczota aksamitu na skórze. McCord przytrzymał dłońią jej podbródek i unióśł twarz do pocałunku.

Wystarczyło, że poczuła uspokajające muśnięcia jego warg, a wszystkie jej wątpliwości rozwiały się jak poranna mgła. Westchnęła cicho, niemal bezgłośnie. Pożądanie trawiące jego ciało przenikało przez jej skórę, docierając do wszystkich zmysłów. McCord pragnął jej tak samo bezgranicznie jak dawniej.

Jego pożądanie naprawdę nie było tak bezgraniczne, pomyślała z kobiecą mądrością. Takie się jednak wydawało, bo emanujące z niego zmysłowe pragnienia przepalały jej skórę. Kiedy wziął ją w ramiona, odniosła wrażenie, że zagarnął ją głęboki, rwący wodospad, ale z doświadczenia wiedziała, co uczynić, by przekształcić tę grzmiącą kaskadę w powolną, leniwą rzekę zaspokojenia.

Twarde wargi dotąd błędziły po jej ustach, aż z cichym jękiem rozkoszy rozchyliła je, odpowiadając na pocałunek. McCord natychmiast wsunął język do środka, smakując ją, prowokując, podniecając, jak tylko on potrafił. Pru zadrżała w jego uścisku.

- Minęło tyle czasu - wymruczał tuż przy jej wargach.

- Zaledwie parę tygodni.

- Wydaje się, jakby to była wieczność. - Całował ją z taką pasją, aż całkowicie poddała się jego sile. Kiedy na ramionach poczuł dotyk jej zaciskających się kurczowo palców, jęknął i wziął ją na ręce.

- Case? - Spojrzała na niego szeroko otwartymi, ufnyymi, lśnącymi miłością oczami.

- Powiedziałem sobie, że postaram się sprawić, by dzisiejsza noc była szczególna. Jeśli będziesz patrzeć na mnie w ten sposób, jeszcze zanim znaleźliśmy się w łóżku, nie zdołam wytrzymać na tyle długo, by zrobić to jak należy. - Położył ją na szerokim łóżu i przez długą chwilę stał nieruchomo, nie spuszczać z niej wzroku.

Pru uśmiechnęła się.

- Czy nie wiesz, że z tobą jest zawsze niezwykle? Zawsze potrafisz sprawić, by wszystko było jak należy.

Pokazał zęby w uśmiechu, krzywym, prowokującym,

podniecająco łobuzerskim uśmiechu czysto męskiej aprobaty. Jego dłonie powędrowały do zatrząsków dżinsów.

- Jak się domyślam, to kolejna zaleta tego, że noc poślubną mamy za sobą, czy tak, złotko? Nie musimy się martwić, czy będziemy w stanie zadowolić jedno drugie. - Dżinsy wylądowały na podłodze, a McCord zbliżył się do łóżka.

Puls Pru przyspieszył na widok jego szczupłego, umięśnionego ciała. Już wcześniej widywała go podnieconego, oczywiście, ale jego ciężka, nabrzmiała pożądaniami męskość nieodmiennie wywoływała w niej zmysłowy dreszcz.

- Powinnam była przywyknąć do twojej nagości. - Koniuszkami palców przejechała lekko po twardym udzie, kiedy powoli kładł się obok niej. - Mam jednak dziwne wrażenie, że nigdy nie przyzwyczaję się do dzielenia z tobą sypialni.

McCord wybuchnął niskim, chrapliwym, zmysłowym śmiechem.

- Wiem. Podoba mi się, że zawsze, kiedy widzisz mnie nagiego, mrugasz i wpatrujesz się we mnie, jakby to był nasz pierwszy raz. To niesamowicie działa na moje ego. - Pochylił się i ucałował zagłębienie u nasady jej szyi. - Nie martw się. To szczególne zahamowanie powinno ci minąć w ciągu najbliższych sześćdziesięciu lat czy coś koło tego.

Pru zagłębiła koniuszki palców w jego gęstych włosach i spojrzała na niego z nagłym, szczerym przejęciem.

- Myślisz, że tak długo będziemy razem?

Oczy mu zapłonęły.

- Oboje złożyliśmy dziś przysięgę i podjęliśmy zobo-

wiązanie, Pru. Teraz, kiedy to zrobiliśmy, żadne z nas nie może się już wycofać. Ja nie składam lekko przysiąg i nie zaciągam zobowiązań, ty też nie. Zrobimy wszystko, żeby to małżeństwo się udało.

Te słowa zabrzmiały jak uroczyste ślubowanie i Pru tak je potraktowała. Z cichym, gardłowym jękiem objęła męża za szyję i przyciągnęła jego głowę do swojej. Ponownie zawładnął jej ustami, jednocześnie manipulując przy sznurówkach nocnej koszuli.

Wreszcie połyskliwa tkanina rozchyliła się, odsłaniając drobne, ale kragłe piersi Pru. Kiedy dłonią potarł leciutko jedną brodawkę, która zmieniła się pod tym dotykiem w twardy szczyt, Pru spazmatycznie chwyciła powietrze. Spiął jęk pożądania z jej warg i przesunął ciepłą dłoń ku drugiemu różowemu szczytowi. Pod wpływem lekkiej, drażniącej pieczyoty piersi Pru zrobiły się niezwykle wrażliwe.

Jęknęła wprost w jego usta i niecierpliwymi dłońmi szukała twardych konturów męskiego ciała. Koniuszkami palców przegarniała kręcone włoski porastające mu pierś, muskała płaskie męskie sutki, aż z kolei McCord wydawał z siebie ciche jęki pożądania. Przesunął rękę na jej brzuch i władczo rozłożył na nim palce na kształt wachlarza.

- Jesteś taka słodka, zmysłowa i szczerą - szepnął. - Zawsze oddajesz mi się cała, niczego nie kryjesz.

Zadrzała pod dotykiem jego ciepłej dłoni. Uświadomiła sobie, że ostatnio nie była z nim całkowicie szczerą. Wciąż nie wiedział o dziecku.

- Wątpię, czy dwa tygodnie temu, kiedy odeszłam od ciebie, byłeś przytłoczony moją wielkoduszością - szepnęła.

- W twoim postępowaniu nie było niczego małostkowego. Zrobiłaś po prostu to, co dyktowało ci sumienie. Byłaś zdesperowana. Teraz to rozumiem. - Złożył rząd gorących, wilgotnych pocałunków na wznórkach jej piersi i zaczął zniżać się do pępka.

- Och, McCord - jęknęła, wychodząc naprzeciw jego dłoni. - Jestem taka szczęśliwa, że w końcu postanowiłeś się ze mną ożenić. Z nikim innym nie mogłoby mi być tak dobrze. Byłam taka samotna...

- Ja też. - Przesunął palce niżej, podążając do miejsca, które skrywało sekrety jej kobiecości. Z wprawą doświadczonego kochanka badał rozkwitający pąk pożądania.

Pru jeszcze mocniej zacisnęła dłonie na mocnych, kojących mięśniach jego ramion, upajając się zachwycająco znajomymi, ale zawsze nowymi doznaniem, które zaczynały ogarniać jej ciało. Dotyk McCorda miał w sobie coś magicznego. Jak dobrze wiedzieć, że nie będzie musiała obywać się bez tej magii.

Wreszcie sięgnęła głębiej, co zmusiło ją do rozsunienia ud. Kiedy opuszki palców odnalazły źródło rozkoszy, Pru wydała z siebie cichy okrzyk. Potem wtuliła głowę w ramiona męża i zębami drażniła skórę.

- Ach! - jęknął zduszonym głosem McCord, ledwie nad sobą panując. - Kiedy tylko zaczynam myśleć, że jesteś samą słodyczą i światłem, ty natychmiast przypominasz mi, że masz w sobie sporo z drapieżnej kotki.

- Powinieneś o tym wiedzieć najlepiej. To ty wyciągnęłaś ją na światło dzienne. - Usłyszała jego zmysłowy śmiech. Jej dłoń zawędrowała w dół jego ciała. Kiedy

dotknęła pulsującej męskości, jęknął i szeptał jej do ucha gorące, namiętne słowa.

Zmysłowe żądania w jego głosie działały na nią równie podniecająco, jak dotyk palców. Pru poruszyła się niecierpliwie i otworzyła się jeszcze bardziej.

- Taką właśnie cię lubię, najmilsza. Gorącą, wilgotną i spragnioną.

Mocniej zacisnęła dłoń, pieszcząc go tak jak on ją.

- Pragnę cię, McCord. Bardzo cię pragnę. - Pragnienie, które w niej wzbudzał, było wręcz bolesne. Kiedy objęła ramieniem jego szyję, pochwyciła wzrokiem błysk złota. To obrączka, którą wsunął jej na palec tego popołudnia. Pomyślała, że go kocha. Kocha go tak bardzo, że nie byłaby w stanie opuścić go już nigdy.

- Minęły zaledwie dwa tygodnie, a ja czuję, że zaraz eksploduję. - McCord sprawiał wrażenie poirytowanego tym, że opanowanie szybko go opuszcza. - Właściwie nie powinienem się dziwić. Działałaś tak na mnie od chwili naszego poznania. Mam wrażenie, że spodoba mi się małżeński stan. Dobrze będzie wiedzieć, że naprawdę do mnie należysz, wobec prawa i w każdy inny sposób. Ciekawe, czemu wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy?

Nie mogła odpowiedzieć na to pytanie za niego. Mogła tylko cieszyć się, że je zadał.

- Kochaj mnie, McCord - wyszeptała błagalnie, obejmując go ramionami i przywierając do niego. - Proszę, kochaj mnie.

Nic na to nie powiedział, ale udem stanowczo rozchylił jej nogi. Wtulił wargi w jej szyję i opuścił się na jej drżące

ciało. Wtem zacisnął dłoń na jej pośladku i unióś ją lekko, ale się z nią nie połączył.

Kiedy uświadomiła sobie, że zawisł nad nią bez ruchu, uniosła powieki i ujrzała jego płomienny, ale niepewny wzrok. Nigdy wcześniej nie widziała, by się wahał. Mięśnie mu drżały od hamowanego siłą pożądania. Ale panował nad sobą.

- Case?

- Zrób to, Pru. Poprowadź mnie. Weź mnie do środka, kochanie. Daj mi poznać, że mnie pragniesz, i pokaż, jak bardzo. Będę tak cierpliwy, ostrożny i delikatny, jak tylko zechcesz. Obiecuję.

Pokręciła głową, zdziwiona i zmieszana. To była nowa strona McCorda. A myślała, że zna go tak dobrze. Jego delikatność głęboko ją poruszyła. Wsunęła palce w jego włosy i uśmiechnęła się.

- Chcę, żebyś był taki jak zawsze. Nigdy w życiu nie zrobiłeś mi krzywdy.

Na moment zamknął oczy. Kiedy ponownie je otworzył, jego spojrzenie przepalało ją na wylot.

- Czasem bywam trochę brutalny.

Nie zrozumiała.

- Tylko w bardzo podniecający sposób. Czy kiedykolwiek się skarżyłam? - Uśmiechnęła się, nieświadomie prowokująco.

- Nie. - Miał ochrypy głos. - Zawsze tak pięknie mi odpowiadasz. Jestem uzależniony od twoich reakcji, nie wiesz o tym? Ale sądziłem, że teraz kiedy... to znaczy, pomyślałem, że wolałabyś, żeby wszystko działo się odrobinę wolniej i delikatniej niż zazwyczaj.

Jej uśmiech pogłębił się.

- Bo to moja noc poślubna? Nie martw się, McCord. Dzisiejszej nocy pragnę tylko tego co zawsze. Skoro jednak chcesz, bym tobą pokierowała... - Przejechała dłonią w dół jego ciała i odnalazła oczekujący ciężar.

McCord uświadomił sobie, że popełnił błąd, kiedy o mało nie eksplodował w jej dłoni. Dotyk jej palców na pulsującej męskości był czymś więcej, niż mógł w tej chwili znieść.

- Dość - wydyszał. Wyciągnął rękę i odsunął jej dłoń. - Zapomnij o tym. To zły pomysł. Jeśli mnie nie puścisz, zaraz będzie po wszystkim. - Ujął jej dłoń i zamknął w swojej, całując wewnątrz. Potem uwolnił ją i przeniósł dłoń na jej ramiona. Wystarczająco długo czekał. Powiedziała, że dzisiejszej nocy nie ma powodu do szczególnej ostrożności czy delikatności. Postanowił jej zaufać. Na pewno wie, co jest najlepsze w tych okolicznościach. Nie zrobiłaby niczego, co mogłoby zagrozić ciąży.

Przed oczami stanął mu obraz Pru zaczynającej się zaokrąglać i wypełniać jego dzieckiem, który nie zniknął nawet wówczas, gdy wdarł się w nią z całą mocą pożądania, dręczącego go od dwóch tygodni. Ta wręcz porażająco wspaniała wizja omal nie zniweczyła resztek jego samokontroli.

Pru, wyczuwając pożądanie trawiące ciało męża, odpowiedziała tym samym. Cała drżała i dygotała w jego uścisku. Oczy miała mocno zaciśnięte, a jej smukłe, miękkie ciało stopniowo tężało pod wpływem doznawanych emocji. McCord uwielbiał, kiedy cała wibrowała tak jak tej nocy. Działo to na niego silniej niż jakikolwiek narkotyk.

Wypełniało mu zmysły i sprawiało, że fale rozkoszy przenikały go całego.

Nigdy nie będzie jej miał dość, pomyślał w oszołomieniu, kiedy się w niej zanurzył. Wsunął pod nią dłoń, by przytrzymać jej biodra, a później wdarł się tak głęboko, że miał wrażenie, jakby stopili się w jedno.

- Tak, McCord. Tak, moja miłości. Proszę, proszę, o, tak, proszę.

Usłyszał jeszcze, że ostatnie proszę, które zawisło na jej wargach, wyszeptana bez tchu i z zaciśniętym gardłem, a po chwili poczuł, jak jej ciało zaciska się konwulsyjnie. Zatraciła się w miłosnym zapamiętaniu i jak zawsze pociągnęła go w ten wir ze sobą.

- O Boże, Pru. - Następne słowa pochłonał gwałtowny spazm, który wstrząsnął jego ciałem. McCord przylgnął do Pru w uścisku, którego nie dałoby się rozerwać dynamitem. Gwałtownie przycisnął ją do siebie i razem przeżyli moment milczącego zespolenia i najwyższej namiętności.

Długi czas leżeli wtuleni w siebie w szerokim łożu, aż ich ciała znów powróciły do rzeczywistości. Kiedy McCord poczuł, że oddech mu się wyrównuje, niechętnie wycofał się z ciepłego, miękkiego ciała Pru. Poruszyła dłonią w niepewnym, omdlewającym gości i przed oczami błysnęło mu złoto.

- Moja żona - powiedział cicho. Dziwne poczucie władczości i zadowolenia, którego doświadczał od momentu, kiedy nałożył jej obrączkę na palec, znów się w nim budziło. Wpatrzył się w jej rozświetloną miłością twarz. - Teraz jesteś naprawdę moją żoną.

- A ty moim mężem. - W rozmarzonych, sennych

oczach malowało się zdumienie. Przytuliła się mocniej, z ufnością moszcząc się w jego ramionach.

- Cieszę się - powiedział McCord, w pełni przekonany o prawdziwości tych słów - że tym razem wszystko zostało załatwione jak należy. Już ode mnie nie uciekniesz.

To było stwierdzenie, nie pytanie, ale Pru nie zwróciła na to uwagi, a może nie miało to dla niej znaczenia. Złożyła lekki pocałunek na jego wilgotnej piersi i zdecydowanie pokręciła głową.

- Nigdy więcej.

Kiedy usnęła w jego ramionach, zastanawiał się w czułym rozbawieniu, ile jeszcze czasu zamierza czekać, zanim powie mu o dziecku.

Następnego ranka Pru zbudził dziwny ucisk w żołądku. Przez chwilę była zdezorientowana, lecz zaraz uświadomiła sobie, co to oznacza.

Do tej pory myślała, że będzie jedną z tych szczęściarek, które poranne mdłości omijają. Najwyraźniej myliła się.

- O, Boże. - Leżała bez ruchu, wpatrując się w sufit, z nadzieją, że nieprzyjemne doznanie minie.

Jej szept przebudził McCorda, który poruszył się sennie. Ciężkie ramię przygniotło jej żołądek. Pru bardzo chciała, żeby je przesunął. Zazwyczaj uwielbiała sposób, w jaki tulił ją podczas snu, ale tego ranka ciężar na jej brzuchu zdawał się potęgować przykre uczucie mdłości.

- Już nie śpisz? - McCord przekreślił się na bok i leniwie przerzucił jedną stopę przez jej kostkę. Dłoń na jej brzuchu poruszyła się znacząco.

To wystarczyło, by zmienić nieprzyjemne doznanie

w niewątpliwe uczucie mdłości. Pru nabrała pewności, że leżenie bez ruchu i czekanie na cud zdadzą się na nic.

W dodatku nie powiedziała McCordowi, że jest w ciąży. Cóż to za sposób, by przekazać mu nowinę.

- Słonko? - Mąż przyglądał się jej badawczo, mrużąc oczy. - Dobrze się czujesz?

- Muszę iść do łazienki - wyjaśniła, pospiesznie odrzucając przykrycie i zwieszając nogi z łóżka.

- Rozumiem - skomentował z poważną miną, choć nie bez śladu rozbawienia.

Pru nie usłyszała tych słów. Już zdążyła wbiec do łazienki, zatrzasnęła drzwi, zamknęła je za sobą na zamek i rzuciła się w stronę sedesu.

Kolejne pięć minut było dla niej wyjątkowo nieprzyjemne. Tym bardziej że nie potrafiła zdecydować, co jest gorsze: poranne mdłości czy świadomość, że to idiotyczna metoda zakomunikowania mężowi o ciąży. Planowała oznajmić mu tę nowinę w znacznie bardziej uroczysty, romantyczny sposób. Może podczas kolacji przy świecach albo szykowania się do snu.

Ledwie zdążyła spłukać toaletę, a już McCord zaczął dobijać się do drzwi.

- Pru? Źle się czujesz? Co się tam dzieje? Otwórz drzwi, kochanie.

Uświadomiła sobie, że nigdy przedtem nie zrobiło jej się przy nim niedobrze. Prawdę mówiąc, była zdrowa jak koń. Ciotka Wilhelmina nie tolerowała słabeuszy.

- Wszystko w porządku. Zaraz wychodzę.

- Otwórz drzwi, Pru. - Nonszalancję i niepokój w głosie McCorda szybko zastąpiła władczość.

Pru dobrze znała ten ton. Wiedziała też, że nie uda jej się oszukać męża. Nudności wprawdzie minęły, ale wciąż czuła się osłabiona. Spieranie się z McCordem nie było dobrym pomysłem, chyba że było się w szczytowej formie. Nawet wówczas nie można było być pewnym wygranej. Z rezygnacją odsunęła zasuwkę.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Na progu stał , McCord z rękami na biodrach, wpatrując się w nią z gorączkowym niepokojem.

- Co tu się dzieje?

- Po prostu po przebudzeniu poczułam lekkie mdłości, to wszystko.

Przyjrzał się badawczo jej pobladłej, mizernej twarzy.

- Widzę. Lepiej ci?

- Myślę, że przeżyję.

Chyba zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale wtem zmienił zdanie. Głos mu złagodniał.

- Połóż się na chwilę, złotko. Wezmę tylko prysznic. Porozmawiamy, jak skończę. Do tej pory powinnaś poczuć się lepiej.

Porozmawiać? O czym? - zachodziła w głowę. Skąd wiedział, że chciała z nim porozmawiać o czymś ważnym? Nie miała pojęcia, o co mu chodziło, ale nie czuła się na siłach, żeby mu się sprzeciwić. Parę minut w łóżku powinno wystarczyć, by pozbyć się tego nieprzyjemnego uczucia. W tym czasie mogła zastanowić się, w jaki sposób zakomunikować mu, że wkrótce zostanie ojcem.

Podprowadził ją ostrożnie do łóżka, otulił kołdrą i uśmiechnął się do niej zagadkowo.

- Za piętnaście minut jestem z powrotem. - Pochylił

się i ucałował ją w czoło, po czym poszedł niespiesznie do łazienki.

Skonfundowana Pru odprowadziła go wzrokiem. Zachowywał się stanowczo zbyt obojętnie jak na kogoś, kto z samego rana zastał nowo poślubioną żonę wymiotującą w łazience. Zastanawiała się, ile czasu zajmie mu dodanie dwóch do dwóch. McCord nie był głupi. Prawdę mówiąc, na ogół był niepokojąco bystry.

Kiedy dotarło do niej znaczenie tego spostrzeżenia, doznała olśnienia. Zaczęła się zastanawiać, które z nich demonstrowało ostatnio przerażającą tępotę.

On wiedział.

Świadomość tego faktu przeszła jej przez myśl jak błyskawica. Pru odrzuciła przykrycie i usiadła wyprostowana na łóżku.

To niemożliwe - z trudem łapała powietrze. Nie mógł wiedzieć. Nikt nie wiedział poza jej siostrą, a Pru była przekonana, że Annie nie zdradziła jej sekretu.

W takim razie pozostawało tylko jedno źródło informacji. Może z jakiegoś powodu dzwoniło z kliniki. A może przysłano list.

Rachunek. Naturalnie. Zupełnie zapomniała o rachunku, który pewnie przesłano pocztą. McCord musiał przeżyć szok swego życia, kiedy otworzył kopertę.

Trzęsąc się lekko, tym razem z podniecenia, wstała i rozejrzała się gorączkowo po pokoju. Mógł zostawić papiery w domu, chyba że chciał być przygotowany na konfrontację.

McCord był zawsze przygotowany. Zabrałby rachunek ze sobą jako dowód rzeczowy, na wypadek gdyby próbo-

wała go oszukać, wmówić, że nie jest w ciąży. Pospiesznie przeglądała kieszenie lekkiej sportowej marynarki męża przy wtórze dobiegającego z oddali szumu prysznic. Następnie uklękła i rozsunała zamek błyskawiczny sfatygowanej skórzanej torby lotniczej, którą McCord zawsze zabierał ze sobą w podróż.

W torbie znalazła czystą bieliznę, czyste koszule, kilka jedwabnych krawatów i płożożółtą kopertę z adresem zwrotnym kliniki ginekologicznej w San Diego.

Wyprostowała się powoli, zaciskając w dłoni kopertę. W tym momencie drzwi łazienki otworzyły się. Odwróciła się. McCord stał w progu z ręcznikiem owiniętym wokół bioder i patrzył na nią tymi swoimi niezgłębionymi, ciemnymi oczami.

- O co znowu chodzi, Pru?

Zacisnęła palce na kopercie.

- Wiedziałeś, prawda? Dowiedziałeś się, że jestem w ciąży. To dlatego nalegałeś na ten ślub. Wiedziałeś.

ROZDZIAŁ 5

Wiedziałem - potwierdził cichym głosem i bardzo spokojnie McCord.

- Do licha, dlaczego nic nie mówiłeś? - Pru była oburzona.

- A czemu ty nic mi nie powiedziałaś? - odparował.

- Nie chciałam, byś żenił się ze mną tylko dlatego, że jestem w ciąży.

- Do diabła! Powiniennem być się tego domyślić. Zachodziłem w głowę, dlaczego nic mi nie mówisz. Myślałem, że może jesteś zbyt dumna, aby posłużyć się dzieckiem dla osiągnięcia celu. - Zmarszczył czoło. - I okazuje się, że miałem rację.

Zignorowała jego wywód.

- Jak mogłeś mi to zrobić, McCord? Wszystko popsuliś. - Pru czuła, że przestaje nad sobą panować. Rzuciła obciążającą ją kopertę w kierunku kosza na śmieci. Nie trafiła i papiery poszybowały na dywan.

McCord skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o framugę drzwi. Naprawdę był w tym dobry, pomyślała urażona Pru. W tych rzadkich momentach, kiedy zdarzało im się wdać w poważną kłótnię, zwykle spędzał mnóstwo czasu,

tkwiąc w drzwiach i przyglądając się jej tymi swoimi niezgłębionymi, ciemnymi oczami.

- Podchodzisz do tego zbyt emocjonalnie, Pru. Zakładam, że w twoim stanie to naturalne, niemniej jednak uważam, że powinnaś się uspokoić i spojrzeć na całą sytuację rozsądnie.

- Rozsądnie?! - wybuchnęła. - Czyżbyś chciał przez to powiedzieć, że moja ciotka miała rację? Powinam po prostu siedzieć cicho i być ci wdzięczna, że raczyłeś się ze mną ożenić? Cóż, mam nowinę dla was obydwójga. Nie jestem swoją matką. Nie jestem jakąś tam dziewczyną z zapyziałego małego miasteczka, która myśli, że jedynym sposobem ucieczki przed biedą jest znalezienie sobie jakiegokolwiek faceta i wyjście za niego za męż. Nie jestem biedna, pamiętasz o tym? Zdobyłam wykształcenie, mam własny samochód, pieniądze na koncie i doskonałe perspektywy zawodowe. Co więcej, mieszkam w słonecznej Kalifornii, gdzie wszystko jest dozwolone. Nikt nie będzie mnie unikał ani wytykał palcami. Mogę sobie pozwolić na urodzenie tego dziecka i wychowanie go bez ojca. Teraz robi tak mnóstwo kobiet.

- Ale ty nie będziesz wychowywać tego dziecka sama, prawda, Pru? Nie zapominaj, że teraz jesteś mężatką. - McCord rozmyślnie powędrował wzrokiem w okolice jej brzucha, po czym znów przeniósł go na jej twarz. - A ojcem tego dziecka jestem ja. Gdybym tu za tobą nie przyjechał, nigdy byś mi o nim nie powiedziała, czy tak? Dlaczego, Pru? Czyżbyś się bała, że gdy dowiem się o ciąży, wyrzucę cię z domu albo zażądam, abys poddała się aborcji?

Wpatrywała się w niego, zszokowana. Chłód w jego głosie zaskoczył ją bardziej niż te słowa. Nigdy w ciągu tych miesięcy, odkąd go znała, nie mówił tak zimnym, pozbawionym emocji głosem.

- Rzecz jasna, że nie. Obawiałam się, że gdybyś się dowiedział o mojej ciąży, prawdopodobnie ożeniłbyś się ze mną. To dlatego nic ci nie mówiłam. Nie rozumiesz?

Oderwał się od drzwi i ruszył ku niej długimi, odmierzonymi krokami. Pru próbowała się cofnąć, ale nie miała dokąd. Tuż za nią stała szafa. Kiedy zacisnął dłonie na jej ramionach, drgnęła nie dlatego, że ją zabołało, ale na widok wyrazu jego oczu.

- Nie, nie rozumiem - oświadczył przez zaciśnięte zęby. - Przecież chciałaś wyjść za męża. Skoro uważałaś, że ożeniłbym się z tobą, gdybym wiedział o twojej ciąży, dlaczego nie wykorzystyłaś tego jako oręża, aby dostać to, na czym ci tak zależało? Wytlumacz mi to, Pru. To ta jedna rzecz, której nie jestem w stanie pojąć.

- Poślubienie kobiety tylko dlatego, że zaszła w ciążę, to niezbyt trwałe fundament małżeństwa. - Pru poruszyła lekko ręką w geście bezradności. - Postawiłam ci ultimatum, jak to nazwałeś, bo myślałam, że to przemówi ci do rozumu i pozwoli dostrzec, że to, co nas łączy, jest na tyle ważne, by dać podstawę do... no... do czegoś trwalszego. Myślałam, że jeśli zdołam wytrącić cię z tego egoistycznego męskiego zadowolenia, zdasz sobie sprawę, że naprawdę ci na mnie zależy. Skoro przyjechałeś za mną aż do domu Annie w Pasadenie, uznałam, że wreszcie doszedłeś do tego słusznego wniosku i dlatego postanowiłeś się ze mną ożenić.

Potrząsnął nią lekko.

- Pru, posłuchaj, ja naprawdę chciałem się z tobą ożenić.

- Bo dowiedziałeś się, że jestem w ciąży.

- Nie będę zaprzeczać, że miało to pewien wpływ na moją decyzję, ale pojechałbym za tobą nawet wówczas, gdyby rachunek z kliniki nie wpadł mi w ręce.

Uniosła głowę i utkwiała w nim wzrok.

- Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie, McCord.

- Jakie pytanie?

- Czy rachunek przyszedł przed czy po tym, jak postanowiłeś pojechać za mną do Pasadeny?

Krótką pauza, która nastąpiła po tych słowach, starczyła Pru za odpowiedź, zanim McCord zdążył otworzyć usta. Westchnęła z rezygnacją, a mąż powiedział ostrożnie:

- Pru, rachunek z kliniki przyszedł pocztą dzień po twoim odjeździe. Wciąż jeszcze gotowałem się ze złości, że ośmieliłaś się mnie tak zostawić.

Ze smutkiem pokiwała głową, przyjmując do wiadomości ten nie dający się zmienić fakt.

- Tak więc informacja, że jestem w ciąży, spowodowała, iż postanowiłeś działać. Pojawiłeś się w Pasadenie kilka dni później. Jak przypuszczam, trochę czasu zabrało ci wyśledzenie, dokąd pojechałam.

- Tak, to prawda. W końcu nie miałem innego wyjścia, jak zmusić J.P., żeby dał mi twoją teczkę personalną. Nawet nie raczyłaś mi powiedzieć, że twoja siostra mieszka w Pasadenie. Właściwie ledwie wspomniałaś, że masz siostrę. Skoro już przy tym jesteśmy, nie mówiłaś również o swojej ciotce Wilhelminie z Teksasu. Niełatwo było cię

zlokalizować. Dlaczego nie powiedziałaś mi więcej o swojej rodzinie, Pru?

Wzruszyła ramionami. Nie było to łatwe, bo wciąż je ścisłała.

- A dlaczego ty nie opowiedziałeś mi o swojej? Spójrzmy prawdzie w oczy, McCord. Żonaci ludzie rozmawiają ze współmałżonkami o swoich rodzinach. Pary żyjące w związku bez zobowiązań nie mają powodu poruszać takich tematów.

- Nie rozumiem dlaczego. Rozmawialiśmy przecież o wszystkim. - Uwolnił ją i przeszedł dużymi krokami przez pokój do okna. - Nie zadałaś sobie najmniejszego trudu, żeby zapoznać mnie ze swoją rodziną, bo krępować cię, że mieszkasz ze mną bez ślubu. Tak było, prawda, Pru?

- Powinieneś być mi za to wdzięczny - odparła. - Gdyby ciotka Wilhelmina dowiedziała się, że z tobą mieszkam, zaatakowałyby cię jak rój os.

- A twoja siostra?

- Powiedziałaś jej o tym, jak tylko się do ciebie sprowadziłam. Zrozumiała - odrzekła cicho Pru.

- Ale nie była zachwycona?

- Martwiła się o mnie. Uznała, zdaje się, że to dość ryzykowny krok z mojej strony.

- A kiedy pojawiłaś się na progu jej domu, w ciąży i bez mężczyzny u boku, nabrała pewności, że był to ryzykowny krok. - McCord spojrział na nią przez ramię posępnym wzrokiem.

Pru powoli podeszła do łóżka i opadła na nie, odwrócona plecami do męża.

- Powinłam była lepiej się zabezpieczyć. Należało być ostrożniejszą.

Za jej plecami zapadło milczenie. Po chwili McCord powiedział cicho:

- To moja wina. To się zdarzyło tamtej nocy po moim powrocie z Afryki, prawda?

Skinęła głową.

- Tak.

Przez chwilę z zadumą masował kark, zupełnie jakby próbował uśmierzyć jakieś wewnętrzne napięcie.

- Jeszcze nigdy nie byłem tak wyczerpany, zły i załamany, jak po powrocie z tamtej podróży. Nigdy dotąd nie widziałem takiej wszechobecnej, bezlitosnej śmierci. Byłem zdruzgotany. Wiara w to, że przed tymi ludźmi jest jakaś przyszłość, niemal przekracza ludzkie możliwości. Wszystko, co próbuje robić fundacja, to kropla w morzu wobec tego, co ziemia, natura i różne rządy gotują tym biedakom walczącym o życie.

- Rozumiem - powiedziała miękko Pru, wyczuwając w jego głosie starannie skrywane wzruszenie.

- Kiedy zbudziłem się w środku nocy i uświadomiłem sobie, że jestem w domu, a ty jesteś przy mnie, nawet nie pomyślałem o środkach ostrożności. Chciałem tylko utwierdzić się w tym, że obydwójce żyjemy i że przyszłość istnieje. Następnego ranka dotarło do mnie, jaki byłem lekkomyślny. A potem zapomniałem o tym. Skoro ty nic nie mówiłaś, uznałem, że wszystko jest w porządku. Nie przyszło mi do głowy, że zachowasz milczenie, jeśli odkryjesz, że jesteś w ciąży.

Nie musiał mówić tego wszystkiego. Wiedziała, jak

wpłynęła na niego podróż do Afryki. Kiedy przebudził się w środku nocy, ona też nie pomyślała o środkach ostrożności. Wszystkie jej kobiece instynkty sprowadziły się do zaferowania mu pociechy, ciepła i utwierdzenia go w tym, że życie istnieje.

Po raz pierwszy od chwili przebudzenia tego ranka ogarnęło ją coś na kształt wymuszonego rozbawienia.

- Można powiedzieć, że otrzymaliśmy w ten sposób niezbity dowód na to, jak wielka determinacja tkwi w życiu - szepnęła.

Zaskoczyła go tą uwagą. Oderwał się od okna i usiadł na łóżku obok niej.

- Zdaję sobie sprawę, że to nie zaczyna się jak małżeństwo z bajki, którego pewnie zawsze chciałaś, Pru - powiedział cicho. - Nietrudno zauważyć, że niezbyt pasuje do twojej wizji rycerza w lśniącej zbroi. Możemy się jednak postarać, żeby nam się udało. Wczorajszego wieczoru powiedziałem ci, że obydwójce złożyliśmy przyrzeczenie i podjęliśmy zobowiązania.

- A teraz nie ma innego wyjścia, jak przy nich trwać? - spytała prowokująco.

- Znasz odpowiedź. - Uważnie wpatrywał się w jej twarz. Jego spojrzenie było czujne i mroczne.

Pru pomyślała, jak bardzo kocha tego mężczyznę, a potem zwróciła myśl ku dziecku w swym łonie. To dziecko miało prawo znać swego ojca, zwłaszcza że ojciec był zdecydowany ponieść odpowiedzialność za to, co się stało. McCord miał naturalnie rację. Zwykle tak było, gdy przychodziło do praktycznej, racjonalnej strony życia.

- W tych okolicznościach małżeństwo wydaje się istot-

nie najlepszym rozwiązaniem - rzekła wreszcie oficjalnym tonem.

- Jedynym rozwiązaniem, a poza tym już wcieliliśmy je w życie. Nie mamy odwrotu.

Uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Nie musisz dłużej wbijać mi tego do głowy. Byłam trochę roztrzęsiona, przyznaję, ale już się uspokoiłam.

- Miło mi to słyszeć. - Jednak nie wyglądało na to, że jej uwierzył.

- Przypuszczam - ciągnęła w zamyśleniu Pru - że ciotka Wilhelmina miała rację. Rzeczywiście powinnam być ci wdzięczna, że odnalazłeś mnie i skłoniłeś do małżeństwa. Wielu mężczyzn nie zawracałoby sobie tym głowy.

Zacisnął szczęki.

- Do diabła, Pru, nie chcę twojej wdzięczności. Oboje doprowadziliśmy do tej sytuacji i wspólnie się z nią uporamy.

Skrzywiła się lekko, wysliznęła z jego uścisku i wstała.

- Chcesz powiedzieć, że nie muszę płaszczyć się przed tobą trzy razy dziennie, a w piątki całować ci palców u nóg?

Stanął przy niej i władczo sunął dłońmi po jej karku.

- Możesz całować moje palce u nóg - powiedział po namyśle - zawsze, kiedy przyjdzie ci na to ochota.

- Ucisz się, moje serce. - Zmarszczyła nos. - Nie jestem pewna, czy tego rodzaju podniecenie byłoby dobre dla dziecka.

Wzrok mu złagodniał. Przyciągnął ją do siebie i ukrył twarz w jej włosach.

- Będzie dobrze, złotko. Wszystko świetnie się ułoży.

Może faktycznie początek był nieco burzliwy, ale jak tylko przestaniemy na siebie napadać, zrobi się milej.

- Chcesz powiedzieć, jak tylko ja przestanę napadać na ciebie, czy tak, McCord? To prawda, od samego początku zachowywałeś się w tej całej sprawie bardzo życzliwie i wspaniałomyślnie. Teraz to widzę. Za to ja byłam samolubna i nie panowałam nad sobą. To się już nie powtórzy.

Spojrzał na jej szczerą twarz i uśmiechnął się lekko.

- Czy to prawda?

Zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Tak, prawda. Nie śmieję się ze mnie. Sporo ostatnio przeszłam. Nie życzę sobie, żebyś się ze mnie śmiał.

Uściskał ją delikatnie.

- Nie śmieję się z ciebie, kochanie. - Miękkie piersi przylgnęły do jego torsu, a wijący się kosmyk włosów muskał mięśnie przedramienia. - Czuję tylko ulgę, że nie będziemy się już spierać na temat naszego małżeństwa.

- Rzadko się z tobą spieram.

- Wiem, ale gdy już do tego dochodzi, odnoszę wrażenie, że jestem w samym środku burzy z piorunami. Jesteś nieprzewidywalna. Nie wiem, którą drogę obrać w obawie, że rozgniewam cię jeszcze bardziej.

- To jakoś nie powstrzymuje cię od prób - zauważyła sucho.

- Mężczyzna musi coś robić, kiedy jego kobieta wpada w szał. - Zaczął pochylać głowę do pocałunku, ale wysliznęła się z jego ramion. - Pru?

- Robi się późno. Idę wziąć prysznic. - W drzwiach łazienki zatrzymała się. Atłasowa koszulka opływała smukłe kostki nóg. - Zdaje się, że apetyt wraca mi

w dwójnasób. Nie mogę doczekać się śniadania. Za parę minut będę z powrotem.

Drzwi zatrzasnęły się gwałtownie. McCord wpatrywał się w nie przez długą, pełną namysłu chwilę. Chciał wierzyć w to stanowcze oświadczenie, które właśnie wygłosił przed swoją świeżo poślubioną żoną. Chciał przekonać siebie samego, że nieporozumienia naprawdę zostały wyjaśnione i od teraz wszystko między nimi ułoży się bez niepotrzebnych zgrzytów.

Jednak oszukiwanie się nie miało sensu. Pru wprowadzie pogodziła się z małżeństwem, jednak nie była w pełni zadowolona ani tym bardziej szczęśliwa. Chciała zostać mężatką z powodów, które ona uznawała za słuszne. Tymczasem była przekonana, że McCord ożenił się z nią z poczucia obowiązku i odpowiedzialności.

Nie było sposobu, aby jej udowodnić, że jest inaczej.

Jakiś czas spędził na smętnych rozważaniach. Czy to nie ironia losu? Założyła, że ożenił się z nią, bo poczuwał się do odpowiedzialności za dziecko. Ciekawe, co powiedzieliby jego rodzice, gdyby wiedzieli, jak głęboko jego nowo poślubiona żona była przekonana o słuszności swojej własnej interpretacji jego postępowania. To było wręcz zabawne.

Odepchnął tę myśl, podszedł do szafy i wyjął dzinsy i białą koszulę z długimi rękawami. Po raz pierwszy poważnie zastanowił się nad swoją reakcją na rachunek z kliniki. Byłoby miło, gdyby przynajmniej mógł zapewnić Pru, że podjął decyzję, zanim przyszedł ten rachunek.

Ale prawda przedstawiała się inaczej. Dzień po jej odjeździe był oburzony i wściekły. Czuł się zdradzony

i miał wrażenie, że czegoś takiego nigdy przedtem w życiu nie doświadczył, nawet wtedy, gdy trzy lata temu odkrył, że Laura Reynolds, jego narzeczona, jest w ciąży. Uczucia, które opadły go z chwilą, gdy Pru opuściła jego dom, nie dawały mu spokoju i przerażały swoją intensywnością.

Spędził jakiś czas na przekonywaniu siebie samego, że niebawem Pru wróci do niego na kolanach. Wyobrażał sobie nawet, jak się zachowa, kiedy to się stanie. Tym fantazjom w znacznym stopniu sprzyjała spora ilość whisky, którą w siebie wlał, gdy wreszcie przedłużająca się kolacja dobiegła końca. Takie przyjęcia bywały piekielnie nudne, chyba że była na nich Pru. Już ona potrafiła temu zaradzić. Mała dar stwarzania swobodnej atmosfery i prowadzenia interesującej rozmowy. Jak zwykł mawiać J.P., goście reagowali na nią jak muchy na sałatkę ziemniaczaną.

Fantazje, które ukuł tej nocy po przyjęciu i doprowadził do perfekcji, kiedy nad wybrzeżem kalifornijskim wzeszło słońce, wręcz porażały swoim realizmem. W myślach wypracował dramatyczną scenę pojednania, w której Pru miała płakać, przeproszać i obiecywać, że nigdy więcej go nie zostawi.

Za to on początkowo zachowywałby się z dystansem, potem byłby uprzejmy, choć protekcyjny, a wreszcie, wspaniałomyślnie by jej wybaczył. Cała scena oczywiście kończyła się wzięciem Pru do łóżka, gdzie w jedyny słuszny sposób mogłaby wynagrodzić mu to, co przez nią przeszedł.

Zanim dopracował wszystkie szczegóły tej fantazji, nadeszła poranna poczta, a w niej rachunek z kliniki. Otwarcie koperty zmieniło wszystko.

Nie, to nieprawda. Nic nie zmieniło. McCord energicznie i sprawnie zapinał zatrzaski dżinsów. Końcowy rezultat był taki sam. Tak czy inaczej znalazłby sposób, by sprowadzić Pru z powrotem, tam gdzie było jej miejsce. A jej miejsce, czy wiedziała o tym, czy nie, było w jego domu i w jego łóżku.

Pru była zaskoczona swoim apetytem przy śniadaniu. Pochłonęła cztery tosty z pełnoziarnistego pieczywa, dwa jajka w koszulkach, porcję siekanego smażonego mięsa i dużą szklankę soku pomarańczowego, zanim zdała sobie sprawę, co wyprawia. Kiedy zmiatała z talerza resztę grzanki, zobaczyła, że McCord przygląda jej się z rozbarwieniem. Zarumieniła się i odłożyła nie dojezony kawałek z powrotem na talerz.

- Jeśli nie będę się pilnować, wkrótce będę ważyć tonę - powiedziała.

Wziął kawałek tostu i podsunął jej do ust.

- Nie martw się. Najwyżej będziesz pulchniutka.

- Wielkie dzięki - burknęła, poirytowana. Ale jak tylko otworzyła usta, wepchnął tost do środka. Nie miała innego wyjścia, jak go przełknąć. Smakował wspaniale. Zjadłaby jeszcze ze trzy kawałki, ale przezornie postanowiła się do tego nie przyznawać. - Wracamy dziś do La Jolli?

McCord zawahał się, ale po chwili pokręcił głową.

- Nie.

Pru rozejrzała się po eleganckiej jadalni.

- Chcesz zostać tu dłużej? - Nie była pewna, czy podoba jej się ten pomysł. Dla niej miesiąc miodowy skończył się tego ranka, kiedy znalazła kopertę z kliniki.

- Chciałbym spędzić tu trochę czasu - odpowiedział, nie spuszczać z niej wzroku - ale możemy przyjechać innym razem. Powinniśmy wracać do La Jolli najszybciej, jak to możliwe. Jest jednak coś, co chciałbym zrobić przed powrotem do domu.

Pru skinęła głową. Uświadomiła sobie właśnie, że naprawdę chce wrócić do domu. To dziwne, ale od momentu wprowadzenia się do McCorda myślała o jego domu jako o swoim własnym.

- W porządku - odparła z widoczną ulgą. Miesiąc miodowy skończył się nieodwołalnie. Prawdę mówiąc, skończył się, zanim się zaczął.

McCord spostrzegł jej reakcję, zmarszczył ciemne brwi i przybrał poważną minę.

- Całonocna jazda samochodem niezbyt pasuje do miesiąca miodowego.

Pru uniosła ramię z wystudiowaną niedbałością.

- Doskonale pasuje, biorąc pod uwagę okoliczności.

Wyglądał, jakby chciał się spierać, ale najwyraźniej zrezygnował. Powiedział tylko spokojnie:

- Jest coś, co musimy zrobić przed powrotem do domu.

Popatrzyła na niego badawczo.

- Mówiłeś to już. Co to takiego?

Objął obiema dłońmi filiżankę z kawą i upił spory łyk.

- Chcę przedstawić cię mojej rodzinie.

Przez chwilę rozważała jego słowa.

- Powiedziałeś to tak, jakbyś miał zamiar przedstawić mnie hiszpańskiej inkwizycji. Czyżbyś miał w rodzinie całą armię ciotek Wilhelmin?

- Wierz mi - odparł Case - ciotka Wilhelmina to chodząca łągodność w porównaniu z moimi krewnymi. Przynajmniej twoja ciotka cię nie wydziedziczyła i nie oświadczyła ci, że jesteś pozbawiona honoru, nielojalna i odrażająca.

- Nie jestem pewna, czy podoba mi się ta wyliczanka. Sporo tego: wydziedziczony, pozbawiony honoru, nielojalny, odrażający. - Pru była najwyraźniej zaskoczona. - Jacy oni właściwie są?

- Bardzo dumni, bardzo uparci, bardzo twardzi. Jak również bardzo bogaci. Mój ojciec dorobił się na kalifornijskich nieruchomościach. Dorastałem na farmie usytuowanej akurat w samym środku pomarańczowego hrabstwa. Dwadzieścia lat temu ojciec sprzedał ziemię i dostał za nią majątek. Jest bardzo sprytny. Tak się składa, że ma wrodzony dar zarabiania na ziemi. Włożył pieniądze ze sprzedaży farmy w dobrze prosperującą firmę handlującą nieruchomościami, która zainwestowała w kolejne grunty. Potem już nic nie mogło go powstrzymać. Oficjalnie wciąż jest prezesem McCord Enterprises, ale jakiś czas temu przekazał kierowanie firmą memu młodszemu bratu, Kyle'owi. Kyle jest jeszcze sprytniejszy i odnosi jeszcze większe sukcesy niż ojciec. Rodzinne przedsiębiorstwo rozwija się praktycznie z dnia na dzień.

Otworzyła szerzej oczy.

- Czy twoi rodzice oboje żyją?

- O tak. - McCord upił kolejny łyk kawy. - Tak jak mój brat Kyle i jego żona Carrie. Kyle jest dla McCordów powodem do dumy.

Sposób, w jaki to powiedział, zwrócił uwagę Pru.

- Czy to miała być twoja praca? Zanim zostałeś, no, wydziedziczony?

- Jestem najstarszym synem - odparł Case beznamiętnie. - Ojciec zawsze zakładał, że zostanę jego następcą. Nawet po tym, jak podjąłem studia na wydziale rolnictwa, miał jeszcze nadzieję. Ja... przez kilka lat próbowałem go zadowolić.

Pru przekrzywiła głowę na bok i stuknęła lekko paznokciem o obrus.

- Miałeś szczęście, że wyrzucili cię z grona rodzinnego, prawda?

Teraz z kolei McCord wyglądał na zaskoczonego.

- Dlaczego to powiedziałaś?

- To cię uratowało przed zostaniem pełnoetatowym szefem korporacji i pójściem w ślady ojca. Nie mogłabym wyobrazić sobie dla ciebie gorszego losu. Na co dzień musisz mieć do czynienia z bardziej przyziemnymi sprawami. - Uśmiechnęła się lekko. - W głębi serca jesteś farmerem. Dla ciebie i J.P. wystarczająco trudny jest przy-
mus uczestniczenia w życiu towarzyskim, nieodzownym w pracy fundacji. Nie potrafię sobie również wyobrazić ciebie tkwiącego bez przerwy za biurkiem. Gdybyś przejął po ojcu kierowanie firmą, musiałbyś spędzać całe dnie w jakimś szykownym gabinecie, a do ziemi najbliższej miałbyś na polu golfowym.

McCord wpatrywał się w nią przez dłuższy czas, aż wreszcie na twarz wypłynął mu szeroki uśmiech.

- Masz słuszość, wiesz. To byłoby straszne. Nie zda-
wałem sobie z tego sprawy, póki mnie nie skazali na banicję.

- Naprawdę skazali cię na banicję, McCord?

- Nieoficjalnie. Rodzice po prostu dali mi do zrozumie-

nia, że bardzo ich rozczarowałem i nie jestem godny ani nazwiska, które noszę, ani dziedzictwa. Powiedziałem wtedy, zdaje się, coś w rodzaju, że ludziom, którzy mniej niż dwadzieścia lat temu zarabiali na życie, uprawiając fasolę, nie przystoi zbytnie zainteresowanie dziedzictwami i nazwiskami. Wówczas nasz spór wszedł w nową, gwałtowniejszą fazę. Skończyło się na tym, że po prostu odszedłem. Zabrałem ferrari i to, co miałem na koncie, i tyle.

- Co, u licha, zrobiłeś, żeby tak skłócić się z rodziną? - Pru nie potrafiła sobie wyobrazić ojca, który nie byłby dumny z takiego syna jak Case McCord.

- To długa, nudna historia, Pru. - Case próbował wycofać się, zupełnie jakby chciał spuścić zasłonę na przeszłość. Jego oczy ponownie stały się mroczne i niezgłębione. - Krótko mówiąc, nie poślubiłem właściwej kobiety.

- Miałeś się z kimś żenić? - spytała Pru zaskoczona.

- To było trzy lata temu, Pru. Już ci o tym mówiłem. Ona nie żyje.

- To narzeczona, o której wspominałeś tamtego wieczoru przy kolacji? - spytała Pru z napięciem w głosie.

- Tak. Jej ojciec był najlepszym przyjacielem mojego ojca i partnerem w interesach. Laura miała odziedziczyć spore udziały w McCord Enterprises. Jej ojciec tuż przed śmiercią poprosił mego ojca o opiekę nad Laurą. Moi rodzice uważali ją za córkę, której nigdy nie mieli. Matka Laury znikła przed laty, zaraz po rozwodzie, więc gdy umarł jej ojciec, automatycznie staliśmy się dla niej rodziną. Tak się złożyło, że wszyscy uważali, że Laura i ja do siebie pasujemy.

- Nie wyłączając ciebie i Laury. - Pru próbowała zdusić ogarniające ją napięcie.

- Tak - potwierdził McCord - Nie wyłączając Laury i mnie. Była piękną blondynką o anielskiej urodzie. Wszyscy ją kochali. A ona mówiła, że kocha mnie.

- Och. - Pru nie potrafiła wymyślić nic, co mogłaby na to powiedzieć.

- Właśnie.

- No i? - podsunęła w końcu Pru. - Co się stało?

McCord spojrzał w filizankę z kawą.

- Zmieniłem zdanie w kwestii zaręczyn. Doszedłem do wniosku, że nie chcę się z nią żenić. Kiedy jej o tym powiedziałem, wpadła we wściekłość. Zaczęła histeryzować. Nie chciałem jej zostawiać samej tamtej nocy, póki się trochę nie uspokoi. Opuściłem jej mieszkanie dopiero tuż przed drugą nad ranem, kiedy wreszcie doszła do siebie na tyle, by mnie wyrzucić. Wyszedłem więc. Wkrótce po moim wyjściu wskoczyła do samochodu i ruszyła w noc. Policja twierdzi, że kiedy straciła panowanie nad kierownicą na autostradzie, musiała jechać prawie sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- O, mój Boże - szepnęła Pru.

- Umarła w szpitalu trzy godziny później. Przy jej łóżku zebrała się cała rodzina. To była wyjątkowo dramatyczna scena, zapewniam cię. Laura odzyskała przytomność na wystarczająco długą chwilę, żeby poinformować wszystkich obecnych, dlaczego gnała autostradą sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę o drugiej trzydzieści nad ranem.

- Oskarżyła o to ciebie? - spytała zszokowana Pru.

McCord potwierdził skinieniem głowy.

- Można powiedzieć, że skazały mnie słowa umierającej kobiety. To była scena, wierz mi. - Nie powiedział nic więcej.

- Jakie to okropne. Co za straszne zamieszanie. Czy twoja rodzina nie rozumiała, że choć doszło do tragedii, nie było w tym twojej winy?

- Nie, oni byli... - Urwał, szukając odpowiednich słów. - Okoliczności mówiły same za siebie. Myślę, że tak by to określili.

- Jakie okoliczności?

- To już nie ma znaczenia, Pru. Wszystko skończyło się trzy lata temu. Ostateczny wniosek był taki, że naprawdę powinienem był ożenić się z Laurą. Zwodziłem ją i dawałem jej do zrozumienia, że zostanie moją żoną. Kiedy z zimną krwią wycofałem się z naszej umowy, załamała się. Laura była bardzo wrażliwa.

Najwyraźniej uznał, że powiedział na ten temat wystarczająco dużo. Pru znała go na tyle dobrze, żeby w tej chwili nie naciskać. Prawdę mówiąc, była zaskoczona, że powiedział aż tyle. Przez ostatnie piętnaście minut dowiedziała się o przeszłości McCorda i jego rodzinie więcej niż w ciągu minionych paru miesięcy.

- Koniec końców ojciec uznał, że twój brat jest lepszym synem, i zrobił go szefem firmy.

- Coś w tym rodzaju. Teraz to brzmi dość jasno, prawda? Wówczas wydawało się cholernie poplątane.

- Czy przez ostatnie trzy lata widywałeś się często z rodzicami, bratem i jego żoną?

- Przed dwoma laty spędziłem z nimi święta Bożego Narodzenia. To było dość niezręczne dla wszystkich zain-

teresowanych, łagodnie mówiąc. Nie próbowałem powtórzyć tego doświadczenia.

- Teraz jednak postanowiłeś przedstawić mnie swojej rodzinie? - spytała niespokojnie Pru.

- To nie będzie przyjemne, ale nikt nie będzie miał do ciebie pretensji, Pru. To mnie obarczają winą za zaistniałą sytuację. Obiecuję, że nie zostaniemy tam długo. Chcę tylko, żeby się dowiedzieli, kim jesteś i że jesteś moją żoną. W końcu, kiedy na świat przyjdzie dziecko, będą musieli się o tym dowiedzieć.

- Dziecko? - powtórzyła szeptem. - Czy musimy teraz mówić im o dziecku? Nie moglibyśmy trochę poczekać?

- Dlaczego chcesz czekać? - spytał McCord, mrużąc oczy.

Pru naprędce szukała przekonujących powodów.

- Jest zbyt wcześnie. Wciąż jeszcze nie mogę przystosować się do faktu, że jestem w ciąży. Daj mi trochę czasu, McCord.

- Nic się nie zmieni w miarę upływu czasu - podkreślił ostrożnie. - Będziesz tylko w coraz bardziej zaawansowanej ciąży.

- W tym nie ma nic zabawnego - odparowała.

- Wiem. Nie powinienem był z ciebie żartować. Zdaję sobie sprawę, że przez ostatnie parę tygodni sporo przeszałaś. Teraz proszę cię, żebyś stanęła twarzą w twarz z moją rodziną, za którą sam specjalnie nie przepadam. Obiecuję, że nie będę przeciągał struny, oznajmiając im, że nie tylko wczoraj się pobraliśmy, ale że w dodatku jesteś w ciąży.

- Dziękuję ci - powiedziała układnie.

- Jesteś zakłopotana, prawda? - spytał z nieoczekiwaną męską wnikliwością. - To prawdziwy powód, dla którego nie chcesz, żebym wspominał o ciąży. Nie chcesz, żeby ktokolwiek pomyślał, że musiałaś wyjść za męża.

Pru przygryzła wargę. Nie miała pewności, co nią kieruje. Wiedziała tylko, że znajduje się pod presją, jest zestresowana i podziela wszystkie inne uczucia tego rodzaju, zapewne typowe dla przyszlých matek.

- Po prostu wolałabym na razie nic nie mówić - powtórzyła z uporem.

- Jeśli martwisz się o to, że ludzie pomyślą, iż musiałaś wyjść za męża z powodu ciąży, jak, u licha, zamierzałaś być samotną matką?

- To co innego.

- Jak to?

- Nie potrafię tego wyjaśnić i nie mam ochoty próbować. Po prostu przestańmy o tym mówić. Poinformuję wszystkich o mojej ciąży wtedy, kiedy uznam to za stosowne! - wybuchnęła.

Wszystko sprowadzało się do tego, że nie wyszła za męża dlatego, że tego oboje chcieli; wiązało się ze świadomością, że McCord ożenił się z nią, ponieważ należał do mężczyzn, którzy nie uciekają przed odpowiedzialnością. Krótko mówiąc, wyszła za męża z niewłaściwych powodów. Potrzebowała czasu, żeby się z tym pogodzić.

McCord pokiwał głową, zarazem niecierpliwie i współczująco.

- Kobiety - burknął.

- Mężczyźni - odburknęła Pru.

ROZDZIAŁ 6

Przez ten czas, gdy McCord lokował bagaże w samochodzie, Pru zdołała się jakoś pozbierać. Powtarzała sobie w myśli, że absolutnie nie powinna narzekać. Wręcz przeciwnie, powinna być głęboko wdzięczna losowi, dokładnie tak, jak radziła ciotka Wilhelmina. Pru aż za dobrze wiedziała, jak wiele kobiet w podobnej sytuacji jest pozostawianych samym sobie. Jej się poszczęściło i poślubiła ojca dziecka. Nie miała najmniejszego powodu uskarżać się na swoje położenie.

Niemniej jednak czuła się parszywie.

McCord pomógł żonie usadowić się w ferrari, po czym sam zajął miejsce za kierownicą. Przekręciwszy kluczyk w stacyjce, rzucił Pru szybkie, pytające spojrzenie.

- Dobrze się czujesz?
- Tak.
- Masz jakąś dziwną minę. O czym myślisz?

Pru rozmyślnie wykrzywiła się, przybierając jeszcze dziwniejszy wyraz twarzy.

- Po prostu właśnie robiłam sobie samej mały wykład.
- Na jaki temat? - spytał, manewrując samochodem przy wyjeździe z hotelowego parkingu.

- Żeby nie narzekać, kiedy tak naprawdę nie ma na co - wyjaśniła, wyraźnie niezadowolona.

- Czyżbyś dla odmiany postanowiła być mi wdzięczna?

Nie spodobał jej się ton jego głosu.

- Nie zamierzam z tym przesadzać, ale to prawda, odnoszę wrażenie, że powinnam odczuwać wdzięczność.

- Już ci mówiłem, że nie chcę tego.

- Wolałbyś, żebym co chwila wpadała we wściekłość i nie przestawała uskarżać się na swój los? - odparowała.

- Jakby powiedział J.P., niektórzy narzekaliby nawet wówczas, gdyby powieszono ich na nowym sznurku.

- To brzmi podejrzanie podobnie do jednego z powieści ciotki Wilhelminy. Poza tym ja nie narzekam. Przecież powiedziałam, że ćwiczę odczuwanie wdzięczności.

- Co ty na to, żebyśmy już zostawili ten temat?

Pru zerknęła na niego kątem oka i odkryła, że jest bliski wybuchu. Zawsze potrafiła rozpoznać, kiedy McCord był zły. Zaciskał wówczas z całych sił szczęki, próbując w ten sposób zapanować nad emocjami.

- To istotnie mogłoby być najlepsze rozwiązanie - zgodziła się i odwróciła wzrok ku mijającym krajobrazom.

Po lewej stronie autostrady aż po horyzont rozciągały się migocące wody Pacyfiku. Poranna mgła, która często zasnuwała w lecie linię wybrzeża, już zdążyła opaść. Zapowiadał się ciepły dzień.

- Gdzie mieszkają twoi rodzice? - spytała Pru, przerywając długie milczenie.

- Mają posiadłość w pobliżu Santa Barbara.

- Gdzie jest siedziba firmy?

- W Los Angeles.

- A twój brat i jego żona? Mieszkają w Los Angeles?
 - W Marina del Rey - odparł lakonicznie. Było to jedno ze snobistycznych osiedli położonych tuż nad oceanem, na obrzeżach Los Angeles.
 - Czy twoi rodzice spodziewają się nas?
 - Wczoraj zadzwoniłem do matki i zawiadomiłem ją, że wpadniemy do nich dziś po południu. Będziemy tam za godzinę, góra dwie. Myślę, że tyle zdołamy wytrzymać.
 - W ten sposób twój synowski obowiązek zostanie wypełniony, czy tak? Przedstawisz swoją nowo poślubioną żonę rodzinie i na tym koniec? Uważasz, że to wszystko, czego można wymagać w tych okolicznościach?
 - Tak jest - potwierdził kategorycznie. - Aczkolwiek nie zabieram cię tam z poczucia obowiązku.
 - W takim razie dlaczego? - Była autentycznie zdumiona.
 - Nie jestem pewny - odparł z zaskakującą szczerością. - Chyba chodzi o to, żeby dowiedzieli się, że ród się na mnie nie kończy, czy to im się podoba, czy nie. Chcę, aby wiedzieli, że pojawiłaś się w moim życiu.
- Pru zastanawiała się przez chwilę.
- Czy twoja matka była bardzo zaskoczona, kiedy usłyszała, że się ożeniłeś? - spytała w końcu, dość niepewnym głosem.
 - Bardzo.
 - W takim razie naprawdę dobrze się stało, że postanowiliśmy na razie nie mówić im o dziecku. Nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za spowodowanie zbyt wielu wstrząsów w twojej rodzinie za jednym zamachem.

Dom rodziców McCorda okazał się imponującą nowoczesną budowlą wzniesioną wysoko nad morzem. Rozciągały się z niego malownicze i rozległe widoki zarówno na ocean, jak i okoliczne wzgórza. Pru była wręcz zaskoczona wielkością i wspaniałością rodowej siedziby. Dopiero teraz zaczęła zdawać sobie sprawę z bogactwa rodziców Case'a. Baczenie przyglądała się smukłej, nowoczesnej, przeszklonej konstrukcji, gdy mąż wjechał ferrari na długi, kręty podjazd.

- Czy wychowałeś się w tym domu? - spytała, nagle niesłychanie ciekawa odpowiedzi. - Po tym, jak wyprawdziliście się z farmy?

- Nie. Rodzice wybudowali go przed kilku laty. Traktowali go jak dom letniskowy, dopóki ojciec nie przeszedł na emeryturę. Teraz mieszkają tu przez cały rok.

- Robi wrażenie. - Pru nie przychodziło do głowy nic innego.

- Podoba ci się?

- Niezłe miejsce na odwiedziny, ale nie chciałabym mieszkać tu na stałe - odparła bez namysłu.

Roześmiał się.

- Czemu nie?

- Nasz dom podoba mi się bardziej.

Rzucił jej szybkie spojrzenie przy słowach „nasz dom”, ale nic nie powiedział.

Pru nie zauważyła tego spojrzenia. Teraz, kiedy zaparkował samochód na podjeździe, jej uwagę przyciągnęło coś innego. Szerokie, znakomicie rozplanowane podwójne drzwi rezydencji właśnie się otworzyły i stanęła w nich bardzo atrakcyjna kobieta. Musiała dobiegać sześćdzie-

siatki, ale wyglądała przynajmniej dziesięć lat młodziej. Włosy miała ufarbowane na platynowy blond, a krótka, rozwichrzona fryzurka podkreślała duże, wyraziste oczy. Doskonale skrojone spodnie koloru khaki i kremowa bluzka świadczyły o zamożności, a zarazem dobrym guście i braku ostentacji właścicielki.

- Twoja matka? - spytała Pru.

McCord zgasił silnik i obrzucił wzrokiem postać w drzwiach.

- Ma na imię Evelyn.

Evelyn McCord zeszła po schodach. Gdy podeszła bliżej, Pru dostrzegła na jej twarzy napięcie i niepokój, których nie zdołał ukryć szeroki powitalny uśmiech. Matka McCorda była o wiele bardziej zdenerwowana tym spotkaniem niż ona. Niemniej jednak Pru wstrzymała oddech, gdy mąż wysiadł z samochodu i przywitał się z matką. Powitanie sprowadziło się do pełnego rezerwy pocałunku w policzki. Żadna ze stron nie podjęła próby przedłużenia tego krótkiego fizycznego kontaktu.

Pru powoli wysiadła z samochodu. McCord i jego matka odwrócili się ku niej. Kiedy orzechowe oczy Evelyn spotkały się z oczami jej nowej synowej, Pru spostrzegła w ich głębi coś więcej niż napięcie. Tkwiła tam iskra czegoś, co, jak Pru gotowa była przysiąc, było nadzieją.

Szybko dokonano wzajemnej prezentacji. Pru uśmiechnęła się do Evelyn i wyciągnęła rękę.

- Tak się cieszę, że cię poznałam - powiedziała szybko teściowa, pospiesznie przesuwając wzrokiem po twarzy młodej kobiety. - Wczorajszy telefon Case'a to była prawdziwa niespodzianka. Nie miałam pojęcia... To znaczy,

nawet nie śmieliśmy marzyć o tym, że się zaręczył, nie mówiąc o ożenku. Wejdz, proszę, do środka i poznaj Halle'a. Case, może tymczasem zajmiesz się waszymi bagażami? Możesz zanieść je do zachodniej sypialni. Stamtąd jest cudowny widok.

- Nie ma potrzeby wnosić bagażu, mamó. Pru i ja wpadliśmy najwyżej na godzinę. Chciałem tylko, żeby poznała ciebie i tatę.

Pru aż się skrzywiła, usłyszawszy tę chłodną, lakoniczną odmowę. Ujrzała, jak starannie skrywana rozpacz zastępuje nadzieję, która na tak krótko zabłysła w oczach Evelyn McCord.

- A tak liczyłam na to, że zostaniecie przynajmniej na jedną noc - powiedziała ze smutkiem Evelyn. - Dawno cię nie widziałam. Zaprosiłam na kolację twego brata i jego żonę. Mamy nadzieję, że Devinowi Blanchardowi również uda się przyjechać. Wszyscy zostają na noc i wrócą do Los Angeles dopiero rano.

McCord rzucił matce nieprzeniknione spojrzenie.

- Zaprosiłaś Kyle'a, Carrie i Devina?

Evelyn drgnęła, zupełnie jakby ją o coś oskarżył, ale po chwili powiedziała zdecydowanie:

- Uznałam, że powinni poznać twoją żonę, Case.

Zanim McCord zdołał odpowiedzieć, ze szczytu schodów dobiegł męski głos.

- Najmniejsze, co możesz zrobić w tych okolicznościach, to zostać na kolacji. Twoja matka zadała sobie wiele trudu, Case.

Pru odwróciła się i ujrzała na progu domu starszą wersję Case'a. Ciemne włosy mężczyzny były przyprószone si-

wizną, ale bystre, mroczne spojrzenie było równie zdecydowane, nieodgadnione i dumne jak spojrzenie jego syna. Twarz miał tak samo ostro wyrzeźbioną, a tkwiąca w niej męska arogancja rzucała się w oczy. Hale McCord wciąż był mocnym, proporcjonalnie zbudowanym mężczyzną, choć cięższym od syna. Pru nie miałyby najmniejszych trudności z odgadnięciem kto to, nawet gdyby nie znała jego nazwiska. Teraz wiedziała, po kim mąż odziedziczył dumę, arogancję i niesłychany, żeby nie powiedzieć zartwardziały, upór.

- Witaj, ojcze. Chciałbym przedstawić ci moją żonę, Prudence - powiedział chłodno McCord. - Pru, na wypadek, gdybyś się jeszcze nie domyśliła, to mój ojciec, Hale McCord. - Znów zwrócił się twarzą do ojca. - Przykro mi z powodu planów mamy, ale wczoraj, kiedy dzwoniłem, wyraźnie mówiłem, że nie zostaniemy długo.

Evelyn posłała mu błagalne spojrzenie.

- Nie moglibyście przynajmniej zostać na kolacji? Tak dawno cię tu nie było. - Bezradnie przeniosła wzrok na synową.

Pru nie mogła znieść bólu widocznego w oczach tej kobiety. Uśmiechnęła się do Evelyn, zrobiła krok do przodu i ujęła męża pod ramię.

- Dlaczego nie mielibyśmy zostać na kolacji, McCord? Nigdzie się nie spieszymy. Właściwie moglibyśmy nawet zanocować. Byłoby nam bardzo miło. Nie musimy przecież ruszać do La Jolli natychmiast. Równie dobrze możemy wrócić jutro albo pojutrze.

- Ależ Pru - zaczął ponuro Case - nie ma potrzeby zostawać tu dłużej niż godzinę.

- Nonsens - odparowała stanowczo. - To piękne miejsce. Mam wielką ochotę spędzić tu noc. - Wyczuła napięcie w jego ciele i uśmiechnęła się jeszcze bardziej promiennie. - Dziękuję za zaproszenie, pani McCord. To cudownie, że chcą nas państwo ugościć, choć tak późno się zapowiedzieliśmy.

- Proszę, mów do mnie Evelyn. - Ten przypływ macierzyńskiej wdzięczności był wręcz krępujący.

- Do licha, Pru... - warknął gniewnie McCord.

Pru oderwała się od niego i zaczęła wchodzić po stopniach z ręką wyciągniętą w kierunku teścia.

- Wnieś bagaże, Case - rzuciła niedbale przez ramię, modląc się w duchu, by upiekło jej się z tym poleceniem. - Miło mi pana poznać, panie McCord. Poznałabym pana wszędzie. Założę się, że pan też dorastał na farmie. Praca na roli wspaniale wyrabia muskuły.

Hale McCord zamrugał oczami, nie będąc pewnym, jak zareagować na tak wyraźne pochlebstwo. Wreszcie uznał, zdaje się, że spokojnie może odwzajemnić rozbawienie w oczach Pru, i ujął jej dłoń w swoją potężną rękę.

- Masz słuszność, Prudence. Sporo lat spędziłem na zbieraniu fasoli i sprzęcie siana. Jak myślisz, kto nauczył Case'a tych wszystkich rzeczy? Mów do mnie Hale.

- Proszę mówić mi Pru. Wszyscy tak mnie nazywają. - Zaryzykowała szybkie spojrzenie w stronę samochodu i westchnęła z ulgą, zobaczywszy, że McCord wyjmuje bagaże z ferrari.

Evelyn niespokojnie przenosiła wzrok od bagaży do Pru, nie śmiejąc uwierzyć, że syn zgodził się zostać na noc. Kiedy Pru uśmiechnęła się do niej uspokajająco ze szczytu

schodów, z całą szczerością odwzajemniła uśmiech i szybko podeszła do synowej. Najwyraźniej w końcu doszła do wniosku, że jej szczęśliwa passa trochę potrwa. Weszła na schody i pospiesznie wprowadziła gościa do holu.

- Dziękuję ci, moja droga - wyszeptała tak cicho, żeby tylko Pru ją usłyszała. - Bardzo ci dziękuję. Jestem twoją dłużniczką. - Po chwili nieco podniosła głos. - Chodź ze mną, pokażę ci waszą sypialnię. Hale, może pomógłbyś Case'owi przy bagażach?

Hale spojrział w kierunku ferrari, zupełnie jakby nie był pewny, jak ma zaproponować swoją pomoc. Wreszcie krótko skinął głową i zszedł ze schodów.

- Wezmę jedną z tych toreb, Case - powiedział szorstko.
- Nie kłopotz się, tato. Poradzę sobie.
- Powiedziałem, że ją wezmę, do licha.

McCord bez słowa podał torbę ojcu, który odwrócił się i majestatycznie poszedł do domu.

Pru wyczuła, że stojąca obok niej teściowa zadrzała z przejścia i w dowód zrozumienia zapragnęła objąć ją ramieniem. O Boże, pomyślała, co za rodzina. Wszyscy stąpają jak po jajkach i żonglują dynamitem, jak powiedziałaby ciotka Wilhelmina. Przynajmniej ciotka Wilhelmina wyrażała swoje uczucia otwarcie i bez niedomówień. Nawet nie próbowała ich skrywać za denerwującą fasadą pozornej uprzejmości.

Tymczasem w holu pojawiła się pytająco uśmiechnięta młoda kobieta.

- To Sandra - wyjaśniła Evelyn. - Pomaga nam w domu. Właśnie skończyła przygotowywać wasz pokój. Sandro, to żona mego syna, Prudence.

- Miło mi - powiedziała układnie Sandra. - Proszę mi dać znać, jak będzie pani czegoś potrzebować.

- Dziękuję - odparła cicho Pru.

- Oto jesteśmy. Hale, możesz postawić tę torbę tutaj. - Evelyn nerwowo kręciła się po eleganckiej sypialni, wygładziła idealnie gładką kapę na łóżku i zdjęła mikroskopijną drobinę nitki z lśniącej lakierowanej komody. W pewnej chwili zerknęła niespokojnie na synową.

- Czy ten pokój ci odpowiada?

Pru ponownie poczuła się zobligowana do przybrania promiennego, uspokajającego uśmiechu.

- Jest fantastyczny. Co za cudowny widok. Nie będę dziś w stanie zasnąć. Chyba spędzę przy oknie całą noc. To zadziwiające, jak odmiennie wygląda ocean z różnych rejonów wybrzeża, prawda? Widok z domu McCorda, to znaczy z naszego domu, jest całkiem inny.

W ciężkiej ciszy, która nagle zaległa pokój, Evelyn przeniosła wzrok z twarzy Pru na nieruchomą twarz syna.

- Nie wiedziałam - szepnęła. - Nigdy nie byłam u Case'a w La Jolli.

Case nie powiedział nic. Postawił bagaż i podszedł do okna, zupełnie jakby chciał popatrzeć na krajobraz. Stojący w progu Hale niezręcznie przestępował z nogi na nogę. Evelyn była wyraźnie zakłopotana.

Pru powstrzymała jęk, modląc się w duchu, żeby udało jej się uważać na słowa przez resztę popołudnia i wieczór. Tymczasem z determinacją brnęła dalej:

- O której ma przyjechać Kyle i jego żona? Bardzo chciałabym ich poznać.

- Powinni być tu koło piątej. Jak sądzisz, Hale? - podchwyciła spieszenie Evelyn, chcąc jak najlepiej wykorzystać ten wstęp do neutralnej rozmowy.

- Tak. Koło piątej - mruknął Hale.

- Cóż - ciągnęła Evelyn z wymuszoną wesołością - może teraz trochę się odświeżycie? A potem może przeszlubyście się na mały spacer plażą?

- Doskonały pomysł - zapewniła ją Pru. Gdy za rodzicami McCorda zamknęły się drzwi sypialni, z ulgą padła na łóżko i wpatrzyła się w szerokie plecy męża.

- Zapowiada się trudny wieczór - zauważył McCord.

- Widzę.

- Tylko pamiętaj - zaznaczył z sardoniczną miną, odwróciwszy się twarzą ku niej - że to wszystko twoja wina. Postąpiłem głupio, pozwalając, byś zmusiła mnie do pozostania. Życzę ci powodzenia w kontaktach z nowymi krewnymi, Pru. - Po tych słowach poszedł majestatycznie do przylegającej do pokoju łazienki i trzasnął drzwiami.

Pru nie zdawała sobie sprawy z rozmiarów konfliktu aż do piątej, to znaczy dopóki nie przyjechali Kyle i Carrie. Stosunki między Case'em a jego rodzicami cechowało wprawdzie napięcie, ale Pru nie miała pojęcia, czym może być prawdziwa wrogość, zanim nie poznała Carrie McCord.

Kyle i jego żona tworzyli ładną parę. Kyle, podobnie jak ojciec, miał ciemne oczy i gęste włosy, ale w przeciwieństwie do brata nie odziedziczył po nim mocnej budowy ciała. Szczupły i energiczny, był ostrzyżony i ubrany jak przystało na szefa dużej kalifornijskiej firmy.

Carrie okazała się atrakcyjną rudowłosą kobietą o błękitnych oczach. Pru była pewna, że w zwykłych okolicz-

nościach jej szwagierka jest smukła i proporcjonalnie zbudowana. Carrie była jednak w mocno zaawansowanej ciąży. Skrojona na miarę suknia podkreślała figurę kobiety, która lada dzień mogła spodziewać się rozwiązania.

Pru nagle zapragnęła zwierzyć się Carrie z własnej ciąży. Miała wielką ochotę porównać wrażenia i zadać masę pytań. Jednak ta chęć przeszła jej natychmiast, kiedy w błękitnych oczach Carrie dostrzegła złość i niechęć. Szwagierka była nienaturalnie uprzejma, ale z całą pewnością nie witała nowego członka rodziny z otwartymi ramionami.

Ona mnie nienawidzi, pomyślała zszokowana Pru. Ja jej nawet nie znam, a ona już mnie nienawidzi. Trudno było uwierzyć, że cały gniew i napięcie w tej rodzinie spowodowały wypowiedziane przed trzema laty słowa umierającej kobiety. Musiało kryć się za tym coś więcej. Pru zachodziła w głowę, co to może być. Było oczywiste, że nikt nie zamierzał rozmawiać na ten temat.

- Devin Blanchard w ostatniej chwili doszedł do wniosku, że może przyjechać na kolację, mamó - powiedział Kyle McCord, kiedy już spokojnie przywitał się z bratem i zaczął wyjmować bagaże z BMW. - Powinien zjawić się tu lada chwila.

- Wspaniale - odparła szybko Evelyn, rzucając kolejne niespokojne spojrzenie w stronę starszego syna. - Tak się cieszę, że udało mu się wyrwać. Ty i Devin byliście kiedyś takimi dobrymi przyjaciółmi, prawda, Case? Na pewno miło ci będzie znów się z nim zobaczyć. Wejdźmy do środka. Zdaje się, że Hale właśnie przygotował drinki.

Wszyscy obecni sprawiali wrażenie zadowolonych

z małego towarzyskiego rytuału popijania koktajli przed kolacją. Nikt nie wyraził zdziwienia, kiedy Pru, podobnie jak Carrie, poprosiła o sok owocowy. Hale podał drinki, a Evelyn i Pru dzielnie podtrzymywały rozmowę, aż z podjazdu dobiegł warkot kolejnego samochodu.

- To na pewno Devin - odezwała się Carrie, posyłając szwagrowi dziwne spojrzenie. - Dawno go nie widziałeś, prawda, Case? Pomyślmy, ostatni raz, zdaje się, trzy lata temu, tuż po śmierci Laury?

Pru nie mogła uwierzyć własnym uszom. Co za niesłychany tupet wprowadzać do rozmowy imię tej kobiety. Było więcej niż oczywiste, że wszyscy inni rozpaczliwie starali się unikać jakiegokolwiek nawiązania do wydarzeń sprzed trzech lat.

Case tylko wzruszył ramionami i upił łyk whisky.

- To prawda. Od tamtej pory go nie widziałem.
- Ty i Devin pracowaliście razem nad wieloma projektami w firmie - zauważyła Evelyn z zadumą.

Syn rzucił jej ponury uśmiech.

- Wszystko się zmienia, prawda?

Evelyn nie musiała odpowiadać, ponieważ właśnie w tej chwili Hale otworzył drzwi nowo przybyłemu gościowi. Pru obrzuciła Devina Blancharda badawczym spojrzeniem.

Miał piaskowe włosy, zielone oczy i był mniej więcej w wieku Case'a. Ubrany w kosztowną, lnianą sportową marynarkę i spodnie o europejskim kroju, był przystojny w ten subtelny, ale przy tym męski sposób, który robi wrażenie na kobietach. Witając się uściskiem dłoni z Pru, uśmiechnął się do niej ciepło.

- Gratulacje za usidlenie Case'a - zauważył pogodnym, żartobliwym tonem. - Kiedy ostatnim razem rozmawiałem z nim o małżeństwie, przysięgał, że jego to nie dotyczy.

Pru niedostrzegalnie drgnęła na te słowa, ale usłyszawszy, że ktoś wreszcie mówi normalnym, przyjaznym tonem, odczuła tak ogromną ulgę, iż natychmiast wybaczyła Devinowi.

- To nie zdarza się często, bo on jest wyjątkowo uparty, ale wierz czy nie, Case od czasu do czasu zmienia zdanie - powiedziała lekko.

Devin uśmiechnął się, po czym zwrócił się do Case'a.

- Nie ma jak ładna kobieta, jeśli chce się przekonać mężczyznę, że powinien przemyśleć swoją decyzję. Jak ci się wiedzie, Case? Od naszego ostatniego spotkania minęło sporo czasu.

- W porządku, Dev. A co u ciebie? - spytał ze zdawkową uprzejmością McCord, ale w miarę swobodnie wymienił uścisk dłoni z dawnym przyjacielem.

- Wspaniale. Wciąż pracuję dla Kyle'a.

- Rada nadzorcza przed trzema miesiącami mianowała Devina wiceprezesem - wtrącił się Kyle. - Teraz jest moją prawą ręką.

- Tylko dzięki twojej rekomendacji - podkreślił Devin z uśmiechem.

Kyle wzruszył ramionami.

- Najwyższy czas, żebyś zaczął dostawać wynagrodzenie, na jakie zasługujesz, zważywszy na odpowiedzialność, która na tobie spoczywa. Zawsze odgrywałeś ważną rolę w firmie. - Z kolei zwrócił się do Pru. - Devin pracuje

dla nas od kilku lat. W swoim czasie on i Case zrealizowali kilka dużych projektów, które wciąż przynoszą nam zyski.

- Rozumiem - powiedziała uprzejmie Pru.

- To stare dzieje, jeszcze zanim Kyle przejął rządy - wtrąciła Carrie z wojowniczym błyskiem w oku. - Mój mąż stoi na czele McCord Enterprises od trzech lat. Projekty, które Kyle zrealizował po odejściu Case'a, są zakrojone na znacznie większą skalę i przynoszą większe zyski niż tamte wcześniejsze razem wzięte.

Pru rozpoznała ukryte w tych słowach wyzwanie. Ciekawe, o co tu chodzi. Po chwili przypomniała sobie, że to Case McCord dorastał w przeświadczeniu, że pewnego dnia przejmie prowadzenie firmy. Kyle objął to stanowisko w pewnym sensie przypadkowo, kiedy Case poróżnił się z ojcem.

Raptem przyczyna otwartej wrogości Carrie stała się dla niej całkowicie jasna. Najprawdopodobniej Carrie obawiała się, że szwagier po ślubie postanowi zażądać zwrotu utraconego dziedzictwa. Pru uśmiechnęła się do drugiej kobiety z nie udawanym zrozumieniem.

- Rozumiem, że Kyle wykonuje wspaniałą pracę jako szef McCord Enterprises - powiedziała swobodnie. - Dziwne, jak sprawy czasem układają się ku zadowoleniu wszystkich, prawda? To oczywiste, że Kyle ma dar do zarządzania korporacją. Równie oczywiste jest, że Case nie czułby się dobrze w tej roli.

Oczy wszystkich obecnych w przeszklonym salonie pobiegły ku niej. Nawet mąż patrzył na nią bez mrugnięcia okiem. Ale to Hale przemówił pierwszy.

- Dlaczego tak sądzisz, Pru?

- Znam go od kilku miesięcy - odparła spokojnie Pru - i z całą pewnością mogę powiedzieć, że siedząc za biurkiem prezesa McCord Enterprises, byłby nieszczęśliwy. Prawdziwy talent mego męża sprowadza się do zmuszania ziemi, żeby produkowała tyle żywności, ile jest w stanie. Tak się składa, że ta umiejętność jest wyjątkowo przydatna tam, gdzie ludzie wciąż umierają z głodu. Miejsce Case'a jest na eksperymentalnych poletkach Fundacji Arlingtona albo na kursach pod gołym niebem w różnych miejscach globu, gdzie uczy rolników nowych technik uprawy. Jeśli zaś chodzi o pracę biurową, w grę wchodzi tylko pisanie opracowań naukowych na temat gleby czy obmyślanie projektów zwiększenia wydajności upraw. Odgrywanie roli menedżera w biurowym wieżowcu nudziłoby go i denerwowało. Jak mawia J.P., Case jest magikiem, gdy przychodzi do obmyślenia, jak przekształcić pustynię w raj.

Nie spuszczała z niej wzroku. Carrie patrzyła na nią - z wyraźną podejrzliwością. Devin Blanchard sprawiał wrażenie życzliwie zainteresowanego. Kyle miał minę kogoś, kto wie, o co w tym wszystkim chodzi. Rodzice Case'a wyglądali na zaskoczonych słowami nowej synowej, a sam Case przybrał rozbawioną minę. I znów Hale zareagował pierwszy:

- A kto to taki ten J.P.?

- J.P. Arlington. To założyciel Fundacji Ariingtona.

Evelyn powoli skinęła głową.

- Case powiedział kiedyś przez telefon, że zamierza pracować dla jakiejś fundacji.

Boże miłosierny, pomyślała Pru, ci ludzie ledwie wiedzą, gdzie on mieszka, nie mówiąc o tym, jak zarabia na

życie. Rozłam, do którego doszło w tej rodzinie przed trzema laty, musiał dorównywać rozmiarami Wielkiemu Kanionowi. Tak czy owak, miała teraz przewagę nad rozmówcami i zamierzała to wykorzystać. Nie na próżno przez ostatnie sześć miesięcy pełniła rolę gospodyni na oficjalnych przyjęciach J.P. Arlingtona. Z łatwością radziła sobie z tłumem skrępowanych, a czasem wręcz wrogich ludzi.

Niewłocznie rozpoczęła żarliwy opis fundacji. Jej rola nie ograniczała się przecież do organizowania przyjęć, była również redaktorką czasopisma wydawanego przez fundację. Kiedy zachodziła potrzeba, potrafiła wygłosić wspaniałe podsumowanie sytuacji rolnictwa na świecie i tego, kto i co w tej sprawie robi.

Ku swemu zdumieniu skonstatowała, że słuchacze wyglądają na zafascynowanych. Brakowało im odwagi, a może tupetu, by spytać Case'a, co porabiał przez ostatnie trzy lata, ale skoro mogli dowiedzieć się tego za pośrednictwem jego żony, chętnie skorzystali z okazji.

Case siedział w milczeniu, obejmował obiema dłońmi szklaneczkę whisky i obserwował, jak Pru radzi sobie z odpowiedziami na pytania. Przywiezienie jej tutaj kojarzyło się z wrzuceniem jakiegoś nic nie podejrzewającego, nie umiejącego pływać nieszczęśnika do basenu i pozostawieniem go samemu sobie. Szybko się uczyła, skonstatował z podziwem. Wiedziała, co robić, żeby nie pójść pod wodę. Jego rodzina i Blanchard zachowywali się tak samo jak wszyscy inni ludzie, z którymi miewała do czynienia w pracy. Pru miała wyjątkowy talent do rozładowywania napięcia.

Wszyscy słuchali i mówili na zmianę. Atmosfera w salonie stała się znacznie swobodniejsza. Pytania ojca świadczyły o jego autentycznym zainteresowaniu pracą fundacji. Ulga matki z powodu takiego biegu wypadków była wręcz żenująco widoczna.

Razem wzięwszy, reakcje rodziny niemal go rozbawiły. Za to czujne zachowanie Devina poruszyło ukrytą żyłkę władczości.

- Naturalnie, Hale - stwierdziła płynnie Pru. - Nie mówię, że znajomość rolnictwa to wszystkie atuty Case'a. Ta cała wiedza o kierowaniu dużym przedsiębiorstwem, którą przejął od ciebie, okazała się wyjątkowo przydatna. J.P. polega na nim w wielu sprawach związanych z zarządzaniem pracami fundacji. Do tego dochodzą jeszcze liczne podróże. Jako przedstawiciel fundacji Case objechał cały świat.

- Case ma wrodzone zdolności przywódcze - zauważył Hale, rzucając synowi zamyślane spojrzenie. - Zawsze potrafił stworzyć zespół i sprawić, żeby wszyscy jego członkowie pracowali na rzecz wspólnego celu.

- Cóż, zapewniam cię, że ta umiejętność bardzo mu się przydaje w pracy na rzecz fundacji. Nie sposób sobie wyobrazić, jak trudno przekonać grupę ubogich, zrozpaczonych farmerów na końcu świata, aby wypróbowali nowe techniki uprawy. Boją się próbować czegoś nowego w obawie, że stracą tę odrobinę, którą już mają. No i oczywiście dochodzi do tego problem dogadywania się z różnej maści biurokratami i teoretykami. Case umie porozumieć się również z nimi. Masz rację. On jest po prostu świetny w tym, co robi.

Wzrok Carrie pobiegł ku szwagrowi.

- Zdaje się, że ożeniłeś się z całą drużyną cheerliderek w jednej osobie, Case.

Pru aż się zarumieniła, usłyszawszy tę sarkastyczną uwagę, ale Case skwitował słowa szwagierki zagadkowym uśmiechem.

- To szczęście mieć żonę, która pokłada we mnie tyle wiary - powiedział spokojnie. - Każdy mężczyzna potrzebuje kobiety, która mu wierzy, prawda? Czasami nikt inny na całym świecie mu nie wierzy.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Zdaje się, że każdy z obecnych wziął tę uwagę do siebie.

- Istny skarb - mruknęła Carrie, mierząc Pru spojrzeniem zmrużonych oczu.

Nawet jej mąż wydawał się lekko zakłopotany tym komentarzem. Odchrząknął, zupełnie jakby próbował znaleźć nowy temat rozmowy.

Case zignorował wysiłki brata i uniósł szklanekę w stronę Pru w małym, intymnym toaście.

- To prawda, skarb. Na samą myśl o tym, jak bliski byłem jej utraty, ogarnia mnie przerażenie.

Zakłopotanie Pru przeszło w poczucie szczęścia. Popatrzyła na męża, którego sylwetka rysowała się na tle płonącego zachodu słońca. Odpowiedział jej mrocznym, głębokim spojrzeniem błyszczących oczu. W tej chwili nietrudno było uwierzyć, że naprawdę myślał to, co powiedział.

Pru udawało się unikać Carrie aż do końca kolacji, kiedy to znalazła się sam na sam ze szwagierką tuż przed

tym, zanim wszyscy udali się na spoczynek. Samotne wyjście na pomost, aby zaczerpnąć morskiego powietrza, było błędem. Zrozumiała to w momencie, kiedy za plecami usłyszała czyjeś kroki. Nie odwróciła się. Przeczuciwała, kto się zbliża.

- Czyżby zmęczyła cię rola odgrywania wielkiej rozjemczym w rodzinie McCordów? - spytała chłodno Carrie.

Pru oparła się o balustradę i popatrzyła na okryte całunem nocy morze.

- Tej rodzinie przydałoby się trochę spokoju - zauważyła.

- Ta rodzina świetnie się miała, zanim nie zjawiłaś się ty. Jak, u licha, udało ci się skłonić Case'a do żeniaczki? Nie jesteś w jego typie.

- A jaki jest jego typ, Carrie?

- Laura Reynolds była w jego typie. Wysoka blondynka, klasyczna piękność, elegancka.

- I martwa.

- I martwa. - Carrie niezgrabnie podeszła do balustrady. - Czy Case opowiedział ci o niej?

- Tak.

- Wszystko?

- Wystarczająco dużo - zapewniła ją spokojnie Pru.

- Również to, że ją zabił?

Pru odwróciła się do niej, rozdrażniona do żywego.

- Nie zabił jej. To potworność tak mówić. Sama się zabiła, jadąc autostradą sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Sama jest sobie winna.

Oczy Carrie załśniły.

- To zależy, jak na to spojrzeć. Nie było cię tu przed trzema laty, Pru. Za to my byliśmy. Doskonale wiemy, co się stało i kogo należy za to winić.

- Jak powiedziałyby moja ciotka Wilhelmina, twoje słowa są warte tyle co odsmażany kurzy nawóz. Jeśli do tej pory sobie tego nie uświadomiłaś, nie jesteś bystrzejsza niż kurczęta produkujące ten nawóz. - Pru znów zwróciła się twarzą ku morzu.

- Nie zwiedzisz mnie ani na chwilę. - Głos Carrie przypominał wysoki, gniewny syk. - Doskonale wiem, dlaczego tu jesteś. Case McCord nigdy by tu nie przyjechał, gdybyś nie znalazła jakiegoś sposobu przekonania go, że możliwe będzie... - Urwała pospiesznie.

- Możliwe co, Carrie? - Zadając to pytanie, była pewna, że zna odpowiedź.

- Myślisz, że potrafisz załatać dziury w tej rodzinie i znów przywrócić Case'a do łask ojca, prawda? Dowiedziałaś się, jakimi pieniędzmi i władzą dysponują McCordowie, i uznałaś, że zasługujesz przynajmniej na część, bo wyszłaś za mąż za najstarszego syna. Musiałaś doznać szoku, kiedy dowiedziałaś się, że poślubiłaś nie tego syna, mam rację? Wybrałaś czarną owcę w rodzinie. Tego, którego wyrzucono z domu bez grosza. Założę się, że nie wspomniał o tym przed ślubem, prawda? Teraz rozpaczliwie usiłujesz znaleźć jakiś sposób, żeby rozwiązać ten drobny problem, czyż nie? To straszne stać na zewnątrz na zimnie i patrzeć na te wszystkie pieniądze przez szybę. Ale jesteś bystra. Wiesz, że Evelyn oddałaby duszę, aby znów mieć syna przy sobie. Próbujesz więc do tego doprowadzić.

- Nic nie rozumiesz, Carrie.

- Akurat. Jedno ci powiem, Pru. Radzę ci, bądź ostrożna. Bo ja widzę cię na wylot. Wiem, co masz zamiar zrobić, i nie zamierzam ci na to pozwolić. Nie dopuszczę do tego, żeby twój mąż znów objął prezesurę McCord Enterprises. Od trzech lat wszystkim kieruje Kyle. Idzie mu doskonale. Korporacja jest bogatsza niż kiedykolwiek. On zasługuje na tę pracę. Nie pozwolę ci zniszczyć wszystkiego, co zbudował przez te lata!

Oszołomiona Pru odprowadziła wzrokiem oszalałą z gniewu szwagierkę, która pospiesznie podążyła do przeszklonego salonu.

ROZDZIAŁ 7

Case rozsiadł się w obitym szarą skórą fotelu stojącym przy oknie sypialni i czekał, aż Pru wyjdzie z łazienki. Siedział w mroku, w samych dżinsach, których nawet nie zapiał. Jedynym źródłem światła w pokoju była złotawa smuga sącząca się spod drzwi łazienki.

Wokół panowała cisza, jednak McCordowi wydawało się, że powietrze wciąż przesiąknięte jest napięciem. Zupełnie jakby dom wchłonał za dnia emocje mieszkańców i teraz emanował ekstraktem ich niepewności, wzajemnej wrogości i niepoahamowanej dumy.

Tym wszystkim przepełnionym agresją uczuciom powinno towarzyszyć coś jeszcze, pomyślał. Może uda mu się rozpoznać ślad żarliwej dumy Pru z męża. Trzeba przyznać, że zrobiła wszystko, aby uzmysłwić to jego rodzinie i Devinowi Blanchardowi. Może, gdyby się dostatecznie skupił, zdołałby również odkryć ślad jej gorącego sprzeciwu wobec powszechnego przekonania, że mąż dopuścił się przed trzema laty czegoś strasznego.

Naturalnie, powiedział sobie, nie znała szczegółów tego, co się wówczas wydarzyło. Obrzucił pełnym zadumy spojrzeniem prawie czarny ocean i zamyślił się nad tym, czy broniłaby go równie zawzięcie, gdyby znała wszystkie fakty.

W tym momencie drzwi łazienki otworzyły się i Case wyczuł w powietrzu napięcie innego rodzaju. Nie odwrócił głowy, ale z łatwością czytał w myślach żony. Dzisiejszej nocy znów denerwowała się na myśl, że będzie z nim spać.

Rozzłościło go to, bo właściwie nie wiedział, jak ukoić jej napięte nerwy.

- Ostrzegałem cię, że to nie będzie przyjemna wizyta. Gdybyś nie uznała za stosowne ignorować moich planów, spędzilibyśmy tu godzinę, najwyżej dwie i teraz byłibyśmy daleko stąd. - Wprawdzie był przekonany, że musi to powiedzieć, ale już po chwili pożałował, że jego słowa zabrzmiały tak agresywnie.

Pru zatrzymała się pośrodku pokoju.

- Twoja matka załamałaby się.

- Przeżyłaby. Jakoś przeżyła ostatnie trzy lata, prawda? Poza tym zachowała się nie fair. Próbowwała nas zmusić do zostania, szantażując planami, które poczyniła na wieczór.

- Była zrozpaczona - powiedziała cicho Pru.

- Wiesz, jak się czuję, kiedy próbuje się mną manipulować.

- Wiem. - Przez chwilę milczała, po czym podjęła chłodnym, uprzejmym tonem: - Dziękuję ci, że nie wywołałeś sceny i nie nalegałeś na nasz odjazd po tym, jak powiedziałam, że zostaniemy. Doceniam, że nie podważyłeś mojej decyzji.

Wstał z fotela szybko, na sztywnych nogach. Jego gniew narastał. Odwróciwszy się twarzą do żony, zobaczył, że stoi zaledwie dwa kroki od niego. Bładożółta koszula nocna opływała jej sylwetkę, upodabniając ją do ducha. Patrzyła na niego czujnie.

- Doszedłem do wniosku, że równie dobrze możesz na własnej skórze przekonać się, jak to wszystko wygląda - rzekł szorstko. - Może po dzisiejszym wieczorze nie będziesz taka chętna do odbudowy więzi rodzinnych. Co powiedziała ci Carrie na pomoście?

Pru uniosła dłoń i opuściła ją bezwładnie. Powoli podeszła do okna.

- Ona się boi.

- Boi się, że Kyle utraci stanowisko prezesa McCord Enterprises, jeśli rodzice i ja wyjaśnimy nasze małe nieporozumienie? - zadrwił.

- Coś w tym rodzaju.

Kąciki ust wykrzywił mu uśmiech.

- Nawet po dzisiejszym wieczorze, kiedy tak żarliwie zapewniałaś wszystkich, że w głębi duszy jestem farmerem i byłbym głęboko nieszczęśliwy jako prezes firmy?

- Ona mi nie wierzy.

McCord wzruszył ramionami.

- A kto by uwierzył? Gdybym stanął na czele McCord Enterprises, z łatwością powiększyłbym swoje dochody trzykrotnie, nie mówiąc o różnych dodatkowych profitach i sporej porcji prawdziwej władzy w południowej Kalifornii.

- Zarabiasz aż nadto pieniędzy, pracując dla J.P. - odparowała z naciskiem. - A twoja władza to umiejętność sprawienia, żeby pustynia zakwitła. Handlowanie nieruchomościami wartymi miliony dolarów zupełnie do ciebie nie pasuje.

- Jeszcze się nie nauczyłaś, że kiedy przychodzi do pieniędzy i władzy, nikt nigdy nie ma dość?

- Bzdura.

- Tak sądzisz? Spytaj Carrie. Albo mego brata, albo Devina Blancharda czy moich rodziców. - Prowokował ją, ale nie potrafił się powstrzymać. Zupełnie jakby nagle musiał poddać ją testowi, mimo że wiedział, iż nie zawiedzie. Może zresztą chodziło mu nie tyle o poddanie testowi Pru, co o uspokojenie samego siebie.

- Nie obchodzi mnie, co myślą inni. Wystarczy, że ty i ja wiemy, iż dzięki pracy w Fundacji Arlingtona masz wszystko, czego potrzebujesz.

Rozpoznał niezachwianą pewność ukrytą w tych słowach i omal się nie uśmiechnął.

- Czy to prawda?

- Tak i ty o tym wiesz. Dlaczego zachowujesz się w ten sposób? - Spojrzała na niego przez ramię, marszcząc czoło.

Wolno wypuścił powietrze z płuc.

- Może dlatego, że miałem dziś okropny wieczór.

- Nie był taki straszny - zaprotestowała. - Udało ci się spokojnie porozmawiać z ojcem przy kolacji.

- Może dlatego, że podsunęłaś nam neutralny temat.

- Chodzi ci o zalety i wady irygacji na piaszczystej glebie? - Pru wygięła kącik ust w lekkim uśmiechu. - Twego ojca naprawdę wciągnął ten temat, prawda? Zdaje się, że zostało w nim sporo z farmera, chociaż zdecydował się stworzyć korporację i zbił fortunę w biznesie. Być może jego przypadek świadczy o tym, że można męzczyzną zabrać z farmy, ale nie da się wykorzenieć farmy z męzczyzny.

- Gdyby moja matka usłyszała, co mówisz, przeszłyby

ją ciarki. Nienawidziła życia na wsi. Mój brat też za tym nie przepadał.

- Za to ty czułeś się tam jak ryba w wodzie. - Pru pokiwała głową. - Właśnie to próbowałam wszystkim uświadomić dzisiejszego wieczoru.

- Nie zrozumieli - orzekł ponuro McCord, nie będąc pewny, czy sam to rozumie.

- Zrozumieją. Pewnego dnia. - Z powrotem odwróciła się do okna.

- Może. A może nie. - Zbliżył się do Pru i położył jej dłonie na ramionach. - Kiedy pochylił się i przytknął wargi do łuku szyi, wyczuł w jej ciele nagłe napięcie. Odruchowo zacisnął palce, a wówczas Pru zeszytywniała jeszcze bardziej.

- McCord, myślę... — Jej głos był ledwie słyszalny.

- Wiem. Przez ostatnie parę tygodni o wiele za dużo myślisz. Na dzisiejszą noc mam lepszą propozycję. - Przyciągnął ją do siebie, aż jej miękkie, krągłe tyłeczki dotknął pobudzonej męskości. Po raz kolejny skonstatował ze zdumieniem, jak łatwo mogła go podniecić. Wątpił, czy ona zdaje sobie sprawę z rozmiarów zmysłowej mocy, jaką ma nad nim. Pru w takich sprawach jak władza była naiwna jak dziecko.

- Mówię poważnie, McCord - wyrzuciła z siebie, wprawdzie bez tchu, ale stanowczo. - Wiem, że teraz jesteśmy mężem i żoną...

- Właśnie, do diabła, jesteśmy mężem i żoną. - Przesunął dłonie na jej biodra i przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej. Rozmyślnie otarł się o nią powoli, prowokująco. Pru zadrżała.

- Ale małżeństwo nie jest tym, czego naprawdę chcia-
 łaś. Wiem o tym. Zdaję sobie sprawę, że postanowiłaś tak
 postąpić ze względu na dziecko i... doceniam to, ale...

- Pokaż mi -jęknął*.
- Pokazać ci co? - Była autentycznie zaskoczona.
- Jak bardzo to doceniasz.

Przełknęła ślinę.

- Właśnie o to chodzi. Nie jestem pewna, czy to wy-
 starczająco dobry powód, żeby pójść z tobą do łóżka.

Znieruchomiał, a jego palce wbiły się głęboko w miękką
 krzywiznę jej ud.

- Co próbujesz mi powiedzieć, Pru?
- Sugeruję tylko, że zanim nie ustalimy, na jakich pod-
 stawach opiera się nasz związek, może lepiej będzie, żeby-
 śmy nie spali razem. - Stała nieruchomo pod jego dłoń-
 mi. - Wiem, że mnie nie kochasz i...
- Podziałali na ciebie, prawda?!
- Kto?

- Carrie, moi rodzice, a nawet Devin Blanchard. W końcu udało im się zasiać nieco wątpliwości w twoim umyśle. O, tak, starałaś się grać rolę lojalnej, troskliwej żony i wykonałaś wspaniałą robotę, ale w głębi duszy zaczęłaś zadawać sobie różne pytania, prawda? Uświadomiłaś sobie, że żaden człowiek nie zostałby wyrzucony poza nawias przez tych wszystkich miłych, inteligentnych ludzi, gdyby nie było ku temu uzasadnionego powodu. Teraz zachodzisz w głowę, co właściwie wydarzyło się przed trzema laty.

Obróciła się gwałtownie w jego ramionach. Jej oczy w ciemnościach wydawały się jeszcze większe.

- Przestań, McCord! Wiesz, że to nieprawda.

- Czyżby?

- Tak, do diabła, wiesz. - Otoczyła mu ramionami szyję i uścisnęła go mocno. - To nie jest powód, dla którego mam wątpliwości co do... naszego spania razem.

- Jesteś pewna?

Spojrzała na niego błagalnie.

- Całkowicie. Musisz mi uwierzyć.

- Jeszcze nigdy nie odmówiłaś pójścia ze mną do łóżka, odkąd ze mną zamieszkałaś - podkreślił chłodno. - Nic się w naszych stosunkach nie zmieniło poza tym, że nosisz na palcu obrączkę. Dlaczego miałabyś odmawiać mi teraz, jeśli nie chodzi o to, że nabrałaś jakichś wątpliwości po poznaniu mojej rodziny?

- Niech cię diabli, McCord, robisz to specjalnie, prawda?

- Co robię?

- Specjalnie chcesz doprowadzić do tego, abym doszła do wniosku, że muszę iść z tobą do łóżka, by udowodnić, że ci wierzę.

- Możliwe - powiedział ostrożnie - że potrzebuję jakiegoś zapewnienia.

Po tym wyznaniu resztki jej chwiejnego protestu załamały się całkowicie, dokładnie tak, jak oczekiwał. Pru wymamrotała coś niezrozumiale, przytuliła się do niego i zacisnęła ramiona na jego szyi.

- I kto tu mówi o manipulacji - wymruczała w jego pierś.

- Nie mówmy już o tym - wyszeptał McCord zduszonym głosem, wsuwając palce w jej włosy i pieszcząc kark.

- Po prostu chodźmy do łóżka, gdzie nasze miejsce. - Uniósł jej głowę do góry i lekko potarł wargami jej usta. Kiedy odpowiedziała mu pocałunkiem, jego zdenerwowanie ustąpiło miejsca niepohamowanemu pożądaniu.

Rozplatał tasiemki jej koszuli i ściągnął ją przez głowę. Tkanina powoli spłynęła na podłogę, a McCord przez chwilę przyglądał się żonie w świetle księżyca. Wiedział, że nie uważa siebie za drobną kobietę. W końcu miała ponad metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. Ale dla niego była delikatna, krucha i miękka. Zaniepokoił się nagle, jak znieśie trudy ciąży i porodu.

Uśmiechnęła się do niego, zupełnie jakby wyczuła, o czym myśli. Potem wyciągnęła dłoń i wzięła go za rękę. Nie odrywając wzroku od jego twarzy, przyciągnęła dłoń męża do swojej piersi.

- Kochanie - szepnął, czując natychmiastową reakcję własnego ciała - nie masz pojęcia, co ze mną robisz.

- Pokaż mi - sprowokowała go cicho.

Nie dbał o to, że łagodnie z niego zakpiła, posłużywszy się jego własnymi słowami. W tej chwili był w stanie skupić się wyłącznie na jednym. Pragnienie, żeby go dotknęła, przyćmiło wszystko inne. Ujął jej rękę, tak samo jak ona postąpiła przed chwilą, i umieścił ją w rozchyleniu rozpiętych dżinsów. Z miejsca się zorientował, że wyczuła dreszcz, który nim wstrząsnął.

- Tak, kochanie - ponaglił ją, ciężko dysząc - dotknij mnie. Tak mi dobrze, kiedy dotykasz mnie w ten sposób.

Wsunęła dłonie za pasek dżinsów i zsunęła je na biodra wraz ze slipami. Powoli opuściła się przed nim na kolana i zsunęła dżinsy z ud na kostki.

McCord poczuł na udach łaskotanie jej miękkich włosów i pomyślał, że rozpadnie się na setki małych kawałków. Pospiesznie kopnął dżinsy na bok, ale Pru nie od razu wstała z kolan. Objęła obiema dłońmi jego nogi i przytrzymała go nieruchomo. Kiedy poczuł lekkie, podniecająco wilgotne dotknięcie jej ust, wiedział na pewno, że zaraz eksploduje. Gorączkowo zacisnął dłonie w jej włosach i jęknął pod słodką, pełną miłości pieszczotą.

- Moja kolej - szepnął, po czym pomógł jej wstać i poprowadził w stronę łóżka.

- McCord?

- Ciii. Jeden dobry uczynek powinien pociągnąć za sobą drugi. - Delikatnie pchnął ją na plecy i ukląkł między jej nogami.

Krzyknęła cicho, kiedy po raz pierwszy dotknął ustami jedwabistej skóry wewnętrznej strony ud. Rozkosz ogarnęła ją falą. McCord usłyszał i poczuł jej nie skrywaną reakcję. Dotarł do źródła jej namiętności i wkrótce Pru wiała się pod nim bez tchu.

Kiedy wreszcie położył się na niej, nakrywając ją swoim ciałem, objęła go tak żarliwie, że omal się nie roześmiał.

Ale śmiech zamarł mu w gardle, bo ciało miał zbyt napięte, by radosny, triumfalny dźwięk zdołał się z niego wydobyć. Zamiast tego odwzajemnił uścisk Pru i zagłębił się w nią. Z głuchym jękiem wbiła mu paznokcie w plecy.

Czekał przez chwilę, rozkoszując się poczuciem zespoleńia. Kiedy nie mógł się już dłużej powstrzymać, zaczął się poruszać, aż powoli wysunął się niemal całkowicie z jej ciała.

Pru wydała cichy okrzyk protestu i uniosła biodra, po-
naglając go, by z powrotem zanurzył się w jej wnętrzu.

- Nigdzie się nie wybieram, złotko - zapewnił. Deli-
katnie chwycił brodawkę ustami. Potem bez pośpiechu
znów się w niej zatopił, wypełniając ją bez reszty.

- McCord, wiesz, jak doprowadzić mnie do szaleń-
stwa.

- Jesteś wtedy taka piękna. Lubię doprowadzać cię do
szaleństwa. Uwielbiam to.

Powtarzał długie, powolne ruchy, aż poczuł, że Pru pod
nim tężeje. W takich chwilach zawsze go zadziwiała i pod-
niecała jej kobieca siła. Jej ciało oplótło się wokół niego,
zupełnie jakby nie chciała puścić go już nigdy.

- Teraz, McCord. Teraz.

Wyszeptał coś chrapliwie i zanurzył się po raz ostatni.
Poczuł, jak zagarniają go drobne, lśniące fale rozkoszy.
Potężny dreszcz, który wstrząsnął jego ciałem, udzielił się
również Pru. Razem przepłynęli przez wzburzone sztor-
mem fale na spokojne wody po drugiej stronie.

Dużo, dużo później McCord przekręcił się na plecy,
objął Pru ramieniem i mocno ją do siebie przytulił. Wol-
ną ręką delikatnie odgarnął wilgotny lok włosów z jej
oczu.

- Śpiąca? - spytał.

- Tak. - Miała zamknięte oczy.

Dotknął różowej brodawki.

- Czy piersi już zaczynają ci się powiększać?

- Nie jestem pewna. Wciąż niewiele wiem o tych spra-
wach. Odbyłam tylko jedną wizytę w klinice, z tego wię-
kszość czasu upłynęło mi na próbach pogodzenia się z szo-

kującą nowiną o ciąży. Nie zdążyłam zadać mnóstwa pytań. - Ziewnęła potężnie.

- Na następną wizytę pójdę z tobą - oznajmił McCord.
- Zadamy te pytania razem. Dla mnie to wszystko też jest nowe.

- Widzę. - Gotów byłby przysiąc, że się uśmiechnęła.

- Pru?

- Tak?

- Czy to był duży szok? Mam na myśli to, kiedy dowiedziałas się, że jesteś w ciąży?

- Powiedzmy po prostu, że byłam mocno zdezorientowana - odparła lakonicznie.

- Powinnaś była powiedzieć mi o tym od razu.

Pru przez chwilę milczała.

- Dobrej nocy, McCord.

- Wciąż czujesz się trochę zdezorientowana, prawda? To dlatego nie chcesz jeszcze mówić o tym głośno.

- Tak myślę.

- A może wciąż jesteś w szoku? - ciągnął z namysłem.

- Może. - Nie sprawiała wrażenia zbytnio zainteresowanej tematem. Prawdę mówiąc, ton jej głosu wskazywał na to, że zasypia.

McCord spojrział na żonę. Miała zamknięte oczy, a oddech nabierał miarowego rytmu snu. Powiedział sobie, że powinien pozwolić jej porządnie odpocząć. W ciągu najbliższych paru miesięcy będzie potrzebowała siły. Już on dopilnuje, żeby przeszła ciążę bez niepotrzebnych stresów i przestrzegała zaleceń lekarzy. Będzie też chodził razem z nią na zajęcia do szkoły rodzenia.

Była jego żoną i miała urodzić jego dziecko. Obydwo-

je byli integralną częścią jego życia i zamierzał zrobić wszystko, aby stać się równie ważny dla nich.

Zapadając w sen, odczuwał satysfakcję i męską dumę. Odniósł wrażenie, że sporo napięcia sączącego się ze ścian domu rozproszyło się wskutek jego miłostnego zespolenia z Pru.

Case i Pru byli gotowi do wyjazdu zaraz po śniadaniu następnego ranka. Pru była nieco zakłopotana tym, że mąż tak ostentacyjnie pragnie opuścić dom rodziców, ale zdawała sobie sprawę, że wystarczająco długo igrała z ogniem. Nie ośmieliła się nalegać na przedłużenie wizyty.

Zostali jednak na śniadaniu. Cała rodzina w komplecie i Devin Blanchard zasiedli wokół dużego szklanego stołu w przeszklonej jadalni i delektowali się świeżymi truskawkami, omletami serowymi i kawą zaparzoną przez Sandrę. Pru, którą z samego rana dopadł kolejny atak irytujących mdłości, tym razem nie zdołała odzyskać apetytu tak szybko jak poprzedniego dnia.

Wszyscy, z wyjątkiem Carrie, starali się rozmawiać o obojętnych sprawach. Carrie po prostu nie odezwała się ani słowem. Evelyn wciąż rzucała dyskretne spojrzenia na syna. W pewnym momencie Pru zapragnęła wyciągnąć rękę i zapewnić teściową, że tym razem nie będzie musiała czekać kolejnych trzech lat na następną wizytę.

Devin Blanchard zachowywał się najbardziej swobodnie z całego towarzystwa i Pru gawędziła z nim bez skrępowania, podczas gdy wszyscy inni trzymali się neutralnych, bezpiecznych tematów.

Krótko przed odjazdem jej i McCorda odciągnął ją na

bok. Wtedy po raz pierwszy znalazła się z nim sam na sam. Kiedy na niego spojrzała, pomyślała, że w jego oczach dostrzega współczucie i zrozumienie.

- Wygląda na to, że może będziesz w stanie zrobić dla tej rodziny coś, czego nie byli w stanie zrobić sami dla siebie mimo swoich pieniędzy i wpływów - powiedział półgłosem.

- Nie jestem pewna - odparła z zadumą. - Są wyjątkowo uparci.

- Nic w tym dziwnego, jeśli zważyć, jak miały się sprawy trzy lata temu. Słyszałaś o Laurze Reynolds?

- Tak.

- Była dla Hale'a i Evelyn jak córka. Córka, której nigdy nie mieli. Kochali ją.

- Rozumiem.

- Była bardzo piękna, bardzo czuła.

- Z tego, co słyszałam, musiała być również bardzo uparta i zdaje się rozchwilana emocjonalnie.

Devin zmarszczył czoło.

- Chodzi ci o to, że zabiła się w wypadku?

- Każdy, kto jedzie sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę jedną z autostrad Los Angeles, musi zdawać sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuje.

- Była tej nocy pogrążona w bólu.

- Tak, słyszałam o tym. Zerwanie zaręczyn to chyba niewystarczający powód, by usprawiedliwić tak idiotyczne zachowanie - powiedziała surowo Pru.

- To właśnie powiedział ci McCord? Że była zdenerwowana, bo zerwał zaręczyny? - Devin ze smutkiem pokiwał głową. - Niestety, wydarzyło się o wiele więcej.

Może powinnaś poznać całą prawdę, zanim zaczniesz ferować wyroki.

Pru uniosła podbródek i oświadczyła z dumą:

- Jeśli będę chciała wiedzieć więcej, Case powie mi to w stosownym czasie.

Devin omal nie gwizdnął w niechętnym podziwieniu.

- Teraz rozumiem, dlaczego Case jest przeświadczony, że znalazł prawdziwy skarb. Niewiele kobiet zaufałoby mu tak bezgranicznie. Nie po tym, co wydarzyło się między nim a Laurą Reynolds.

W tym momencie Pru zauważyła w głębi holu teściową. Natychmiast postanowiła skorzystać z okazji i uwolnić się od towarzystwa Devina Blancharda. Doszła do wniosku, że nie chce, by to on wtajemniczał ją w rodzinne sekrety.

- Dobrze, że cię widzę, Evelyn! - zawołała radośnie w momencie, gdy Case objuczony bagażami mijał matkę w holu. - O mały włos byłabym zapomniała. Chciałam zaprosić ciebie, Hale'a, Kyle'a, Carrie i Devina na pierwszy doroczny bal fundacji wydawany przez J.P.

Na twarzy Evelyn odmalowało się zaskoczenie. Case, usłyszawszy słowa żony, posłał jej krótkie spojrzenie zmrużonych oczu.

Pru pogodnie ciągnęła, nie czekając, aż któreś z nich się odezwie:

- Oczywiście J.P. nie określa tego mianem balu, tylko imprezy. Nie umiałby wyobrazić sobie siebie w roli organizatora czegoś tak wymyślnego jak tańce na cele charytatywne. W każdym razie wszystko jest na mojej głowie i obydwójce będziemy musieli się tam pojawić. To powinno

być interesujące wydarzenie. Dlaczego nie mielibyście przyjechać do La Jolli? Możecie zatrzymać się u nas. Mamy dwie gościnne sypialnie, więc jest mnóstwo miejsca.

- Kiedy to ma być? - spytała Evelyn, rzucając niespokojne spojrzenia na Hale'a, który patrzył nieprzeniknionym wzrokiem na nową synową.

- W następną sobotę. - Podała Evelyn dokładną datę. - J.P. na pewno przypadnie wam do gustu. To nietuzinkowa postać.

- Pru, robi się późno - powiedział Case od drzwi.

- Już idę. - Impulsywnie pocałowała Evelyn w policzek, pomachała do Hale'a i uśmiechnęła się do Kyle'a i Carrie. - Do zobaczenia wkrótce. - Gdy odwróciła się, by podążyć za mężem, jej wzrok zderzył się ze wzrokiem Devina Blancharda. - Postaraj się przyjechać, Devin - powiedziała najserdeczniej, jak potrafiła. - Mogę zdobyć tyle zaproszeń, ile zechcę. W końcu tak naprawdę to ja organizuję całą imprezę. Nie jestem pewna, czy znajdzie się miejsce u nas w domu, ale...

- W porządku-odparł cicho. - Jeśli uda mi się przyjechać do La Jolli, zatrzymam się w hotelu.

- Cóż - dodała pogodnie - w takim razie wszystko ustalone, prawda? Lepiej pójde już do samochodu, bo Case gotów odjechać beze mnie.

Zbiegła po schodach, wśliznęła się do ferrari i odwróciła głowę, żeby pomachać grupce stojącej w drzwiach.

- Myślę, że twoja matka płacze - powiedziała, gdy mąż zapalił silnik.

- Dziwi cię to?

- Nie, chyba nie.

Piękny dom już znikał w oddali. Pru odchyliła się na siedzeniu.

- Nie miej zbyt wielkich nadziei - zauważył mąż. - Wątpię, czy pojawią się na balu.

- Chcesz się założyć? - Pru uśmiechnęła się, zadowolona z siebie i pełna optymizmu.

Cztery dni później Pru podniosła wzrok znad biurka w niewielkim gabinecie redaktora w siedzibie Fundacji Arlingtona i z westchnieniem skonstatowała, że jest jeden szczególnie ważny powód, dla którego nie powinna była uciekać od Case'a McCorda.

Toneła w papierach, usiłując uporać się z zaległościami. Nikt nie zadał sobie najmniejszego trudu, by zająć się pracą, którą dotychczas wykonywała, podczas jej nieobecności. Najwidoczniej założyli, że wyjechała tylko na jakiś czas.

- Powiedziałem wszystkim, że szybko wrócisz - wyjaśnił pogodnie J.P., kiedy wkroczyła do jego gabinetu dzień po powrocie do La Jolli. - McCord może bywa niekiedy uparty jak muł, ale nie jest całkiem głupi. - Starszy pan siedział za wielkim inkrustowanym biurkiem, ozdobionym srebrnymi przyborami do pisania i złożonymi rogami byka, i wyglądał na wyjątkowo zadowolonego z siebie. Stopy w długich butach z ciemnozielonej jaszczurczej skóry opierał o krawędź biurka, a jego stetson w kolorze mięty wisił na jednym z rogów.

Case, który stał w holu tuż za Pru, usłyszał tę uwagę i przestąpił próg.

- Dzięki za wiarę w moje zdolności umysłowe, J.P Co,

u diabła, wszyscy robiliście, kiedy mnie nie było? Raport dotyczący projektu irygacji w Maroku jeszcze nie został przepisany, a Harve mówi, że odwołałeś spotkanie, na którym miano omawiać program ochrony gleby.

- Cóż, synu, prawdę mówiąc, po prostu siedzieliśmy sobie i zbijaliśmy baki, zastanawiając się, ile czasu zajmie ci powrót do łask panny Pru. Domyślałam się, że teraz, skoro włożyłeś jej obrączkę na palec, możemy zrzucić kamień z serca, czy tak? Był już najwyższy czas.

Pru stanęła między mężczyznami, zanim Case zdążył się odciąć.

- Jak przebiegają przygotowania do balu? Czy Mary Ann rozmawiała już z dostawcami?

- Tak, ale zdaje się, że wyniknęły jakieś problemy z menu. Dostawca nie chciał skorzystać z mego przepisu na chili, a jego upór sięgnął zenitu, kiedy powiedziałem mu, że życzę sobie chleb kukurydziany z papryczkami jalapeno.

- Naprawdę? Może to dlatego, że chili według twego przepisu jest na tyle gorące, że draperie i meble, które przypadkiem będą w pobliżu, natychmiast staną w ogniu. A kto słyszał o chlebie kukurydzianym z papryczkami jalapeno?

- Założę się, że ty na pewno - powiedział przebiegle J.P.

- Tylko dlatego, że miałam na tyle zły gust, by urodzić się w Spot, w Teksasie. - Pru powstrzymała westchnienie. - Jak rozumiem, muszę natychmiast porozmawiać z Mary Ann.

Po tej wymianie zdań całkowicie pogрузyła się w pracy.

Mimo wszystko dobrze być z powrotem, pomyślała cztery dni później, odrywając się na chwilę od stosu papierów zalegających biurko. Powitanie, które zgotowali jej Martha i Steve, było z pewnością szczere i płynęło z głębi serca. Z trudem skrywała uśmiech, wysłuchując skarg Marty na fatalny humor Case'a w ciągu tygodnia, który spędził na próbach ustalenia, gdzie ona się podziała. Ulga Steve'a z powodu jej powrotu mówiła sama za siebie. Nietrudno było się domyślić, że jego życie także nie było usłane różami po wielkiej scenie rozstania.

Ani Evelyn, ani nikt inny z rodziny McCordów nie dał dotąd znaku życia, więc Pru wciąż trzymała kciuki za to, by w następną sobotę zobaczyć ich wszystkich na balu. Liczy się nawet najmniejszy krok do zgody, mówiła sobie, kończąc redagować artykuł o problemie insektów w jednym z niewielkich krajów Ameryki Południowej. Ten, kto przeprowadził badania, świetnie znał się na insektach. Niestety, opanowanie prawidłowej pisowni przekraczało jego możliwości.

Usłyszawszy pukanie do drzwi, uniosła ze zdziwieniem głowę, marszcząc czoło. Zamknięte drzwi gabinetu oznaczały, że Pru jest w trakcie redagowania i nie życzy sobie, by jej przeszkadzano. Nawet J.P. respektował ten zakaz.

- Proszę - powiedziała oficjalnym tonem.

Zdumiona ujrzała, że do małego pomieszczenia wchodzi Carrie McCord. Szwagierka z powodu bardzo zaawansowanej ciąży poruszała się jeszcze bardziej niezgrabnie niż przed paroma dniami, a kiedy stanęła przed biurkiem Pru, w jej spojrzeniu malowała się nie ukrywana niechęć.

- Witaj - powiedziała chłodno. - Przyszłam porozma-

wiać o interesach, pani Prudence McCord. - Sarkazm towarzyszący tym słowom sprawił, że Pru zamruwała.

- Jakich interesach? - spytała ze zdziwieniem. Szwagierka właśnie przesunęła dłoń na plecy i masowała dół kręgosłupa. Nie sposób było nie zauważyć, że nie jest w najlepszej formie. - Może usiądziesz?

- Myślę - powiedziała z naciskiem Carrie - że powinnyśmy udać się w jakieś spokojniejsze miejsce.

- Dlaczego?

- Bo chcę się dowiedzieć, ile nas to będzie kosztowało. Nie wiem jak ty, ale ja nie znoszę rozmawiać publicznie o pieniądzach.

Pru wstrzymała oddech.

- Ile co będzie was kosztowało?

- Spłacenie cię, oczywiście. A myślałaś, że co według ciebie mam na myśli? Kyle i ja postaramy się o to, by wystąpienie o natychmiastowy rozwód ci się opłaciło.

ROZDZIAŁ 8

Dokąd jedziemy? - dopytywała się Carrie, z trudem nadążając za Pru, która pospiesznie wyprowadziła ją z budynku fundacji na przyległy parking i otworzyła przed nią drzwiczki swego auta. - Chcę porozmawiać z tobą sam na sam.

- Możesz być spokojna. O tej porze u nas w domu nie ma nikogo. Gospodyni już zdążyła zrobić, co do niej należało, i wyszła, a ogrodnik pewno poszedł popływać na desce. - Pru z ponurą miną wsunęła się za kierownicę i przekreśliła kluczyk w stacyjce.

- A Case?

- Case? Nie chcesz, żeby dowiedział się o tej wspaniałej propozycji, którą zamierzasz mi złożyć? - Pru zręcznie skręciła w wysadzaną palmami aleję. Zauważyła, że szwagierka wierci się niespokojnie na siedzeniu obok, więc mimo kipiącego w niej gniewu poczuła się w obowiązku spytać: - Dobrze się czujesz, Carrie?

- Świetnie - odburknęła zapytana, która przestała już masować nasadę kręgosłupa i ze znużeniem oparła się o siedzenie. - Nie przyjechałam tu po to, żeby zobaczyć się z Case'em. Przyjechałam, aby porozmawiać z tobą.

Pru westchnęła.

- Nie obawiaj się. Na pewno nie zastaniemy go w domu. Musi dziś być na kilku zebraniach pracowników naukowych. Zejdzie mu prawdopodobnie do piątej, a może i szóstej.

W małym samochodzie zapanowała cisza. W końcu Pru skręciła na podjazd przed domem. Carrie, mimo ponurego, kwaśnego nastroju, nie zdołała ukryć zaskoczenia na widok uroczej willi.

- Nie miałam pojęcia, że Case tak dobrze sobie radzi - zauważyła z ociąganiem, kiedy już wysiadła z samochodu i udała się za Pru do domu. - Po kłótni z ojcem zostawił właściwie wszystko. Wiem, że Hale nie dał mu ani centa.

- A myślałaś, że co robił przez ostatnie trzy lata? Pracował w barze szybkiej obsługi, żeby związać koniec z końcem? Jest bardzo inteligentny, a co więcej, pełen inwencji. Należy do ludzi, którzy poradzą sobie w każdych okolicznościach. Jak powiedziałyby moja ciotka Wilhelmina: Zostaw go pośrodku pastwiska, a on zbije fortunę na sprzedaży krowich placków. Chodź, Carrie, przejdziemy do ogrodu. Tam będzie nam chłodniej. Zaproponowałam ci lemoniadę, ale w tych okolicznościach nie mam nastroju na szczególną gościnność.

Przeszły przez duży, przestronny hol do dobrze utrzymanego ogrodu na tyłach domu. Pru zauważyła, że szwagierka wciąż nie może pogodzić się z faktem, iż Case nie żył w biedzie od momentu, kiedy został odrzucony przez rodzinę. Zaobserwowała również, wbrew sobie, że Carrie wciąż sprawia wrażenie, jakby coś jej dolegało.

Pomyślała o swojej ciąży. Chciała spytać Carrie, jak to jest, kiedy jest się w dziewiątym miesiącu, ale dała sobie spokój. Nie przejawiała wobec siebie siostrzanych uczuć.

- Chyba powinnam cię ostrzec - odezwała się łagodnie, gdy już usiadły w białych, wiklinowych fotelach - że jeśli złożysz mi jakąś propozycję, tylko się zbłąznisz. Przez wzgląd na stosunki rodzinne w przyszłości byłoby lepiej, gdybyś po prostu postanowiła przekształcić to nasze spotkanie w niespodziewaną wizytę.

Carrie wojowniczo uniosła podbródek.

- Myślisz, że świetnie wszystko sobie zorganizowałaś, prawda? Przeszłaś daleką drogę od tego beznadziejnego małego miasteczka w Teksasie, czyż nie? Udało ci się nawet pozbyć charakterystycznego akcentu. Dobre manierę i wystarczająco dużo pieniędzy na modne ciuchy potrafią wiele ukryć, mam rację?

Pru była wstrząśnięta nieoczekiwaną formą tego ataku.

- Co takiego zrobiłaś, Carrie? Czyżbyś wynajęła prywatnego detektywa i zleciła mu zbadanie mojej przeszłości?

Carrie próbowała zachowywać się nonszalancko, ale na policzki wystąpił jej krwistoczerwony rumieniec.

- To nie zabrało mu wiele czasu. Wystarczyły dwa dni, by się dowiedział, że urodziła cię jakaś kelnerka z baru dla kierowców tirów, która sypiała z każdym, kto tamtędy przejeżdżał. Jednak żaden z nich nie został na tyle długo, aby się z nią ożenić, prawda? Nawet nie wiesz, kim jest twój ojciec.

Pru wstała z fotela, trzęsąc się ze złości, niepodobnej do niczego, co kiedykolwiek przeżywała.

- Zamknij się, Carrie! Rozumiesz? Po prostu się zamknij, zanim do reszty stracę panowanie nad sobą. I ani słowa o mojej matce. Mnie możesz obrażać, jak ci się

żywnie podoba, ale jeśli powiesz jeszcze słowo o niej, nie rękę za siebie. Trzymam ręce z dala od ciebie tylko dlatego, że jesteś w dziewiątym miesiącu ciąży.

Carrie wzdrygnęła się, ale ciągnęła:

- Kiedy zostałam kochanką Case'a McCorda, myślałam pewnie, że wygrałam los na loterii. Po tym, co widziałam w tym swoim Spot w Teksasie, musiałam uznać, że jest świetny. I na tym powinnaś była poprzestać. Jakim cudem skłoniłam go, żeby się z tobą ożenił? W końcu mieszkałam z nim otwarcie jako jego kochanka przez trzy miesiące, jak mi powiedziano. Skoro dostawał od ciebie to, czego chciał, dlaczego zawracał sobie głowę małżeństwem? Case nie należy do szlachetnych mężczyzn, wierz mi. Laura Reynolds dość boleśnie się o tym przekonała. Musisz być bardzo dobra w łóżku. Założę się, że jak tylko się zorientowałam, o jaką stawkę toczy się gra, nie spoczęłam, póki jakimś cudem nie nakłoniłam Case'a, aby wsunął ci obrączkę na palec. Co takiego zrobiłaś? Upiłaś go i zawlokłaś nocą przez granicę do Meksyku na szybki ślub?

- Carrie, ostrzegam cię, nie mów nic więcej. Nie wiesz, co robisz.

- Och, doskonale wiem. Za to ty powinnaś pamiętać, że w dzisiejszych czasach rozwód jest niemal tak łatwy jak zawarcie małżeństwa. Kiedy Case'owi znudzi się zabawa z tobą w dom, znajdziesz się na ulicy.

- To mój problem. - Pru trzęsła się z wściekłości. - Jeśli jesteś pewna, że tak właśnie się stanie, po co przyjechałaś dzisiejszego popołudnia?

- Bo nie chcę patrzeć, jak Evelyn i Hale będą narażeni na huśtawkę emocjonalną przez wyrachowaną małą dziw-

kę, która myśli, że ułoży sobie życie jeszcze lepiej, jeśli naprawi stosunki Case'a z rodziną.

- Nie wydaje mi się, żeby Evelyn i Hale cokolwiek cię obchodzili - powiedziała Pru bez ogródek. - Chodzi ci wyłącznie o to, aby zabezpieczyć pozycję twego męża w McCord Enterprises.

- Kyle długo i ciężko pracował nad tym, żeby przekształcić korporację w coś naprawdę dużego, większego, niż kiedykolwiek wyobrażał sobie Hale. - Carrie podniosła głos. - Nie będę stała z boku i przyglądała się, jak praca mego męża idzie na marne. McCord Enterprises to przyszłość mego dziecka. Nie dopuszczę, byś ją ukradła.

- Przecież powiedziałam tobie i całej rodzinie, że Case nie byłby szczęśliwy jako prezes McCord Enterprises!

- A czy ty będziesz szczęśliwa, póki on nie obejmie tego, co zapewne uważa za swoje dziedzictwo? Wątpię. Każdy, kto przeszedł tak daleką drogę od teksańskiego kurzu, nie zatrzyma się, póki nie osiągnie celu. Chyba że dostanie lepszą ofertę.

- Którą ty, jak przypuszczam, zamierzasz złożyć? - spytała z sarkazmem Pru.

- Tak. - Carrie zmierzyła ją chorobliwie błyszczącymi oczami.

- Jakim cudem zdołasz zaproponować mi na tyle dużo, abym zrezygnowała z pieniędzy McCordów? - spytała Pru urażliwie.

Carrie wyprostowała się i nagle drgnęła. Przesunęła dłoń na brzuch. Po chwili odetchnęła głęboko i ciągnęła:

- Jestem przygotowana. Chcę ci zaproponować okrągłą sumkę za zostawienie Case'a w spokoju. Nic zbliżone-

go do tego co, jak myślisz, byłabyś w stanie wyciągnąć od McCordów przez najbliższe parę lat, ale to i tak dużo pieniędzy. W dodatku pewnych. A ty szybko możesz zostać na lodzie, jeśli będziesz próbowała nabrać McCordów na te swoje sztuczki.

- Dlaczego miałabym przyjąć tę ofertę?

- Bo - oświadczyła Carrie ze złośliwą satysfakcją - jeśli tego nie zrobisz, dopilnuję, żeby Case i jego rodzice zobaczyli raport, który otrzymałam od prywatnego detektywa.

Pru na moment zamknęła oczy i ze współczuciem pokiwała głową. Odwróciła się plecami do Carrie i przeszła kilka kroków w stronę klombu. Wpatrzyła się w cudowne róże, które Steve przez całą wiosnę dopieszczał pod kierunkiem Case'a.

- Och, Carrie, trafiłaś jak kulą w płot. Nie masz pojęcia, co robisz.

- Nie próbuj blefować. Chyba nie chcesz, żeby mąż dowiedział się o twojej przeszłości. Nawet jeśli zakładasz, że mogłby się z tym pogodzić, czy sądzisz, że Evelyn i Hale kiedykolwiek przeszliby nad tym do porządku dziennego? Jak myślisz, jak zareagowałiby na wiadomość o tym, że ich nowa synowa jest nieślubną córką kelnerki z teksańskiego baru dla kierowców?

- Case wie o mnie wszystko, co powinien. A guzik mnie obchodzi, czy Hale i Evelyn się o tym dowiedzą. Przykro mi, że zepsułam ci twój dziecinny plan szantażu, ale w ten sposób nie zdołasz mnie przestraszyć.

- Nie wierzę ci! - Carrie oparła dłonie na poręczach fotela i z trudem podniosła się z miejsca. Jej głos przeszedł w krzyk.

- To prawda. - Pru odwróciła się ku niej z lekkim uśmiechem. - Jeśli chcesz się o tym przekonać, zostań dziś u nas na kolacji i porozmawiaj z Case'em. Radzę ci jednak, byś zrobiła to taktownie. Mój mąż jest bardzo opiekuńczy w stosunku do mnie. Nie pozwoli, by ktokolwiek mnie obrażał.

Carrie nie spuszczała z niej szeroko otwartych oczu.

- Nie mogę uwierzyć, że się z tobą ożenił. Po prostu nie mogę. Odwrócił się plecami do Laury, która tak bardzo go kochała. Do Laury, która pochodziła z dobrej rodziny i była taka piękna. Była dla Evelyn jak córka i Case o tym wiedział. Wszyscy ją kochali.

- Wszyscy z wyjątkiem Case'a, najwidoczniej. Nikogo nie można zmusić do miłości. Musiały zaistnieć jakieś ważne powody, skoro Case zerwał zaręczyny. Prawdopodobnie uznał, że on i Laura nie byliby razem szczęśliwi, i nie widział powodu, dla którego mieliby brnąć w nieudane małżeństwo. Nie ponosi odpowiedzialności za jej późniejsze idiotyczne zachowanie.

Carrie dała krok do przodu i potknęła się lekko. Jej ładna twarz na moment wykrzywiła się z bólu.

- Ty nic nie wiesz, prawda? Naprawdę nie wiesz, co się wydarzyło przed trzema laty?

Pru zauważyła, że szwagierka ponownie dotyka nasady kręgosłupa.

- Dobrze się czujesz?

- Już ci mówiłam, że nic mi nie jest - odrzekła Carrie, po czym wydała z siebie zduszony krzyk i chwyciła za poręcz fotela. - O, dobry Boże - dodała zdławionym głosem.

Pru skoczyła ku niej, podtrzymała, chroniąc przed upadkiem, i pomogła jej usiąść w fotelu.

- To dziecko, prawda?

- To niemożliwe. Mam termin dopiero za dwa tygodnie. - Z trudem chwyciła powietrze, a w jej oczach pojawił się błysk niepokoju. Spojrzała bezradnie na Pru. Cała jej złość i niechęć wyparowały w ułamku sekundy. Pozostały tylko obawy młodej matki. - Mówią, że pierwsze dziecko zawsze się spóźnia. To nie może się zdarzyć. Nie tutaj. Nie teraz. Co ja zrobię?

- Tak się składa - oświadczyła Pru ze sztuczną wesołością - że ostatnio przeczytałam kilka książek na ten temat. Masz szczęście, że szybko czytam. Zdołasz dojść do samochodu?

- Tak, chyba tak. Mam jeszcze trochę czasu. Przynajmniej tak mi się wydaje. O, Boże, nie przypuszczałam, że może mi się przytrafić coś takiego. Chciałam, żeby Kyle był przy mnie. Nie chcę być sama.

- Zadzwońię do niego, jak tylko zawiozę cię do szpitala - powiedziała łagodnie Pru w drodze do samochodu.

- Jazda tu zajmie mu parę godzin, nawet jeśli uda ci się znaleźć go od razu. Będę zupełnie sama. - Oczy Carrie napełniły się łzami.

- Nie, nie będziesz zupełnie sama - oświadczyła stanowczo Pru, pomagając jej usiąść na tylnym siedzeniu samochodu. - Masz mnie. Czy to ci się podoba, czy nie, jesteśmy szwagierkami, pamiętasz? Należę do rodziny i jestem tu. Nie będziesz sama.

Cokolwiek Carrie zamierzała powiedzieć, zginęło

w kolejnej fali bólu. Zanim doszła do siebie, Pru już zdążyła wyjechać z podjazdu.

Skurcze następowały coraz częściej. Kiedy Pru dotarła do szpitala, personel izby przyjęć nie tracił czasu. Pru nie odstępowała wózka, na którym wieziono pacjentkę w głąb holu, i towarzyszyła jej w windzie. Kiedy wyciągnęła rękę do Carrie, zdumiała się, z jak rozpaczliwą siłą szwagierka się jej chwyciła.

- Nie powinniśmy liczyć czy coś w tym rodzaju? - zasugerowała łagodnie.

Carrie jęknęła i wbiła paznokcie w dłoń Pru.

- Boję się - wyszeptała.

Pielęgniarka z porodówki pochyliła się nad pacjentką i zaczęła ją rozbierać.

- Nie trzeba się bać. To będzie trochę nieprzyjemne, no i czeka panią dużo ciężkiej pracy, ale nie ma się czego bać. Wszystko będzie dobrze. - Przeniosła wzrok na Pru. - Czy należy pani do rodziny?

- Tak - odparła cicho zapytana.

Carrie na chwilę otworzyła oczy i zdobyła się na słaby uśmiech.

- To moja szwagierka.

- To dobrze - powiedziała pielęgniarka. - Może z panią zostać, dopóki nie pojawi się pani mąż.

Pru uśmiechnęła się do rodzącej.

- Jeśli puścisz moją rękę na pięć minut, zadzwonię do niego.

Carrie z widoczną niechęcią wypuściła rękę Pru z uścisku.

- Przepraszam.

- Nie ma sprawy. Zaraz wracam.

Carrie niespokojnie pokręciła głową spoczywającą na poduszce.

- Nie, Pru. Chciałam powiedzieć, że przepraszam za... za wszystko. Zachowałam się jak kretynka. Chcę, abyś wiedziała, że Kyle nie ma pojęcia, iż tu jestem. To był wyłącznie mój pomysł.

- Nie myśl już o tym. - Pru poklepała uspokajająco jej dłoń.

- Kyle nie da rady dotrzeć na czas - denerwowała się Carrie.

- Wciąż ci powtarzam, że nie będziesz sama. - Pru odeszła w poszukiwaniu telefonu.

Kyle McCord przybył do szpitala wkrótce po narodzinach swego pierworodnego. Żona spała, a nowa szwagierka siedziała przy łóżku i czytała jakieś ilustrowane czasopismo. Kiedy stanął w drzwiach, jego spojrzenie pobiegło od razu do wyczerpanej twarzy żony, a potem do Pru, która uśmiechnęła się uspokajająco na jego widok.

- Wszystko w porządku, Kyle. Moje gratulacje. Masz pięknego syna.

- Czy z Carrie wszystko dobrze?

- Jest tylko zmęczona - zapewniła go Pru, wstając z krzesła. - Może przy niej usiądziesz? Jestem pewna, że ucieszy się na twój widok, jak się zbudzi.

- Czy to ty się nią zajęłaś? Przywiozłaś ją do szpitala i w ogóle? - Kyle spojrzał badawczo na Pru, która w duchu uznała, że to pewnie charakterystyczna cecha McCordów.

- Tak się złożyło, że w pobliżu nie było nikogo innego - odparła lakonicznie.

- Nie musiałaś z nią zostawać.

- Przecież jesteście rodziną - powiedziała cicho.

Kyle zmrużył oczy i ponownie spojrzął na śpiącą żonę.

- Na pewno przyjechała tu, żeby się z tobą zobaczyć.

- Tak.

- Bardzo się przejęła małżeństwem mego brata. - Głos Kyle'a brzmiał tak, jakby jego właściciel poruszał się po polu minowym.

- Wiem.

Kyle zaczerpnął powietrza i rzekł bez ogródek:

- Przepraszam, jeśli powiedziała lub zrobiła coś, co cię obraziło. Przez ostatnie parę tygodni była bardzo rozdrażniona.

- To całkowicie zrozumiałe - odparła lekko Pru. - Przestań się tym martwić, Kyle. Wszystko jest w najlepszym porządku.

- Jesteś pewna?

- Jestem pewna.

Zawahał się na chwilę.

- Case wie?

- Zadzwoiłam do niego zaraz po narodzinach dziecka. Wkrótce powinien się tu zjawić.

W tym momencie drzwi się otworzyły i stanął w nich McCord.

- Już tu jest - powiedział cicho. - Moje gratulacje, braciszku. Jak rozumiem, masz syna.

Kyle skinął głową. Oczy lśniły mu ojcowską dumą.

- Tak mi powiedziano. Miałem być obecny przy tym

wielkim wydarzeniu, ale Pru i Carrie musiały wszystkim zająć się same.

McCord uśmiechnął się lekko.

- Cóż, to rola kobiet.

Kyle wydawał się zaskoczony pogodnym uśmiechem brata. Kiedy się w końcu odprężył, odparł:

- Zgadzasz się z tym. Jeśli chcesz znać prawdę, w pewnym sensie cieszę się, że nie zdażyłem na tę atrakcję na porodówce. Wiesz, jaki jestem wrażliwy.

- Może się uciszycie, wy dwaj - zrugła ich półgłosem Pru. - Obudzicie Carrie.

Carrie poruszyła się pod kołdrą i powoli otworzyła oczy.

- Nie śpię. Czy to ty, Kyle? Najwyższy czas.

Kyle podszedł do łóżka i wziął żonę za rękę.

- Gdybyś była w domu, jak powinnaś, byłbym w pobliżu i zająłbym się tobą jak należy. Pomyśl tylko, na próżno chodziłem na te wszystkie zajęcia do szkoły rodzenia i przeczytałem te wszystkie książki. Co ty, u licha, sobie myślałaś, przyjeżdżając tu sama jedna?!

- Myślałam, że mam przed sobą jeszcze dwa tygodnie. - Ich oczy się spotkały. - Chciałam tylko porozmawiać z Pru.

To Case zadał następne pytanie. Jego głos był stanowczo zbyt spokojny.

- O czym chciałaś z nią rozmawiać, Carrie?

Carrie przygryzła wargę.

- Proszę, nie - szepnęła -jestem taka zmęczona.

- Z pewnością jest zmęczona - oświadczyła Pru. - Chodźmy napić się kawy. Jeszcze tu wrócimy. - Mocno chwyciła męża za nadgarstek i wyprowadziła z pokoju.

- No dobrze, Pru - powiedział prosto z mostu, jak tylko znaleźli się w kafejce. - Powiedz mi, o co tu chodzi. Dlaczego Carrie przyjechała?

Pru postawiła swoją filiżankę na tacy obok jego filiżanki.

- Przyjechała zobaczyć się ze mną.

- W jakiej sprawie?

- Nie patrz na mnie z taką podejrzliwością. Chciała po prostu lepiej mnie poznać, to wszystko. Zwykła siostrzana wizyta.

- Jasne, a jeśli w to uwierzę, sprzedasz mi jakiś most, prawda? Nie kłam, Pru. Lepiej powiedz, co naprawdę się stało.

Pru usiadła naprzeciwko niego, oparła łokcie na stole i uśmiechnęła się tajemniczo.

- Carrie osiągnęła swój cel, to wszystko.

- Jak to?

- Poznała mnie trochę lepiej.

McCord przyglądał się jej zmrużonymi oczami. Przez chwilę nic nie mówił, a jego bystry umysł analizował różne możliwości.

- Próbowала cię przekupić, czy tak?

Pru zamrugała, zaskoczona tym, jak łatwo odgadł prawdę. Jej reakcja potwierdziła jego podejrzenia.

- Daj spokój, McCord.

Odchylił się do tyłu i wykrzywił wargi z niesmakiem.

- Co za mała idiotka.

- Mówisz o mnie czy o Carrie?

- O Carrie. Powinna była wiedzieć, że ta wyprawa nie ma najmniejszego sensu.

Pru zrobiło się ciepło na sercu. Miło było usłyszeć, że mąż pokłada w niej tak bezwarunkową wiarę.

- Nie знаła mnie zbyt dobrze. Teraz poznała mnie lepiej.

- Powiedziałaś jej, żeby poszła do diabła, prawda?

- Powiedziałam jej, że popełniła błąd.

McCord uśmiechnął się szeroko i sięgnął po swoją kawę.

- I to duży. Niewiele jest powodów, dla których odeszłabyś od mężczyzny, Pru. Pieniądze nie są jednym z nich.

- Mówisz tak, jakbyś był bardzo pewny siebie.

- Bo jestem - powiedział po prostu. - W przeciwieństwie do mojej szwagierki miałem kilka miesięcy, żeby cię poznać.

Kiedy Pru i Case jakiś czas potem wrócili do pokoju Carrie, młodzi rodzice właśnie wpatrywali się z zachwytem w swego pierworodnego. Dziecko przyniesiono do pokoju na karmienie, a teraz spało zadowolone w ramionach matki. Pru dołączyła swój głos do ogólnego zachwytu, zastanawiając się w duchu, czy jej dziecko będzie miało takie same kosmyki ciemnych włosów.

- Jest piękny - szepnęła.

- Dlaczego kobiety zawsze mówią tak o dzieciach? - zauważył pogodnie Case, przyglądając się uważnie niemowlęciu.

- Ponieważ to prawda - oświadczyła kategorycznie Pru. - Mam rację, Carrie?

Carrie zerknęła niepewnie na szwagra, po czym skinęła głową.

- Kiedy popracujesz tak ciężko, żeby powołać na świat kogoś takiego, masz obowiązek uważać, że jest piękny. To naturalne, że kobiety zachowują się emocjonalnie, kiedy w grę wchodzi dzieci. Mężczyźni nie zawsze są w stanie pojąć, co czuje kobieta w ciąży.

W pokoju zapadła kłopotliwa cisza, której Pru nie rozumiała. Spojrzała nieruchomy wzrok męża i tego również nie rozumiała. Kyle pospieszył wypełnić krótką pauzę.

- Przed paroma minutami rozmawialiśmy z mamą i tatą. Są uszczęśliwieni.

- Powinni być - powiedział spokojnie Case. - Dynastia nie wygaśnie.

Kyle spojrzał na niego.

- Co to miało znaczyć?

McCord wzruszył ramionami.

- Czy to nie jest oczywiste? Teraz jest ktoś, kto cię zastąpi, kiedy przyjdzie czas, aby przekazać ster McCord Enterprises.

Kyle zacisnął dłoń na poręczy łóżka żony. Jego twarz niczego nie wyrażała, ale nie zdołał ukryć napięcia w oczach.

- Czy to oznacza, że naprawdę nie jesteś zainteresowany powrotem do firmy?

- Nie byłbym tym zainteresowany nawet za milion lat, Kyle. Czyżbyś nie słuchał tego, co mówiła Pru u rodziców? W głębi serca jestem farmerem.

Carrie zeszywniała. Dziecko w jej ramionach zakwiliło przez sen, więc natychmiast rozluźniła uścisk.

- Ale gdyby stosunki między tobą a Hale'em poprawiły się...

Case zerknął na Pru i powiedział:

- Nawet jeśli mojej żonie uda się ta sztuka, to niczego nie zmieni, jeśli chodzi o moją przyszłość. Mam wszystko, czego mi trzeba.

- Mówisz prawdę - powiedziała Carrie z zaskoczeniem pomieszanym z ulgą. - Czy tak?

Pru była zszokowana.

- Oczywiście, że mówi prawdę. Case zawsze mówi prawdę. Jest zbyt uparty i dumny, aby kłamać. Powinnaś o tym wiedzieć. Chodź, czas iść do domu. Zaczynam robić się głodna, a Carrie pewnie potrzebuje odpoczynku. Jutro wpadniemy w odwiedziny. - Wzięła męża za rękę i pociągnęła w kierunku drzwi. W progu przyszła jej do głowy pewna myśl. - Zanocujesz dziś u nas, prawda, Kyle?

- Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym, gdzie się zatrzymam. Na pewno znajdzie się dla mnie miejsce?

Carrie zaśmiała się cicho.

- Nie obawiaj się, Kyle. Miałam dziś okazję zobaczyć dom twego brata. Tam jest mnóstwo miejsca. Uwierz mi, nie mieszkają w jakimś żalnym ciasnym mieszkanku. Myślę, że zaskoczy cię to, co zobaczysz.

Kyle uniósł brwi.

- Wątpię. Zapominasz, że znam Case'a od urodzenia. Mój brat doskonale by sobie poradził w każdej sytuacji.

Carrie uśmiechnęła się przez szerokość pokoju do Pru.

- To zabawne - zauważyła. - Pru powiedziała mniej więcej to samo, tyle że jej słowa były nieco mniej wyszukane. Coś o tym, że można zostawić Case'a na pastwisku i przyglądać się, jak zbija fortunę, sprzedając krowie placki.

- Czy to prawda? - Case rzucił żonie przebiegły uśmiech. W jego oczach pojawiły się wesołe iskierki. - Nie jestem pewny, skąd Pru czerpie tę bezgraniczną wiarę we mnie.

- Nieważne - powiedziała lekko zarumieniona Pru. - Czas na nas. - Pospiesznie wyciągnęła go z pokoju, świadoma, że Kyle uśmiecha się za jej plecami.

- Fortuna na sprzedaży krowich placków? - powtórzył Case z prawdziwym zainteresowaniem, podążając w głąb szpitalnego korytarza u boku żony.

- To stare powiedzenie ciotki Wilhelminy.

- Aha. Zauważyłaś, że powiedzenia twojej ciotki Wilhelminy są szalenie podobne do powiedzeń J.P.?

- Od czasu do czasu przychodzi mi to do głowy - przyznała Pru.

- Pewnego dnia - powiedział z zadumą McCord - będziemy musieli ich sobie przedstawić.

Pru uśmiechnęła się szeroko.

- To jest myśl.

Kyle pojawił się na progu domu brata około ósmej trzydzieści wieczorem. Wyglądał na zmęczonego, ale szczęśliwego.

- Mama i tata z pewnością oszaleją na punkcie dziecka - powiedział, kiedy wszyscy troje siedzieli w pokoju dziennym. - Pragnęli wnuka, od kiedy ty i Laura... - Raptownie urwał i poczerwieniał na twarzy. - Przepraszam - wymamrotał. - To było głupie z mojej strony.

- Nie będę się spierał. - Case wstał i sięgnął po butelkę brandy. - No, napij się jeszcze trochę. To twój wielki dzień.

Kyle masował skronie, odchyliwszy się do tyłu w fotelu.

- Fakt. O mało nie oszalałem, kiedy Pru zadzwoniła z wiadomością, że Carrie zaczęła rodzić, i to tu, zamiast w domu. Trzeba uważać na ciężarne kobiety. Robią dziwne rzeczy.

- Będę o tym pamiętał - powiedział swobodnie Case. Kyle przeniósł wzrok na szwagierkę.

- Zdaje się, że rodzice wybierają się na ten bal Fundacji Arlingtona, na który ich zaprosiłaś.

- Naprawdę? - ucieszyła się Pru.

- Mama urabia tatę od chwili waszego wyjazdu. Nie dziw się, jeśli się tu zjawia.

- Będziemy przygotowani.

- Zgaduję, że ja i Carrie będziemy musieli to sobie darować. Wygląda na to, że przyjdzie nam uczyć się sprawowania opieki nad dzieckiem. Szkoda. Bardzo chcielibyśmy przyjechać.

- W przyszłym roku - powiedziała pocieszająco Pru.

Kyle zwrócił się do brata.

- Mam wrażenie, że twoja żona sama jedna wprowadzi spore zmiany w rodzinie McCordów, duży bracie.

- Jeśli ktokolwiek jest w stanie to zrobić, to tylko ona - odparł zagadnięty.

Siedząca na kanapie Pru poruszyła się niespokojnie.

- Nie mogę uwierzyć, że paru inteligentnych ludzi zachowuje się tak idiotycznie przez tyle czasu. Jak by powiedziała moja ciotka Wilhelmina: Głupota nagradza się sama.

Kyle rzucił jej spojrzenie z ukosa.

- Twoja ciotka może mieć słuszość. Coś w tym jest. W każdym razie doceniam to, co zrobiłaś dziś dla Carrie, Pru. Domyślałam się, po co przyjechała do La Jolli. To, że wyruszyła w taką drogę, nie mówiąc mi, dokąd się wybiera, wystarczy mi, żebyśmy wiedzieli, co jej chodziło po głowie.

- To już nie ma znaczenia, Kyle - powiedziała cicho Pru. Kiedy Case znów przy niej usiadł, splotła palce z jego palcami. Ścisnął je mocno. - Martwiła się. Potrafię to zrozumieć.

Kyle skinął głową.

- Dzięki. Jesteś bardzo wspaniałomyślna. - Wstał i przeciągnął się. - Czy nie mielibyście nic przeciwko temu, żebyśmy się już położyli? Wiem, że to Carrie wykonała dziś całą pracę, ale jestem wyczerpany.

- Dobranoc. - Case skinął bratu głową.

Kyle kiwnął w odpowiedzi i wyszedł z pokoju.

Pru odwróciła się do męża z błyszczącymi oczami.

- Mówiłam ci, że przyjadą na bal.

- Mówisz o moich rodzicach? - Case uśmiechnął się. - Rzeczywiście tak powiedziałaś. - Czułym gestem zburzył jej włosy. - Jesteś z siebie dumna, prawda?

- Moim zdaniem to kompletny idiotyzm, że przez trzy lata rodzina toczy ze sobą wojnę bez ważnego powodu.

- Moja rodzina jest przekonana, że był powód, Pru.

- Cóż, nie mają racji. Pewnego dnia się o tym przekonają.

Case westchnął i nalał sobie kolejną szklaneczkę brandy.

- Czym posłużyła się Carrie, żeby cię zaszantażować dzisiejszego popołudnia?

Pru odchrząknęła, nie dając się zwieść pozornej obojętności tego pytania.

- To zamknięta sprawa. Wołałabym o tym nie rozmawiać. Carrie była wytracona z równowagi i bała się. Powiedziała parę dziwnych rzeczy i teraz tego żałuje. Zostawmy to.

- Zgoda. Jak tylko dowiem się, czym się posłużyła.

- Nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły.

- Aż tak źle? - Uniósł brwi w uprzejmym zdziwieniu.

- Nie bądź idiotą - rzuciła rozdrażniona Pru. - Po prostu zagroziła, że powie tobie i twoim rodzicom o mojej przeszłości. Dowiedziała się o Spot, o mojej matce, o tym, że nie miałam ojca, i o tym, jak daleką drogę przeszłam, by dojść tu, gdzie jestem teraz. Biedna Carrie wbiła sobie do głowy, że to będzie miało dla ciebie jakieś znaczenie. Mówiłam ci, że nie myślała jasno. - Pru jęknęła. - Wiesz, co narobiłeś? Nie miałam zamiaru ci o tym mówić. Jak ci się to tak łatwo udaje?

Uśmiechnął się szeroko.

- Nie mnie, tylko tobie. Jesteś beznadziejna, jeśli chodzi o dochowywanie sekretów. Jedyny, który udało ci się przez jakiś czas zachować, to fakt, że jesteś w ciąży. Nawet wówczas zdradziły cię okoliczności.

- Mówisz o tym liście z kliniki? - Pru pokręciła głową. - I pomyśleć, że całe moje życie zmieniło się z powodu tego listu. Dziwne, prawda?

- On nie zmienił twego życia, Pru. Po prostu trochę przyspieszył bieg wypadków - powiedział Case. Jego spojrzenie stało się nagle bardzo czujne.

- Co masz na myśli?

- Pojechałbym za tobą, nawet gdybym nigdy nie zobaczył tego rachunku.

Uciekła przed jego wzrokiem i splotła dłonie na kolanach.

- Naprawdę?

- Tak.

Uśmiechnęła się drżącymi ustami, przypomniawszy sobie, co powiedziała wcześniej do Carrie. Case McCord był zbyt dumny i zbyt uparty, by zwracać sobie głowę kłamstwami.

- Cieszę się.

- Nie oszukuj się. Nie miałem wyboru. Chciałem znów mieć cię przy sobie.

- Ja też tego chciałam. - Uniosła twarz do pocałunku.

Dopiero dużo później tej nocy, kiedy leżała śpiąc u jego boku, Case uświadomił sobie, że nie powiedziała, że go kocha.

Jej cichy upór zaczynał działać mu na nerwy.

ROZDZIAŁ 9

Kochasz mego syna, prawda? - spytał zniecierpliwiona Hale McCord. Pru właśnie zatrzymała się pośrodku warzywnika, chcąc się pochwalić, jak pięknie obrodził jej groszek.

Zaskoczona tym nieoczekiwane osobistym pytaniem, omal nie potknęła się o grządkę marchwi. Właściwie czemu ociągać się z wyjawieniem prawdy? I tak wszyscy, nie wyłączając męża, wydawali się o tym wiedzieć.

- Tak - odparła ze spokojem, zupełnie jakby było to najzwyczajniejsze pytanie pod słońcem. - Kocham go. Pomozesz mi zebrać trochę groszku i marchewki, Hale? Martha wysłała mnie wprawdzie po szpinak, ale, moim zdaniem, na szpinak jest ciut za wcześnie.

- Już od dawna nie zbierałem warzyw, co nie znaczy, że zapomniałem, jak się to robi. - Teść pochylił się z uśmiechem i zaczął wyrwać marchewki z ziemi zręcznymi ruchami wskazującymi na lata praktyki.

Starsi państwo przyjechali godzinę temu. Pru szczerze ucieszyła się na ich widok. Towarzyszył im Devin Blanchard, który zatrzymał się w pobliskim hotelu. Blanchard uprzejmie odrzucił propozycję skorzystania z drugiej sypialni.

Na pozór Case obserwował rozwój wypadków z życzli-

wym dystansem, zupełnie jakby to, co robią rodzice, nie miało dla niego znaczenia, ale Pru dałaby głowę, że w jego nieprzeniknionym spojrzeniu najpierw pojawiło się zdziwienie, a potem ostrożna akceptacja sytuacji.

Początkowe zaskoczenie Evelyn szybko przeszło w euforię, skoro na własne oczy przekonała się, że jej starszy syn osiągnął spory sukces. Również Hale wyglądał na usatysfakcjonowanego. Wprawdzie nie skomentował ani słowem ładnego domu i wspaniałego widoku, ale z nie ukrywanym zadowoleniem przysłuchiwał się okrzykom zachwytu żony.

Kiedy Evelyn zapowiedziała, że zamierza się zdrzemnąć przed wieczorną galą, Pru zaprosiła teścia do ogrodu. Case zaszył się w swoim gabinecie. Pru wyjaśniała Hale'owi problemy związane z ekologicznymi uprawami, kiedy przerwał jej wywód, zadając to dość obcesowe pytanie.

Po tej krótkiej wymianie zdań między Pru a Hale'em na chwilę zapadła cisza. W milczeniu zbierali razem marchewkę i groszek, aż w końcu starszy pan odezwał się ponownie.

- Zdaje się, że Case'owi się udało.

Pru uśmiechnęła się lekko.

- Jest przecież twoim synem. Czyżbyś naprawdę sądził, że sobie nie poradzi?

- Co to, to nie. Nie straciłem go całkiem z oczu. Wiedziałem, że sporo podróżuje i że urządził się bez mojej pomocy. - Hale wbił wzrok w trzymany w rękę pęczek marchwi. - Ale faktycznie nie miałem pojęcia, jak wysoko zaszedł w Fundacji Arlingtona.

- J.P. polega na nim bez reszty. Można powiedzieć, że Case odgrywa kluczową rolę w firmie.

- A ja odnoszę wrażenie, że ty odgrywasz kluczową rolę w życiu Case'a. - Hale obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem. - Po tym, przez co przeszedł przed trzema laty ze swoją rodziną, z pewnością potrafi docenić niewzruszoną lojalność tych, którzy twierdzą, że go kochają.

Pru dumnie uniosła podbródek.

- Nie jestem głucha i ślepa, gdy w grę wchodzi lojalność, Hale. Gdybym miała jakikolwiek powód, by podać w wątpliwość działania mego męża, stanęłabym przed nim i zażądała wyjaśnień. Jak na razie nie miałam najmniejszego powodu wątpić w jego szczerość. Ufam mu bez zastrzeżeń. Nigdy nie uwierzę, że trzy lata temu nie zasługiwał na zaufanie.

Hale z zadumą odrywał strączki groszku od pnącza.

- Może był wówczas innym człowiekiem. Może się zmienił.

- Wszyscy się zmieniamy, ale nie wierzę, że Case przed trzema laty całkiem inaczej pojmował honor. Zbyt głęboko tkwi w nim jego prywatny kodeks honorowy. Miał wówczas trzydzieści trzy lata. Był dorosłym mężczyzną, w pełni odpowiedzialnym za swoje czyny. Jestem pewna, że cokolwiek się zdarzyło, postąpił zgodnie ze swoim sumieniem. Dałabym głowę, że gdyby miał dziś stanąć w obliczu takiej samej sytuacji jak wtedy, zachowałby się tak samo. Przyznaj to, Hale. Założę się, że twój syn wcześniej dojrzał, prawda? Od wielu lat nie był już dzieckiem.

- Nie myślisz o tym, co by się stało, gdybyś znalazła się na miejscu Laury Reynolds? Nie dręczy cię to?

Pru uśmiechnęła się.

- Zawsze wiedziałam, czego mogę się po nim spodziewać. Jest uczciwy do szpiku kości. Jeśli Laura Reynolds była naprawdę zszokowana czymś, co zrobił, albo sposobem, w jaki postąpił, to, moim zdaniem, mogła za to winić wyłącznie siebie. Ręczę, że nie zrobiłby jej krzywdy rozmyślnie.

Hale, wysłuchawszy tej żarliwej oracji, aż pokręcił głową w podziwiewie zaprawionym lekką dozą ironii.

- Mój syn jest prawdziwym szczęściarzem. Mam nadzieję, że zdaje sobie z tego sprawę.

Pru uśmiechnęła się szeroko.

- Nie ma obawy. Zamierzam mu często o tym przypominać.

Hale roześmiał się głośno, a jego donośny śmiech dobiegł do uszu Case'a, który stał przy otwartym oknie, obserwując żonę i ojca. Uświadomił sobie, że sam również lekko się uśmiecha. Ciekawe, co za żart tak rozbawił ojca. Już od dawna nie słyszał jego śmiechu.

Wiedział, że Pru znajdzie sposób, by pobudzić teścia do śmiechu.

Przesunął łakomym spojrzeniem po sylwetce żony. Miała na sobie dzinsy, a za górę posłużył jej luźny bawełniany top zakrywający biodra. Doszła już do etapu, w którym zapinanie górnego guzika dzinsów sprawiało jej kłopot. Ostatniej nocy w łóżku powiedział jej, że zaczyna odkrywać nowe krągłości na jej delikatnym ciele. Pru odparła na to, że ma bujną wyobraźnię, ale on wiedział swoje. Zachodzące w niej zmiany podniecały go i fascynowały. Budziły też w nim instynkt opiekuńczy.

Kochał się z nią powoli, niespiesznie, aż poczuł, że drży i tuli się do niego z całej siły. Wstrzymywał moment kulminacji, czekając niecierpliwie na wyznanie miłości, na które cieszył się od dnia ślubu. Ale Pru milczała.

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego żona nie mówi otwarcie tego, co mógł z taką łatwością Wyczytać w jej oczach. Wiedział, że go kocha. Przy kilku okazjach, kiedy spytał ją o to wprost, nie zaprzeczała. Choć była hojna i namiętna w łóżku, ani razu nie zapewniła go o swojej miłości w trakcie najintymniejszych chwil, które z sobą dzielili.

Przebiegające mu przez głowę myśli o ubiegłej nocy wywołały natychmiastową reakcję. Z cichym, zduszonym jękiem odszedł od okna. Miał przed sobą długi wieczór, zanim znów znajdzie się w łóżku z Pru.

J.P. Arlington z okazji pierwszej fety fundacji przeszedł samego siebie. Ubrał się na biało. Biały kapelusz, biała koszula, biały krawat, biała marynarka w westernowym stylu, szerokie białe spodnie i długie buty z białej skóry. Wyjątkowość stroju podkreślał starannie dobrany sztras i srebro. Lśniące akcenty obramowywały rondo kapelusza, wutowane ramiona marynarki i tworzyły lampasy na zewnętrznych szwach spodni. Spiczaste noski butów były również okute srebrem.

Razem wzięwszy, J.P. przedstawiał sobą niezły widok, pomyślała Pru z rozbawieniem. Na szczęście gościom przypadł do gustu zarówno ekstrawagancki gospodarz, jak i ekstrawaganckie potrawy, rodem z południowego zachodu, umieszczone tuż obok wytwornych tac z kanapkami na stołach pełniących rolę bufetu. J.P. ze swobodą poruszał się

wśród tłumu wytwornie odzianych gości, sam świetnie się bawiąc.

Hotelowa sala balowa, którą fundacja wynajęła na wieczór, tonęła w wyszukanych dekoracjach. Biało-złote ściany i sufit migotały w blasku świateł dwóch wspaniałych żyrandoli. Na parkiecie tłoczyły się pary zachwycone muzyką graną przez znakomitą orkiestrę, usytuowaną w jednym końcu olbrzymiej sali. W drugim ustawiono olbrzymi bufet, z którego szybko zniknęło chili i chleb kukurydziany z papryczkami jalapeno. Gościom komentującym niekonwencjonalne menu J.P. wyjaśniał, że od czasu do czasu lubi wracać do korzeni.

Pru zawsze zadziwiało, o ile łatwiej jest wyciągnąć duże sumy pieniędzy od ludzi, jeśli otoczy się ich atmosferą wyjątkowej gościnności. Podzieliła się tym spostrzeżeniem z mężem wcześniej tego wieczoru, kiedy szykowali się na bal.

- Nie podoba mi się, że trzeba zorganizować tak wystawną imprezę tylko po to, by nakłonić ludzi do wsparcia fundacji, która próbuje zaradzić problemom głodu - uważała.

- Kochanie, nie da się zaprzeczyć, że pieniądź robi pieniądź. Świat kręci się wokół pieniądź. To brutalne, ale prawdziwe - odparł Case.

Pru postanowiła włożyć luźną żółtozieloną suknię, która swobodnie opływała jej sylwetkę. Nie udało jej się wcisnąć w dopasowaną kreację, kupioną jakiś czas temu z myślą o balu. Podczas ubierania McCord rzucił jakiś niewinny żart na temat zmian w jej figurze, więc zrobiła minę przed lustrem.

Ku jej zaskoczeniu nagle spoważniał. Staął za nią i pomógł jej zapiąć cienki złoty łańcuszek na szyi.

- Czy ciąża będzie ci bardzo przeszkadzać?

- Trochę za późno się o to martwić - odparła lekko, sięgając po kolczyki.

Wyglądał tak, jakby chciał powiedzieć coś innego, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Pochylił się tylko i pocałował ją w szyję, odsłoniętą, bo upięła włosy do góry.

- Nie będziesz sama, kiedy nadejdzie twój czas. Przyrzekam, że będę przy tobie.

Na pewno myślał o tym, przez co przeszła jego szwagierka, uświadomiła sobie Pru.

- Nie składaj pochopnych obietnic. J.P. zawsze wysyła cię w jakieś egzotyczne zakątki. Do licha, w przyszłym tygodniu wybierasz się aż hen do Nebraski w związku z tym eksperymentem z kukurydzą.

- To dopiero będzie przeżycie. - Dotknął jej policzka i poszukał jej wzroku w lustrze. - Zamierzam ograniczyć podróżowanie, Pru. Równie dobrze mogą zająć się tym inni. Wolałbym raczej spędzać czas na doświadczalnych poletkach i w sali wykładowej. No i oczywiście z tobą i dzieckiem.

- Trzymam cię za słowo - powiedziała lekko Pru.

Wspomniawszy tę małą scenę w sypialni, oderwała wzrok od rzucającej się w oczy postaci J.P. i rozejrzała się po sali, wypatrując męża. Wreszcie go spostrzegła. Właśnie przedstawiał Devina Blancharda pewnej atrakcyjnej kobiecie o imieniu Julia, zatrudnionej w wydawnictwie fundacji. Spełniwszy ten towarzyski obowiązek, zostawił Devina z nową znajomą i dołączył do grupy mężczyzn

otaczających J.P. Arlingtona. Rozmyślała, jak atrakcyjnie prezentuje się mąż w wieczorowym stroju, kiedy tuż obok usłyszała znajomy głos.

- Tego rodzaju wydarzenie dla ciebie i Case'a oznacza raczej pracę niż rozrywkę, prawda? - spytała Evelyn McCord, która podeszła do niej w towarzystwie męża i stanęła tuż obok.

Pru roześmiała się.

- Obawiam się, że tak. Finansowe podstawy fundacji tworzy wprawdzie majątek J.P., ale niewiele byśmy działali bez dotacji z zewnątrz. Gdybyście wiedzieli, ile zgromadzimy dzisiaj wieczoru, byłibyście zaskoczeni. Wystarczy, że J.P. poczęstuje każdego martini z jalapeno i zaraz pieniądze zaczną napływać z prawa i z lewa. Już wcześniej widywałam go w akcji.

- A jaka jest rola Case'a w zbieraniu funduszy? - spytał Hale z ciekawością.

- Jak tylko J.P. się rozkręci, jest bardzo dobry w towarzyskich gadkach, ale całkowicie zdaje się na Case'a, jeśli chodzi o odpowiadanie na fachowe pytania, które zadaje wielu potencjalnych darczyńców.

- Tymczasem ty przez większość wieczoru jesteś pozostawiona sama sobie - zauważyła Evelyn półgłosem.

- Och, nie mam nic przeciwko temu. To przecież interesy, a poza tym mam co robić. To ja odpowiadam za to, żeby nie zabrakło jedzenia i nikt się nie upił ani nie stał zapomniany w kącie. Wiecie, chodzi o te wszystkie prace dodatkowe.

Wywód Pru przerwał głos Devina Blancharda, który właśnie podeszedł i dołączył do rozmawiającej trójki.

- Czy to oznacza, że wolno ci towarzyszyć jednemu z gości na parkiecie?

Pru odwróciła się i obdarzyła go czarującym uśmiechem. Devin nadszedł z drugiego końca sali. Ciekawe, gdzie się podziała Julia?

- Myślę, że nic się nie stanie, jeśli wymknę się na jeden krótki taniec.

- Wspaniale. - Ukłonił się starszym państwu. - Można?

- Oczywiście - odparła Evelyn. - Właściwie, jeśli zdołam namówić Hale'a, może spotkamy się na parkiecie. Nie tańczyliśmy całe wieki. Prawda, Hale?

- Wątpię, czy od ostatniego razu poczyniłem postępy - ostrzegł dobrotliwie jej mąż.

Obie pary podryfowały na zatłoczony parkiet i Pru, wkrótce po tym, jak Devin wziął ją w ramiona, straciła teściów z oczu. Zaskoczona siłą jego uścisku, odruchowo próbowała przywrócić dystans między nimi.

- Przepraszam - natychmiast wytłumaczył się Devin. - Nie miałem zamiaru cię zgnieść. Nie chciałem tylko, byś zderzyła się z tamtą parą za tobą. - Uśmiechnął się ujmująco.

- Nic się nie stało - zapewniła go. - Cieszę się, że mogłeś dzisiejszego wieczoru towarzyszyć Hale'owi i Evelyn.

- Zdaje się, że potrzebowali odrobiny moralnego wsparcia. Po trzech latach oddalenia nie za bardzo wiedzą, jak zachowywać się w stosunku do Case'a. Początkowo mieli im towarzyszyć Carrie i Kyle, ale skoro ich syn przyszedł na świat dwa tygodnie przed czasem, plany musiały ulec zmianie.

- Jak rozumiem, pod wieloma względami jesteś niemal członkiem rodziny.

- Niemal - cicho podkreślił Devin. - Nie całkiem. To wielka różnica, Pru, wierz mi.

Zastanowiła ją słabo wyczuwalna nuta goryczy w jego głosie.

- Przeszkadza ci to?

Napotkał jej pytający wzrok.

- Godzę się z tym. Bardzo dobrze mi płacą i między nami mówiąc, nie mogę narzekać.

- W takim razie, dlaczego przeszkadza ci, że nie jesteś McCordem? - spytała bez namysłu.

- Powiedzmy po prostu, że fakt, iż nie należy się do rodziny, nakłada na pracownika McCord Enterprises pewne poważne ograniczenia.

- Na przykład jakie?

- To z założenia rodzinna firma - wyjaśnił Devin. - Nieważne, że jestem naprawdę dobry i że można mi ufać. Mogę zająć tylko do określonego szczebla. Wszystkie kluczowe decyzje podejmuje jakiś McCord i McCordowie dzielą między siebie wszystkie naprawdę duże zyski.

- Może pewnego dnia to się zmieni.

- Nie ma szans. Tak długo nie, póki w pobliżu będzie choćby jeden McCord.

Pru przez chwilę rozważała jego słowa.

- Skoro tak cię to dręczy, może powinieneś zmienić firmę?

- Żartujesz? - Devin obdarzył ją szybkim, smutnym uśmiechem. - Niewiele korporacji mogłoby mi zaproponować wynagrodzenie porównywalne z tym, które otrzy-

muję obecnie, nie mówiąc o tym, że wypracowanie takiej pozycji, jaką mam teraz, zajęłoby mi całe lata. McCordowie słuchają tego, co mam do powiedzenia. I ufają mi. To jedna z najważniejszych rzeczy poza samą władzą. Pewnego dnia może poszukam zielenszych pastwisk, ale na to, żeby mnie zwabić gdzie indziej, oferta musiałaby być naprawdę dobra.

Może i czuł się dotknięty tym, że nie ma szans na prezesurę w firmie, ale nie zamierzał poświęcać swej intratnej posady w poszukiwaniu czegoś innego, uświadomiła sobie Pru. Devin Blanchard był wyjątkowo praktycznym człowiekiem.

- To oczywiście, że zarówno Hale, jak i Kyle niezwykle sobie cenią twoje umiejętności - zauważyła, chcąc dyplomatycznie zakończyć tę nieoczekiwaną rozmowę.

Devin zerknął na nią z udawanym rozbawieniem.

- Case kiedyś cenił je również. Nigdy byś się nie domyśliła, że swego czasu Case i ja byliśmy dla siebie niemal jak bracia.

- Czasy się zmieniają - powiedziała ostrożnie.

- Ludzie się zmieniają.

Pru przypomniała sobie rozmowę z teściem w ogrodzie.

- Czasami. Nie sądzę jednak, by Case tak bardzo się zmienił przez ostatnie trzy lata. W nim jest coś niesłychanie stałego. Gotowa jestem się założyć, że zawsze taki był.

- Ty naprawdę go kochasz, mam rację?

- To musi być żenująco oczywiście. Jesteś dziś drugą osobą, która mi to mówi.

Spojrzał na nią z troską w oczach.

- Rozpoznaję symptomy, bo widziałem je u Laury Reynolds.

- Wolałabym o niej nie rozmawiać, Devin.

- Jasne, rozumiem. - Taniec dobiegł końca. Devin spojrział nad ramieniem Pru. - Hale i Evelyn właśnie wychodzą na taras. Może dołączymy do nich? Twój mąż wciąż jest zajęty.

Rozejrzała się po sali. Wyglądało na to, że wszystko idzie jak należy. Nikt nie sprawiał wrażenia znudzonego czy skrepowanego, a jedzenie uzupełniano na bieżąco. Nie było powodu, dla którego nie mogłaby przez chwilę odetchnąć świeżym powietrzem.

- Dobry pomysł. Trudno rozmawiać przy tej muzyce, prawda?

- Z pewnością. - Devin poprowadził ją przez szeroko otwarte drzwi sali balowej na taras, z którego rozciągał się przepiękny widok.

- Nigdzie nie widzę McCordów - zauważyła.

- Wydawało mi się, że widziałem, jak idą w tę stronę. Może są przy fontannie. - Zaczął niespiesznie iść w kierunku sporej kamiennej fontanny, która górowała nad ogrodem przylegającym do hotelu. Pru zrównała się z nim.

Case wyczuł nagle dziwną zmianę w atmosferze. Nie potrafili określić, co to takiego, ale to wystarczyło, żeby odwrócił głowę i zaczął szukać wzrokiem Pru. Dostrzegł ją w momencie, gdy Blanchard wyprowadzał ją z sali na taras. Poczuli dotkliwe ściskanie w żołądku.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział do naukowca

w średnim wieku, z którym właśnie rozmawiał o erozji gleby. - Mam wrażenie, że powinienem sprawdzić, co słychać u mojej żony.

Mężczyzna ze zrozumieniem skinął głową.

- Odnajdę pana później. Chciałbym popytać o tę podróż do Afryki. Jestem ciekaw pańskich wrażeń.

- Później - obiecał Case. Po chwili dużymi krokami szedł przez zatłoczoną salę.

W pobliżu otwartych dwuskrzydłowych drzwi na taras natknął się na rodziców. Hale i Evelyn gawędzili z J.P. i najwyraźniej doskonale się bawili.

- Tu jesteś - powiedział tubalnym głosem J.P. - Właśnie zdradzałem twemu ojcu sekret sporządzania doskonałego martini z jalapeno.

- Nie wierz mu - wtrącił Hale z leniwym uśmiechem. - Nakłaniał mnie do finansowego wsparcia fundacji. Znam się na takich sztuczках.

Arlington zaśmiał się, nie próbując nawet zaprzeczać.

- Twój ojciec jest twardszy niż skała.

- Po prostu trzeba go przekonać. - Case nie odrywał wzroku od Hale'a. - Mój ojciec lubi niepodważalne dowody. Niełatwo wyrzucić na niego wpływ, odwołując się do uczuć.

Evelyn wreszcie zorientowała się, że ten komentarz odnosi się do czegoś więcej i bynajmniej nie chodzi tu o wysiłki J.P., mające na celu wyciągnięcie pieniędzy od jej męża. Pospiesznie wtrąciła się do rozmowy, która toczyła się w niepożądanym, jej zdaniem, kierunku.

- Szukasz Pru?

Syn skinął głową.

- Widziałem, jak wychodziła na taras.

- Hale'owi i mnie też przydałoby się trochę świeżego powietrza - powiedziała szybko Evelyn. - Prawda, Hale? Może wyjdziemy z Case'em?

- Nie wiem, czy potrzebne mi świeże powietrze, ale tak czy inaczej spacer to niezły pomysł. Muszę oderwać się na chwilę od J.P., zanim znajdzie jakiś sposób, żeby zmusić mnie do rozstania z pieniędzmi.

J.P. uśmiechnął się szeroko.

- Zaczekam tu na was.

Case wzruszył ramionami, nie zatrzymując się dłużej. Tak naprawdę niewiele go obchodziło, czy rodzice będą mu towarzyszyć, czy nie. Chciał tylko odnaleźć Pru i wrócić z nią na salę.

- To doprawdy uroczą impreza - zauważyła Evelyn, która z trudem starała się dotrzymać kroku synowi. - Trzeba przyznać, że fundacja wykonuje pierwszorzędną pracę, jeśli chodzi o bawienie gości.

- To koszty wkalkulowane w interesy. Zwrócą się kilkakrotnie w postaci wpłat na konto fundacji. - Uświadomiwszy sobie, że nigdzie w ogrodzie nie widać Pru, jeszcze bardziej przyspieszył kroku. Ogarniało go osobliwe napięcie. Czuł się tak, jakby za chwilę miał stoczyć walkę. Mówienie sobie, że jest śmieszny, na nic się zdało. Widok Pru wychodzącej z Devinem Blanchardem rozbudził w nim jakiś prymitywny instynkt.

W tym momencie usłyszał głos żony i skierował się ku fontannie, usytuowanej za wysokim żywopłotem. Hale i Evelyn podążyli za nim.

Przy fontannie Pru zatrzymała się.

- Nie widzę ich, Devin. Musieli pójść w innym kierunku. Powinam wrócić na salę, zanim J.P. zacznie się zastanawiać, za co mi właściwie płaci.

Devin wzruszył ramionami.

- Mógłbym przysiąc, że widziałem, jak tędy idą. Cóż, nic takiego się nie stało. Dobrze wydostać się na chwilę z tłumu.

- Wybacz - zaczęła uprzejmie, ale przerwała, czując, jak dłoń Devina zaciska się na jej nadgarstku. Spojrzała na niego zdziwiona, a jej głos nabrał surowości. - O co chodzi, Devin?

- Przyprowadziłem cię tu, żeby porozmawiać.

- O czym?

- O twoim mężu.

- Nie zamierzam rozmawiać o nim z tobą. - Spróbowała uwolnić rękę i zirytowała się, kiedy zacieśnił uścisk. - Puść mnie, proszę.

- Za chwilę, przysięgam. Pru, to dla twego własnego dobra.

- Wątpię.

- Masz prawo wiedzieć, co naprawdę wydarzyło się przed trzema laty, a jest więcej niż pewne, że McCordowie nie zamierzają ci o tym powiedzieć.

- Jesteś w błędzie. Mój mąż już powiedział mi, co się stało. Nie potrzebuję wysłuchiwać innych wersji. Puść mnie, Devin. Stajesz się natarczywy.

- Wysłuchaj mnie, Pru. Byłem tam. Znam prawdę. Wiem, że Case nie powiedział ci, co naprawdę się stało. Gdyby to zrobił, nie byłabyś teraz z nim, wierz mi. Nie ufałabyś mu tak bezgranicznie.

Zdała sobie sprawę, że on chce wygłosić swoje oświadczenie za wszelką cenę. Ciekawe, co go do tego skłania.

- Dlaczego twierdzisz, że mój mąż mnie okłamał? - spytała ze złością. - Case nigdy mnie nie okłamał.

- Nie mówię, że cię okłamał, tylko że nie powiedział ci całej prawdy. Gdyby to zrobił, nie broniłabyś go z taką żarliwością. Właściwie gdyby ci powiedział, co takiego zrobił Laurze przed trzema laty, prawdopodobnie nigdy byś za niego nie wyszła!

- To największa bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałam. Mówię ci po raz ostatni, Devin, puść moją rękę.

- Naprawdę nie rozumiesz?! - wybuchnął Devin. - To nie tylko zerwane zaręczyny doprowadziły Laurę do takiego stanu, że zabiła się na autostradzie. Było jeszcze dziecko. Laura była w ciąży od dwóch miesięcy, a Case odmówił poślubienia jej. Pierworodny wnuczek Hale'a i Evelyn umarł wraz z kobietą, która była dla nich jak córka. Wszystko dlatego, że Case McCord nie ożenił się z kobietą, która za jego sprawą była w ciąży. Powiedział jej, żeby pozbyła się dziecka, jeśli zależy jej na kontynuowaniu zaręczyn. Laura omal nie oszalała.

W powietrzu rozległ się głośny jęk. Zaskoczona Pru odwróciła się raptownie, stając twarzą w twarz w Case'em i jego rodzicami. Hale miał wyniosłą, ponurą minę. Evelyn wpatrywała się w synową z takim bólem w oczach, że ta o mało nie wybuchnęła płaczem.

Case McCord po prostu patrzył na żonę, jakby był przygotowany na każdy werdykt z jej strony. Wszyscy milczeli.

Pru spoglądała na nieszczęśliwe miny teściów z bezbrzeżnym zdumieniem.

- I to ma być powód tych trzech lat uporu? Naprawdę wierzycie w to, że Case zrobił Laurze Reynolds dziecko, a potem zagroził zerwaniem zaręczyn, jeśli ona nie podda się aborcji?

- Och, Pru - powiedziała Evelyn żałośnie - nie było potrzeby, byś poznała całą prawdę. To już przeszłość. Miałam nadzieję, że tak pozostanie. To wszystko spowodowało tak wiele bólu i nie można absolutnie nic zrobić, żeby to zmienić. Wszyscy musimy to za sobą zostawić i zapomnieć. Trzy lata to dużo czasu. Wszyscy popełniają błędy... - zwróciła zbolale spojrzenie ku synowi - ale życie toczy się dalej.

- Na litość boską! - wybuchnęła Pru. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Musisz, Pru - powiedział wypranym z emocji głosem Devin. - My uwierzyliśmy.

- Nie mam pojęcia dlaczego! - wypaliła Pru.

Hale dał krok do przodu, zupełnie jakby chciał położyć pocieszającym gestem dłoni na jej ramieniu. Zatrzymał się jednak, zauważywszy jej gniewny wzrok.

- Powiedziałem ci dziś po południu, że ludzie się zmieniają - przypomniał.

- A ja ci powiedziałam, że twój syn nie zmienił się aż tak bardzo przez te lata. Może jest nieco starszy i pod pewnymi względami mądrzejszy, ale w głębi duszy jest tym samym mężczyzną co wtedy. Nie wierzę, że trzy lata temu zachowałby się inaczej niż teraz, gdyby stanął w obliczu podobnej sytuacji. Jeśli nie chciał się ożenić z Laurą, musiał mieć po temu jakiś bardzo ważny powód.

- On nie chciał tego dziecka - wyszeptała Evelyn. - Powiedział Laurze, że nie chce tego dziecka.

- Domyślam się, że to te słynne słowa wypowiedziane przez Laurę na łożu śmierci?

Teściowie wymienili spojrzenia.

- Cóż, tak - przyznała wreszcie Evelyn.

- A gdzie jest napisane - spytała Pru - że wzburzona kobieta będzie na łożu śmierci mówić prawdę?

- Nie rozumiesz. Ona była w ciąży. Lekarz to potwierdził. - Devin stanął za Pru i dotknął jej ramienia.

Uchyliła się przed dotykiem jego palców. Jej oczy powędrowały do męża, który stał w cieniu, nieruchomy i odległy.

- O co tu chodzi, Case? Nie chciało ci się zadać sobie trudu, by odeprzeć oskarżenia Laury?

Case wzruszył ramionami.

- Nikt nie kwestionował jej słów. Była doskonałą aktorką. Na łożu śmierci dała niezwykle wzruszające przedstawienie, uwierz mi.

Pru wyrzuciła ręce do góry.

- Nie mogę pojąć, dlaczego słyszę te bzdury. Trzy lata? Przez trzy długie lata rodzina była skłócona z powodu oskarżeń Laury Reynolds?

- To nie były fałszywe oskarżenia - powiedział Devin przez zaciśnięte zęby. - Laura była w ciąży, a on nie chciał się z nią ożenić. Wyrzucił ją ze swego życia, kiedy odmówiła poddania się zabiegowi. Jeśli mi nie wierzysz, spytaj Case'a.

- Nie muszę go pytać - odparła Pru głosem napiętym z wściekłości. - Jeśli Laura była w ciąży, a Case odmówił

poślubienia jej, jest tylko jedno wytłumaczenie na całej bożej ziemi, dlaczego zachował się tak a nie inaczej.

- Dlaczego? - Pytanie Evelyn McCord było ledwie słyszalne.

- Dziecko nie było jego i Case o tym wiedział!

W małej grupce skupionej wokół Pru zapadła wymowna cisza. Wszyscy patrzyli tylko na nią, próbując pojąć znaczenie jej słów.

- Co więcej - ciągnęła wojowniczo Pru - Case nie dopuści do tego, by ktokolwiek nim manipulował. Kobieta, która próbowała wmówić mu, że jest ojcem jej dziecka, i tym samym zmusić, by się z nią ożenił, szukała kłopotów i powinna była o tym wiedzieć. Co się dzieje z wami wszystkimi? - Odwróciła się w stronę Hale'a i Evelyn. - Case jest waszym synem. Powinniście znać go lepiej niż ktokolwiek inny. Powinniście sami dojść do wniosku, że poza wersją, którą przedstawiła Laura, musi być coś więcej.

- Czy to właśnie powiedział ci Case? - spytał wreszcie też napiętym głosem. Jego czujny wzrok pobiegł ku synowi.

- Nie, nie powiedział mi, że dziecko nie było jego. Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Nie ma innego wytłumaczenia.

- Skąd wiesz? - warknął Devin.

Pru oparła dłonie na biodrach.

- Ponieważ jestem największym autorytetem na świecie, jeśli chodzi o to, jak postąpiłby Case McCord, gdyby zrobił jakiejś kobiecie dziecko. Jak myślicie, dlaczego się ze mną ożenił? Mieszkaliśmy razem prawie trzy miesiące.

Na samym początku jasno dał mi do zrozumienia, że nie ma zamiaru się żenić. Kiedy przypadkowo zaszłam w ciążę i opuściłam go, pojechał za mną i zmusił mnie do ślubu. Nie było żadnych ale. Żadnych żądań aborcji. Żadnych oskarżeń o nieostrożność. Kiedy kości zostały rzucone, Case nalegał, aby spełnić swój obowiązek. Zrobiłby to samo przed trzema laty, gdyby tamto dziecko było jego. Laura najwyraźniej miała kochanka, a jak powiedziałyby moja ciotka Wilhelmina, Case widocznie nie zamierzał płacić rachunku za usługi jakiegoś ogiera.

Pru, nie czekając na reakcję na swoje oświadczenie, okręciła się na wysokich obcasach i szybko podeszła do męża. Położyła dłoń na jego ramieniu, uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Zabierz mnie z powrotem na salę. Wiesz, że to niebezpiecznie zostawiać J.P. samego w sali wypełnionej potencjalnymi darczyńcami na rzecz fundacji. Od tych wszystkich martini z jalapeno dostanie pomieszczenia zmysłów.

Case podał jej ramię i uścisnął.

- Tędy, kochanie.

Zostawili małą grupkę przy fontannie i w milczeniu udali się w kierunku rzęsiście oświetlonej sali balowej.

ROZDZIAŁ 10

Case zdawał sobie sprawę, że jak tylko wielki bal J.P. Arlingtona dobiegnie końca i wszyscy wrócą do domu, czeka go przesłuchanie. Spodziewał się tego od chwili, gdy Pru zrzuciła swą małą bombę. McCordowie nie mieli okazji dopaść syna wcześniej. Ponieważ nie przepadał za tym, żeby go przypierano do muru, dołożył starań, by Hale i Evelyn byli zajęci od chwili powrotu na salę balową. Devin Blanchard zniknął. W tej sytuacji Pru najwyraźniej uznała, że wszystko zostało załatwione.

Case mógłby jej powiedzieć, że sprawy nie potoczą się tak łatwo.

- Myślę - zaczął Hale, wchodząc wraz z żoną do salonu w domu syna - że należą nam się szczegółowe wyjaśnienia.

Case nie odezwał się. W milczeniu podszedł do tacy z drinkami, którą Martha troskliwie przygotowała wcześniej. To Pru zabrała głos. Odwróciła się błyskawicznie i stanęła twarzą w twarz z teściami.

- Na jaki temat?

- Na pewno zdajesz sobie sprawę, jaki to był dla nas szok, kochanie - wyjaśniła Evelyn. - Nie wiedzieliśmy nic o tym... o tym, że Laura miała kochanka.

- A, o to chodzi - mruknęła Pru, jakby naprawdę zdążyła już zapomnieć o całej sprawie. Zmarszczyła brwi i spojrzała na męża. - Chyba powiedziałaś wówczas wszystkim, że to dziecko nie jest twoje, czyż nie, Case?

- Zdaje się, że o tym wspomniałem. - Case nalał sobie brandy, zawahał się, wreszcie jednak doszedł do wniosku, że grubiaństwem byłoby nie zaproponować drinka rodzicom. Przechylił butelkę nad dwoma kolejnymi kieliszkami. - O ile pamiętam, nikt nie był specjalnie zainteresowany tym, co mam do powiedzenia.

Kiedy odwrócił się, żeby wręczyć kieliszki rodzicom, napotkał ich zdumione spojrzenia. Przyjęli drinki bez słowa. Hale wypił połowę zawartości swego kieliszka jednym haustem.

- Laura była umierająca - szepnęła matka załamującym się głosem. - Powiedziała, że nie chce żyć po tym, jak odtrąciłaś ją i dziecko.

- Wiem, co powiedziała. - Case przeszedł przez pokój i stanął obok żony, która patrzyła groźnie na całą trójkę. - Byłem przy jej łóżku, tak samo jak wy. Niczego nie da się porównać z mocą oświadczenia wygłoszonego na łożu śmierci, prawda?

- Wszyscy byliśmy zszokowani. - Wyczerpana Evelyn usiadła, a jej wzrok powędrował do ponurej twarzy męża. - Była nam tak droga. Kochaliśmy ją jak córkę. I byliśmy pewni, że wy dwoje jesteście w sobie zakochani.

- Laura kochała pomysł wżenienia się w klan McCordów - oświadczył syn głosem wypranym z emocji. - Nie była zakochana we mnie.

- Może brakowało jej poczucia bezpieczeństwa po

śmierci ojca - zasugerowała Evelyn. - Została zupełnie sama. Byliśmy jej jedyną rodziną.

- Uhm. - Case zrezygnował z dalszych uwag. W końcu mówili o wydarzeniach sprzed trzech lat. Nie widział powodu do odgrzebywania przykrych wspomnień.

- Ale skoro tak bardzo zależało jej na ślubie z tobą - podkreślił Hale z żelazną logiką - po co miałyby brać sobie innego kochanka?

- Nie wzięła sobie innego kochanka. Wzięła kochanka. Ja nim nie byłem. Nigdy.

Kiedy Pru uświadomiła sobie znaczenie tych słów, poderwała głowę do góry.

- Ani razu nie poszedłeś z nią do łóżka? - spytała z bezbrzeżnym zdumieniem.

- Ani razu. - Domyślał się, co się dzieje w jej głowie. Znała jego zmysłowe potrzeby. Z Pru chciał iść do łóżka od chwili, kiedy się poznali. Nie robił z tego sekretu. Zapewne trudno było jej wyobrazić sobie męża akceptującego cnotliwe, platoniczne zaręczyny. - Nie pozwoliła, żebym się do niej zbliżył, nawet po zaręczynach. - Uśmiechnął się krzywo. - Mówiłem ci, że była doskonałą aktorką. Chciała, żeby cała rodzina uwierzyła, jaki z niej anioł, któremu nawet nie przeszłoby przez myśl, żeby zbrukać sobie skrzydła, idąc do łóżka z mężczyzną bez obrączki na palcu.

Policzki Pru przybrały nagle ceglastą barwę, a jej oczy oderwały się od męża. Kiedy dotarło do niego, jak opacznie zinterpretowała jego słowa, natychmiast rozżłościł się na siebie. Ostatnią rzeczą, jaką chciał dać jej do zrozumienia, było to, że ceni rolę w rodzaju tej, którą odegrała

Laura. Zapragnął objąć żonę i trzymać w objęciach dopóty, dopóki nie przekona jej, że naprawdę nie chciałby mieć do czynienia z żadną kobietą o zimnym sercu, która posługiwała się swym ciałem jak narzędziem, odmawiając mężczyźnie, póki ten nie przystanie na jej warunki.

Ale szkoda już powstała. Zdawał sobie sprawę, że nie zdoła jej naprawić w obecności rodziców. Doprowadziły co najwyżej do tego, że Pru byłaby jeszcze bardziej zażenowana.

- Nigdy z nią nie spałeś. - Hale z wahaniem spoglądał na syna. - To dlatego jesteś taki pewny, że to dziecko nie było twoje. Co stało się tamtej nocy przed jej śmiercią, Case?

Zirytowało go to pytanie. Właśnie teraz chciał porozmawiać z Pru sam na sam, a tymczasem zmuszano go do odgrzebywania starej historii. Zaklął pod nosem i zwrócił się twarzą ku rodzicom.

- Po paru miesiącach odgrywania roli cnotliwej dziewczyny Laura ni stąd, ni zowąd zaczęła nalegać na pójście ze mną do łóżka. Na jej nieszczęście ja już wcześniej doszedłem do wniosku, że chciałbym wycofać się z tych zaręczyn. Źle wyliczyła czas, niestety. Kiedy nie udało jej się mnie uwieść, wpadła w panikę. Zadzwoniła do mnie tamtej nocy, cała we łzach, twierdząc, że musi się ze mną zobaczyć. Jak tylko wszedłem do jej mieszkania, rzuciła mi się w ramiona i oświadczyła, że chce, byśmy pobrali się natychmiast. Do wyznaczonej daty ślubu brakowało jeszcze trzy miesiące. Naturalnie zaintrygowało mnie, skąd ten nagły pośpiech. Wydało mi się to również nieco podejrzane. Prawdę mówiąc, ta podejrzliwość rosła we mnie od jakiegoś czasu. Powiedziałem jej, że poważnie zastana-

wiam się nad zerwaniem zaręczyn. Że nie jestem pewny, czy pasujemy do siebie, i myślę, że najlepiej będzie, jeśli na jakiś czas wstrzymamy się z naszymi planami.

- To wtedy powiedziała ci, że nie może dłużej czekać? Że jest w ciąży? - weszła mu w słowo matka.

Case przytaknął.

- Postawiła mi ultimatum. Oświadczyła, że muszę się zgodzić na ślub najszybciej, jak to możliwe, bo w przeciwnym razie powie całej rodzinie, że to moje dziecko.

Kątem oka zarejestrował, że Pru przygryza dolną wargę. Teraz przynajmniej wie, skąd się wzięła jego niechęć do tego rodzaju zachowań.

- Powiedziałeś jej, że blefuje? - spytał raptownie Hale. McCord westchnął i wysączył brandy do reszty.

- Powiedziałem, że nie zamierzam płacić rachunku za usługi jakiegoś ogiera.

Pru wbiła wzrok w swoje złożone dłonie.

- Trochę się jeszcze kłóciliśmy, a w końcu wyszedłem. Następnym razem zobaczyłem ją w szpitalu.

- Gdzie zemściła się najlepiej, jak potrafiła - podsumował Hale. - Powiedziałeś, że to dziecko nie było twoje, a wtedy my wszyscy skoczyliśmy ci do gardła. Nigdy więcej nie poruszyłeś tego tematu.

Na długi czas w pokoju zapadła cisza, którą w końcu przerwał Case, czując się do podkreślenia tego, co oczywiste.

- Nic się przecież nie zmieniło. Sytuacja wygląda dokładnie tak samo jak przed trzema laty. Wciąż macie moje słowo przeciwko oświadczeniu Laury wygłoszonemu na łożu śmierci. Skąd ta dzisiejsza wielka scena?

Hale przeniósł wzrok na synową.

- Trzy lata temu zobaczyliśmy ciebie takiego, jakiego chciała cię nam przedstawić Laura - mężczyznę bez godności. Ona była naszą umierającą córką, a my byliśmy przybici. Ostatnio twoja żona uświadomiła nam, że powinniśmy znać cię na tyle dobrze, aby zdawać sobie sprawę, że nie należysz do mężczyzn, którzy uchyliliby się przed odpowiedzialnością. Od początku powinniśmy byli o tym wiedzieć. Teraz, zamiast widzieć cię oczami Laury, zobaczyliśmy cię takiego, jakiego widzi cię Pru. Takiego, jakiego zawsze cię widzieliśmy, aż do tamtej strasznej nocy.

- Myślę - dodała cicho Evelyn - że kiedy ochłonęliśmy z szoku, chcieliśmy ci uwierzyć, ale do tego czasu wydarzyło się wiele złego. Wszyscy byliśmy dumni i nieprzejednani. Żadne z nas nie chciało ustąpić ani na krok. To wręcz nieprawdopodobne, że pozwoliliśmy, aby minęły trzy długie lata, nawet nie próbując zasypać tej przepaści. Trzeba było Pru, żeby powrócił nam rozsądek.

- Wierzycie mi teraz, dlatego że Pru mi wierzy? - spytał McCord, wykrzywiając sardonicznie usta.

Na twarzy Evelyn odmalował się głęboki namysł, a jej ciepłe oczy spoczęły na synowej.

- Powiedzmy po prostu, że Pru pomogła nam spojrzeć na całą sytuację z innej perspektywy. Przypomniała nam, jaki jesteś naprawdę. Ujrzenie cię jej oczami pozwoliło nam rozpedzić mgłę wątpliwości i bólu, którą przywołała Laura. Biedna Laura. Gdybyśmy wiedzieli, jakie ta młoda kobieta miała problemy...

- Nie da się pomóc komuś, kto nie chce, by mu pomagano - odezwała się Pru, po raz pierwszy od kilku

minut. - Laura sama powzięła decyzję i nikogo nie można winić za to, co stało się przed trzema laty.

Evelyn uśmiechnęła się.

- Czy mój syn naprawdę ożenił się z tobą dlatego, że zaszłaś w ciążę?

Pru zabawnie zmarszczyła nos.

- Niestety, tak. Bardzo nalegał na to małżeństwo, jak tylko dowiedział się, że zostanie ojcem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko zostaniu babcią po raz drugi w tak krótkim czasie?

- Jestem tym wręcz zachwycona. - Twarz Evelyn promieniała niekłamana radością. Starsza pani przeszła przez pokój i objęła Pru. - Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem dziś szczęśliwa, moja droga. Bardzo ci dziękuję. Za wszystko.

Hale spojrzął na syna.

- Szczęściarz z ciebie, Case.

- Wiem. - Case mocno objął ramieniem talię żony. - Wybaczcie nam, ale pójdziemy już spać. Dochodzi druga w nocy, a Pru musi teraz dużo wypoczywać. - Jak tylko wszyscy pożyczili sobie dobrej nocy, pociągnął ją do holu.

Szła obok niego bez słowa. Wyczuwał jej napięcie, które udzieliło się również jemu. Kiedy drzwi sypialni zamknęły się za nimi, odwrócił ją twarzą do siebie.

- Nie chciałem niedotykałskiego anioła, kobiety, która twierdziła, że mnie kocha, a jednak odpieranie moich awansów nie sprawiało jej najmniejszych trudności. Nie chciałem kobiety, która nie pozwalała mi się do siebie zbliżyć po to, żeby łatwiej jej było mną manipulować.

Pragnąłem ciepłej, wspaniałomyślnej, uczciwej kobiety, która pragnęłaby mnie tak samo jak ja jej i wierzyłaby we mnie bez granic. Kobiety, która byłaby zawsze lojalna wobec mnie i której ja mógłbym zaufać. Pragnąłem ciebie, Pru. Takiej, jaka jesteś.

- Ale nie chciałeś być zmuszany do tego ślubu.

Zacisnął dłonie na jej ramionach.

- Wcześniej czy później i tak byśmy się pobrali, złotko, uwierz mi. To było nieuniknione. Budził się we mnie coraz silniejszy instynkt posiadacza, jeśli idzie o ciebie. Ale kiedy postawiłaś mi ultimatum...

- Myślałeś tylko o tamtej chwili sprzed lat, gdy raz już postawiono ci ultimatum - zakończyła ze smutkiem Pru. - Przypomniałam ci Laurę.

Poirytowany tym tokiem rozumowania potrząsnął nią delikatnie.

- Nie, pod żadnym względem nie przypominałaś mi Laury. Przyznaję jednak, nie lubię, jak mi się grozi. Dlatego pomyślałem, że powiem ci, iż blefujesz, i przy okazji dam ci nauczkę. Byłem pewny, że nie zdobędziesz się na to, by naprawdę mnie opuścić. Ale, jak powiedział mój brat, kobiety w ciąży robią czasem szalone rzeczy.

- Domyślam się, że ty i Kyle uważacie, iż teraz jesteście autorytetami w tej kwestii?

- Szybko się uczymy. - Case przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował w usta. Poczuł, jak zesztyniała i napięła się w jego uścisku. Rozmyślnie pogłębił pocałunek, smakując ciepłe wnętrza ust. Kiedy jęknęła i zaczęła się rozluźniać, odczuł napływ zadowolenia i ulgi.

- Jak to się stało, że odnalazłeś mnie i Devina przy

fontannie? - szepnęła tuż przy jego ustach, zarzuciwszy mu ręce na szyję.

- Widziałem, jak wychodziłaś z nim z sali balowej. - Delikatnie skubał jej ucho. - Poszedłem za tobą, żeby sprowadzić cię z powrotem. Moi rodzice akurat postanowili się przejść. Znaleźliśmy się wszyscy troje przy fontannie właśnie wtedy, kiedy wystąpiłaś w tak żarliwej obronie mego postępowania przed trzema laty. Skąd, u licha, wiedziałaś, że Laura sypiała z kimś innym?

- To było jedyne logiczne wytłumaczenie. Gdyby tamto dziecko było twoje, wypełniłbyś swój obowiązek.

- Dzięki. Tak sobie myślę - przesunął wargi na jej szyję i wciągał w nozdrza ciepły, słodki zapach skóry - wciąż jesteś przekonana, że to jedyny powód, dla którego się z tobą ożeniłem, prawda? Z poczucia obowiązku.

- Nie spieszyło ci się do ślubu, póki nie dowiedziałeś się o dziecku - podkreśliła cierpko.

Jej upór naprawdę zaczynał go denerwować. Case przesunął dłonie na jej plecy i rozsunał zamek sukni.

- Doskonale wiesz, że w grę wchodzi tu o wiele więcej niż poczucie obowiązku. Wiesz, jak bardzo cię pragnę, jak lubię trzymać cię w ramionach. A ty też wiesz, jak bardzo lubisz być ze mną w łóżku. Przyznaj to, złotko.

Gdy suknia opadła jej do stóp, zadrżała lekko. Case wyciągnął rękę i zgasił światło. Mimo ciemności widział oczy Pru lśniące łagodnym blaskiem jej miłości. Uśmiechnęła się drżącymi wargami.

- Lubię być z tobą w łóżku - szepnęła posłusznie, z nutką rozbawienia w głosie. - Ale przecież wiedziałeś o tym już wcześniej.

Rozpiął maleńki koronkowy staniczek i patrzył, jak szmatka spływa na podłogę.

- To prawda, ale lubię tego słuchać.

- Jesteś zachłannym mężczyzną.

- Bardzo. - Dotknął jej piersi i drażnił wnętrzem dłoni brodawki, aż poróżnowiały, wyprostowały się i zrobiły podniecająco twarde. - Pochylił głowę i ucałował różane czubeczki. - Nigdy się tobą nie nasycę. Jeśli naprawdę myślisz, że mógłbym pozwolić odejść ci na dobre, jesteś niespełna rozumu. Albo to, albo wciąż nie zdajesz sobie sprawy, jaką masz nade mną władzę.

Przegarnęła palcami jego włosy, wzdychając cicho, podczas gdy zsuwał z niej rajstopy.

- Czy mam nad tobą władzę, McCord?

- Ogromną. - Wyprostował się i uśmiechnął do niej. - Chodź tu, a zademonstruję ci to.

Pru dała krok do przodu, sięgnęła do guzików koszuli męża i wygięła wargi w uwodzicielskim zaproszeniu.

- Nie - powiedziała. - Ja ci to zademonstruję.

Kiedy przejęła inicjatywę, błysnął zębami w uśmiechu, zachwycony i wyczekujący. Dopiero ostatnio stała się na tyle pewna swej zmysłowości, żeby się na to odważyć, i wciąż nie zdarzało się to często. Czerpał wielką przyjemność z okazjonalnej zamiany ról. Uwielbiał, kiedy żona przeobrażała się w seksowną, pewną siebie, wymagającą kobietę.

Rozebrawszy go, przejechała kusząco palcami po jego nagim torsie. Wyczuwał lekkie drzenie jej ciała. Świadomość, że ona jest równie podniecona jak on, omal nie skłoniła go do przejęcia prowadzenia. Ale zapanował nad

sobą, postanowiwszy smakować niezwykle doznania, których dostarczała mu obecna sytuacja.

W ciszy rozległ się słaby metaliczny klik zapięcia jego paska do spodni, a później jeszcze cichszy zgrzyt suwaka. Pru wsunęła dłoń w rozchylone spodnie i odszukała jego męskość.

- Ach, McCord - powiedziała z satysfakcją - jesteś imponującą bestią.

- Chciałaś powiedzieć, że jestem w stanie zaawansowanej rui.

- Mężczyźni są tak dosłowni.

- Natura nie stworzyła nas subtelnymi. - Kiedy chciała cofnąć rękę, przytrzymał jej palce i przycisnął dłoń, rozkoszując się tym intymnym dotykiem.

- Masz słusność - przytaknęła Pru. - Nie ma w tobie ani śladu subtelności, prawda?

- Jak przypuszczam, ty jesteś o wiele dyskretniejsza?

- Oczywiście.

Zaśmiał się cicho i wsunął palce w gęstwę kręconych włosów między jej udami. Odnalazł źródło rozkoszy, a Pru jęknęła i przyłgnęła do niego, wtulając twarz w jego ramię.

- Powiedz mi jeszcze o kobiecej subtelności. Nie potrafiłabyś ukryć swojej reakcji, nawet gdybyś próbowała, prawda, kochanie? - Pogładził ją delikatnie.

- Pewnie nie - przyznała. - Wydaje się, że jeśli o mnie chodzi, twój dotyk ma magiczną moc.

- Cieszę się.

Uśmiechnęła się, ujęła go za rękę i poprowadziła po dywanie przez pokój. Kiedy znaleźli się przy łóżku, odrzu-

ciła przykrycie, wśliznęła się w pościel i wyciągnęła do niego rękę.

McCord jęknął i wziął ją w ramiona, ogarnięty falą pożądania, która omal go nie zatopiła. Pru przywarła do niego i otworzyła się na jego spotkanie, doprowadzając go do stanu bliskiego eksplozji.

- Jesteś taka gorąca, słodka i seksowna - wymruczał przy jej piersi, kiedy już się z nią połączył i poczuł, jak jej nogi oplatają mu biodra. - Taka doskonała. I cała moja. Jak ja mogłem żyć bez ciebie?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Obydwoje dali się porwać namiętności, a ich świat skurczył się do rozmiarów łóżka.

Dużo, dużo później, kiedy obydwójce leżeli wyczerpani i spoceni, przykryci tylko prześcieradłem, Pru powróciła do tematu Laury Reynolds.

- Dlaczego nie broniłeś się bardziej, McCord? Twoi rodzice powiedzieli, że tylko raz oświadczyłeś, że Laura skłamała i dziecko nie jest twoje. Na pewno zdawałeś sobie sprawę, że są w szoku. Dlaczego nie krzyczałeś dotąd, aż ktoś cię wysłucha? Zwykle nie miewasz takich kłopotów z przeforsowaniem swego zdania.

Wiedział, co chciała przez to powiedzieć. Trzy lata temu mógł zrobić większą scenę. Mógł wykrzykiwać prawdę dotąd, aż ktoś wreszcie zwróciłby na to uwagę.

- Musisz mnie zrozumieć, Pru. Laura naprawdę była w ciąży.

- I co z tego? - Oparła się na łokciu i popatrzyła na niego, marszcząc czoło w namyśle. - Tyle już wiemy.

Wyglądała świetnie, kiedy tak przesywała go wzrokiem.

- Wiedziałem, że nie jestem ojcem.

Pru skinęła niecierpliwie głową.

- I co z tego? - nie dawała za wygraną.

- W tej sytuacji kwestia, kto nim był, pozostaje otwarta.

Kiedy dotarło do niej, co kryje się za tym stwierdzeniem, otworzyła oczy szerzej.

- O, Boże. Czy Laura powiedziała ci, kto jest ojcem jej dziecka?

McCord zawahał się, ale po chwili wzruszył ramionami.

- W gorączce gniewu tamtej nocy podała mi pewne imię.

- Czyje?

- Mego brata.

Pru aż się zatchnęła.

- Kyle'a? Powiedziała ci, że sypiała z Kyle'em?

Potwierdził skinieniem głowy.

- Nie miałem powodu jej nie wierzyć. Ona i Kyle zawsze byli sobie bliscy i wiedziałem, że Kyle uważa ją za atrakcyjną. Ale wszyscy od zawsze byli przeświadczeni, że Laura wyjdzie za mnie. Moim zdaniem, tak naprawdę nie interesowała się Kyle'em, ponieważ założyła, że to ja po ojcu przejmę ster McCord Enterprises. Krótko przed śmiercią Laury Kyle zaczął spotykać się z Carrie. Wiedziałem, że mój brat zakochał się na zabój i zamierza się zenić.

- A więc raz symbolicznie zaprotestowałeś, a potem postanowiłeś milczeć, czy tak? Nie chciałeś zniszczyć jego związku z Carrie.

- Doszedłem do wniosku, że kiedy minie szok po śmierci Laury, wszystko jakoś się ułoży.

- Ale nie ułożyło się. Ty i twój ojciec pokłóciliście się.

Wydziedziczył cię. Ciężki przypadek uporu McCordów po obu stronach i oto skutek! Kompletna katastrofa.

Case spojrział na nią uważnie.

- Gdyby rodzice mnie nie odtrącili, nie spotkałbym ciebie. Ja, w każdym razie, nie oceniam tego, co się stało, w kategoriach klęski.

- Och! - Zamrugła, zaskoczona. Po chwili uśmiechnęła się. - Dziękuję ci.

- Proszę bardzo. - Niecierpliwie czekał na wyznanie miłości. Był dziwnie rozdrażniony, kiedy przerzuciła się na inny temat.

- Myślisz, że ojcem dziecka Laury był Kyle? Jakoś dziwnie mi to nie pasuje. Lubię Kyle'a. Nie wyobrażam sobie, że mógłby to ukrywać przez całe trzy lata, kiedy rodzice zwrócili się przeciwko tobie.

- Nie mam pewności, kto nim był. Laura twierdziła, że to Kyle, bo wymyśliła sobie, że poczuje się zobowiązany do poślubienia jej, żeby chronić reputację rodziny. Wiedziała też, że zrobiłbym dla swego brata bardzo dużo.

- Naprawdę wykorzystała wszystkie możliwości, kiedy tamtej nocy próbowała tobą manipulować, prawda? Nic dziwnego, że tak na mnie naskoczyłeś tego dnia, kiedy próbowałam ci postawić moje skromne, malutkie ultimatum.

- Nie powiedziałbym, że takie skromne. To była poważna groźba. Powinienem był wiedzieć, że pod tą łagodną powierzchownością kryją się nerwy ze stali.

- Zostałam wychowana w Teksasie - oświadczyła z dumą Pru.

- Ho, ho. Przez ciotkę, która, jak rozumiem, nie toleruje najmniejszej słabości.

- Ciotka Wilhelmina jest dobrą kobietą, ale ma silną osobowość i swoje zdanie na każdy temat.

- Mam szczęście, że mnie zaakceptowała. Ciekawe, czy nie zmieni zdania, kiedy się dowie, że zaszłaś w ciążę przed ślubem? - McCord uśmiechnął się leniwie, ciesząc się rumieńcem na policzkach Pru. W mroku nie mógł wprawdzie widzieć zmiany koloru, ale opuszkami palców nieomylnie wyczuwał ciepło.

- Dajmy spokój ciotce. Co z Kyle'em?

- Jak to co?

- Cóż, skoro doszliśmy do wniosku, że to nie on był ojcem dziecka Laury, problem pozostaje otwarty.

McCord przypomniał sobie wściekłość w twarzy Devina Blancharda, kiedy ten próbował przekonać Pru, że jej mąż uciekł przed odpowiedzialnością wobec Laury Reynolds.

- Nie, nie mamy problemu.

- Ależ...

- Wszystko zdarzyło się przed trzema laty, a tamta kobieta nie żyje, Pru. Zgadzam się z tobą. Nie sędzę, że Kyle był ojcem tego dziecka. Powiedziałem, że nie mam powodu wątpić w słowa Laury tamtej nocy, ale to nieprawda. Powinienem był w nie wątpić dla zasady. Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, kim był jej kochanek, i może tak jest najlepiej.

- Nie byłabym tego taka pewna, Case...

Wsparł się na łokciu i pchnął żonę z powrotem na poduszkę.

- Ja jestem pewien - powiedział stanowczo. - A teraz skończymy ten temat.

- Naprawdę? - Nie wyglądała na przekonaną.

Case uśmiechnął się lekko.

- Tak - powtórzył. - Skończymy. - Lekko ucałował jej wargi, uśmierzając bunt. - Spij już. Jesteś w ciąży i powinnaś o siebie dbać.

- Hm. - Ziewnięcie zepsuło cały efekt protestu.

Case z powrotem się położył i przytulił ją do siebie.

- Jeszcze jedna sprawa, Pru.

- Co takiego? - Teraz z pewnością była senna.

- Żadnych przechadzek po ogrodzie z Devinem Blanchardem. Chyba że będę ci towarzyszył.

Poruszyła się lekko, pocierając podszwą stopy o jego łydkę.

- Byłeś zazdrosny?

- Nie ciesz się tak. Tak, byłem zazdrosny.

- To dobrze. - Prawie mrucała.

- To dlatego wyszłaś z nim do ogrodu? - spytał z ciekawością Case. - Chciałaś wzbudzić we mnie zazdrość?

Natychmiast okazała skruchę, tak jak przypuszczał.

- Nie, naturalnie, że nie. Wyszliśmy szukać Hale'a i Evelyn. Devinowi zdawało się, że zobaczył ich, jak wychodzą na taras. Pomyśleliśmy, że przejdziemy się z nimi, poplotkujemy i przy okazji odetchniemy świeżym powietrzem.

- Trzymaj się od niego z daleka, Pru - polecił stanowczo Case.

Znów ziewnęła i przytuliła się do niego mocniej.

- Naprawdę jesteś zazdrosny.

- Jestem po prostu ostrożny.

- Ha.

- Przestań mnie prowokować. - Zacieśnił uścisk. -
Śpij już.

- Dobrze. McCord?

- Co znowu?

- Trzy lata temu nie miałeś wątpliwości, że dziecko
Laury nie jest twoje. Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się,
co z dzieckiem, które noszę?

- Ani przez sekundę. - Te słowa, zdecydowane i na-
tychmiastowe, nie zostawiały odrobiny miejsca na wątpli-
wości. - Ty i dziecko należycie do mnie.

- Tak, wiem, ale czy kiedykolwiek się nad tym zasta-
nawiałeś? - nalegała.

- Jesteś dziś w prowokującym nastroju, prawda? -
Uśmiechnął się w ciemności, świadomy pewności, którą
odczuwał zawsze, gdy w grę wchodziła wierność Pru. -
Nie byłabyś w stanie mnie zdradzić i oboje o tym wiemy.
To do ciebie nie pasuje.

- Powiedziałam Annie, że ufam ci całkowicie - szep-
nęła. - Cieszę się, że obydwójce mamy do siebie tak wiele
zaufania.

- Znamy się na tyle dobrze, by być pewnym siebie
nawzajem, tak myślę - stwierdził McCord. Dopiero po
wypowiedzeniu tych słów uświadomił sobie, co tak napra-
wdę oznaczają. Nigdy dotychczas nie zaufał żadnej kobie-
cie tak, jak zaufał Pru.

W ciągu paru minut zasnęła w jego objęciach. Tulił ją
opiekuńczo, z zamyśleniem wpatrując się w sufit. Posta-
nowił, że po powrocie z Nebraski odbędzie długą rozmowę
z Devinem Blanchardem.

Podjąwszy to postanowienie, gapił się jeszcze przez chwi-

łę w sufit i dumał, kiedy żona sama z siebie przyzna, że go kocha. Kochała go, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie wyszła za niego tylko z powodu dziecka.

Wiedział o tym i ona też. Musiał tylko znaleźć jakiś sposób, by zmusić ją do kapitulacji. Ostatnio coraz bardziej pragnął usłyszeć te słowa.

W niedzielę o szóstej wieczorem Pru miała dom tylko dla siebie. Hale i Evelyn wyruszyli w drogę powrotną do Los Angeles, a Case z ociąganiem udał się samochodem na lotnisko, skąd miał odlecieć do Nebraski. Dom wydawał się dziwnie pusty, jak zwykle bez niego. Pru spędziła długi letni wieczór w ogrodzie. Pamiętając o nakazie męża, poszła wcześniej spać.

Następnego dnia pojechała do biura, gdzie spędziła większość czasu, dając się ponieść powszechnemu nastrowi samozadowolenia. J.P., zachwycony sukcesem pierwszego wielkiego balu na rzecz fundacji, nie potrafił przestać o tym rozmawiać.

- Dzięki pieniądзом, które napłynęły w sobotni wieczór, będziemy mogli wprowadzić dodatkowe programy w kilku krajach Afryki - mówił każdemu, kto chciał słuchać. - Zintensyfikujemy naszą działalność. Dotrzemy do dwukrotnie większej liczby ludzi. Pru, chciałbym, żebyś wiedziała, że dziś rano miałem telefon od twego teścia. Cofam to, co o nim powiedziałem. Wcale nie jest twardszy niż skała. Właśnie wypisuje dla nas czek na okrągłą sumę. Oświadczył mi, że wszystko, w czym bierze udział jego syn, jest skazane na sukces. Jak utrzymuje, jego chłopak zawsze ląduje na czterech łapach.

- Cieszę się - odparła Pru, zadowolona z hojności teścia. Wiedziała, że ten czek jest dla Hale'a McCorda czymś o wiele więcej niż możliwością odpisu od podatku pieniędzy wydanych na cele dobroczynne. Oznacza odbudowaną wiarę w syna.

- Nie dałbym rady zrobić tego bez ciebie, Pru - powiedział wylewnie J.P. - To ty zebrałaś wszystko do kupy i sprawiłaś, że zadziało. - Mrugnął znacząco. - Nawiasem mówiąc, Case powiedział mi, że chce, by Bronson i Culpepper zaczęli więcej podróżować.

- Naprawdę?

- Taaak. Zakomunikował mi, że zamierza być prawdziwym ojcem i chce spędzać więcej czasu z rodziną. - J.P. uśmiechnął się szeroko. - Powiedziałem mu na to, że wieści o jego przyszłym ojcostwie przysły dość szybko, jeśli weźmie się pod uwagę, jak wy dwoje spieraliście się kilka tygodni temu.

Pru zakaszła dyskretnie.

- Tak, cóż, takie rzeczy się zdarzają, J.P.

- Fakt - zgodził się z komiczną miną. - I bardzo dobrze. Mógłby minąć rok czy dwa, zanim Case'owi przyszłyby do głowy myśli o małżeństwie, gdyby nie odrobina nacisku. Ten facet był szczęśliwy jak świnia w błotnej sadzawce w upalne lato, kiedy z tobą zamieszkał. Myślał, że ma wszystko, czego mu potrzeba. Zgaduję, że tak było. Trzeba było wstrząsu, by się zbudził i postąpił wobec ciebie, jak przystało na prawdziwego mężczyznę.

- To był wstrząs, faktycznie - zgodziła się sucho Pru.

W drodze z pracy do domu tego popołudnia postanowiła ulec pokusie kupna pizzy, która zżerała ją od wielu

godzin. Zatrzymała się przy pizzerii sprzedającej potrawy na wynos i zamówiła pizzę ze wszystkimi możliwymi dodatkami. Potem, wdychając smakowitą woń, która przesycała powietrze w samochodzie, pospieszyła do domu, by oddać się rozkoszy konsumpcji. Ta cała cięża od czasu do czasu miała swoje uroki. Pru od lat nie czuła potrzeby opychania się pizzą.

Podniecenie z powodu zakazanej pizzy znikło w chwili, gdy na podjeździe zobaczyła obcy samochód.

Ujrawszy czekającego na frontowych schodach Devina Blancharda, całkiem zapomniała o swoich planach kolecyjnych. Mgliście przypomniała sobie ciche ostrzeżenie Case'a tamtej nocy po balu. Już prawie spała, ale z całą pewnością usłyszała w jego głosie ostrzegawczą nutę.

„Trzymaj się z dala od Devina Blancharda”.

ROZDZIAŁ 11

Przyjechałem cię przeprosić. - Devin Blanchard zszedł po schodach i wziął pachnące pudełko z pizzą z rąk Pru.

Pru wciąż usiłowała pogodzić się z faktem, że on tak nieoczekiwanie się tu pojawił. Jego przeprosiny wstrząsnęły nią jeszcze bardziej.

- Za co?

Wykrzywił ze skrucą ładnie wykrojone usta.

- Za to, że tamtej nocy wtrąciłem się w sprawy rodzinne McCordów. Nie miałem do tego prawa i nie wątpię, że jakiś McCord wypomni mi to, jak tylko pojawię się w biurze.

- Nie byłeś w pracy od balu? - Wtem uświadomiła sobie, że to dopiero poniedziałek. Machinalnie wsunęła klucz do zamka frontowych drzwi.

- Zadzwoń mi dziś rano do mojej sekretarki i powiedz jej, że biorę wolny dzień. Chciałem przemyśleć parę spraw. I porozmawiać z tobą.

Pru zerknęła na niego, wchodząc do holu. Miała ochotę wyrwać mu pizzę z rąk i zatrzaskać drzwi przed nosem, ale nie potrafiła wymyślić żadnego cywilizowanego sposobu na to, aby nie wpuścić go do środka.

- O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

- Przede wszystkim, jak już mówiłem, chciałem cię przeprosić. - Drzwi za jego plecami zamknęły się. Teraz był z nią w domu sam na sam. Blanchard uśmiechnął się. - Zazwyczaj bywam znacznie bardziej dyskretny niż tamtej nocy, wierz mi.

- Wierzę ci.

- Gdzie mam to postawić? - Wskazał na pizzę.

- W kuchni. - Odwróciła się i pierwsza podażyła w głąb holu.

- Jak już mówiłem, zwykle jestem bardzo ostrożny, gdy w grę wchodzi sprawy rodzinne McCordów. Na swoje wytłumaczenie mam tylko to, że było mi ciebie żal.

- Żal? Mnie?

Postawił pudełko z pizzą na wyłożonym kafelkami bufecie i wzruszył ramionami.

- Należysz do kobiet, które wzbudzają w mężczyznach instynkt opiekuńczy, tak mi się wydaje. - Na chwilę zawiesił głos. - Laura była taka.

- Dziękuję - powiedziała cierpko Pru - ale zapewniam cię, że potrafisz sama się o siebie zatroszczyć.

- Laura też tak myślała.

- Wolałabym o niej nie rozmawiać. Posłuchaj, Devin, myślę, że to zaszło wystarczająco daleko. Naprawdę nie mamy sobie wiele do powiedzenia. Przyjmuję twoje przeprosiny, wolałabym jednak, żebyś już sobie poszedł.

Uniósł ręce do góry, zupełnie jakby chciał uśmierzyć jej gniew.

- Przepraszam - powtórzył z chłopięcym uśmiechem, potrząsając przy tym głową. - Zdaje się, że znów popełni-

łem gafę. Jest jeszcze coś, co chciałem ci powiedzieć, a potem sobie pójdę.

- Nie chcę tego słuchać, Devin.

- To nie ma nic wspólnego ze sprawami rodzinnymi McCordów, przysięgam. Chodzi o to, co powiedziałaś tamtego wieczoru na balu.

- Co takiego? - spytała podejrzliwie. Nie podobało jej się, że jest z nim sama w kuchni. Kiedy to sobie uświadomiła, niemal bez zastanowienia otworzyła tylne drzwi i wyszła do ogrodu nagrzanego ciepłem późnego popołudnia. Devin poszedł za nią.

- Powiedziałaś, że skoro tak mnie przygnębia praca dla McCordów, może powinienem odejść z firmy i poszukać innego zajęcia.

- Pamiętam. - Na zewnątrz Pru poczuła się nieco lepiej. Nie tak osaczona. Wciąż jednak odczuwała niejasny niepokój. Zaczęła powoli iść wzdłuż warzywnika. Devin wsunął ręce do kieszeni i zrównał się z nią.

- Powiedziałem ci wtedy, że nie chcę rezygnować z tak intratnej posady. Sporo zarabiam, mam dodatkowe dochody i...

- I jesteś blisko centrum władzy - dokończyła za niego. - Powiedziałeś, że to lubisz.

- Myślałem, że to druga w kolejności najlepsza rzecz po władzy.

- Ale to nie to samo, co mieć władzę.

- Nie to samo - zgodził się z nią. - Wcale nie. Jednak wczoraj po powrocie do hotelu sporo myślałem o tym, co powiedziałaś. To ma sens. Nie wiem, czemu sam na to nie wpadłem. W końcu doszedłem do wniosku, że masz rację.

Naprawdę nie powinienem pracować dla McCorda. Jakiegokolwiek McCorda. Zwłaszcza po tym, co wydarzyło się przed trzema laty.

- Dlaczego tak wzburzyło cię to, co się wówczas wydarzyło, Devin? - spytała cicho Pru. - To znaczy, wiem, że to była straszna tragedia, ale dlaczego potraktowałaś ją tak osobiście?

Zawahał się.

- Prawdopodobnie dlatego, że tak bardzo podziwiałem Case'a. Może umieściłem go na piedestale. Nie mogłem uwierzyć, że potraktował Laurę w taki sposób. Była taka piękna i kochająca.

- Nic Laurze nie zrobił - zauważyła sucho Pru. - Oszukiwała go, a jemu nie podobało się, że chce nim manipulować. Kiedy jej o tym powiedział, wpadła we wściekłość, wsiadła do samochodu i ruszyła w noc. To, co stało się później, było wyłącznie jej winą.

- Naprawdę w to wierzysz? - Spojrzał na nią ze współczuciem.

- Tak, naprawdę w to wierzę!

- Dobrze, już dobrze. Nie denerwuj się tak. To wszystko wydarzyło się dawno temu i może rzeczywiście nadszedł czas, żeby o tym zapomnieć. W każdym razie nie przyszedłem tu po to, by się kłócić, zapewniam cię. Chciałem tylko ci powiedzieć, że miałaś rację. Nie powinienem pracować w McCord Enterprises. Jutro rano wręcę im wymówienie. Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć, jaki masz na mnie wpływ. Zdaje się, że masz także spory wpływ na McCordów. Nie sądziłem, że rodzina kiedykolwiek przyjmie Case'a z powrotem.

W głowie Pru coś zaskoczyło.

- Chcesz powiedzieć, że miałeś nadzieję, iż nigdy się z nim nie pogodzą - stwierdziła ze spokojną pewnością siebie. - Chciałeś, żeby bez końca karali się wzajemnie, prawda?

- Zasługiwali na karę! - wybuchnął nagle Devin. Jego uprzejmość ulotniła się w ułamku sekundy. - Wszyscy ponoszą odpowiedzialność za to, co się stało. Nie było sposobu uderzenia ich po kieszeni, wiedziałem jednak, że rozłam w rodzinie dopieczę im wszystkim do żywego. To była niemała satysfakcja.

Pru zaczerpnęła powietrza i zatrzymała się tuż przy drzewie. Naturalnie Steve zostawił grabie oparte o jego pień. McCord byłby zły, jak zwykle. Stała wpatrzona w ocean, wiążąc ze sobą pozostałe fakty.

- To twoje dziecko miała urodzić Laura, prawda, Devin?

- Tak, moje - wyrzucił Blanchard przez zaciśnięte zęby. - Laura oddała się mnie. Mnie, nie Case'owi McCordowi. Nigdy nie pozwoliła mu się tknąć. Lubiła się z tego śmiać, wiesz. Obydwoje mieliśmy niezłą zabawę. McCord myślał, że ożeni się z aniołem bez skazy. Świadomość, że za każdym razem, kiedy idę z Laurą do łóżka, śpię z narzeczoną Case'a McCorda, sprawiała mi wielką przyjemność.

- Wykorzystałeś ją. Nie kochałeś jej. Dla ciebie była wyłącznie środkiem do tego, żeby odpłacić McCordom za wymaginowaną krzywdę.

- Nie marnuj swego współczucia na Laurę. Doskonale wiedziała, co robi. Podniecało ją, że śpi ze mną za plecami narzeczonego. Więcej, sprawiało jej to prawdziwą roz-

kosz. Laura nie lubiła się nudzić, a czekanie na to, aby wżenić się w klan McCordów, nudziło ją coraz bardziej i bardziej. Co więcej, zaczynała się obawiać, że będzie się nudzić również po ślubie. McCordowie są bogaci i mają władzę, ale prowadzą spokojne życie. Prawie nie udzielają się towarzysko. W końcu zaledwie jedno pokolenie dzieli ich od zbieraczy fasoli, jak zwykła mawiać Laura. Postanowiła więc zabawiać się na boku. Jeśli chcesz znać prawdę, myślę, że zamierzała spotykać się ze mną również po ślubie.

- Ale nigdy by za ciebie nie wyszła, mam rację? A ty właśnie tego chciałeś. Bo miała jej przypaść w udziale znaczna część McCord Enterprises. Poślubienie Laury dałoby ci w firmie pozycję, o jakiej zawsze marzyłeś.

Spojrzenie Devina stało się lodowate. Gdy tak stał, wpatrując się w profil Pru, podmuch wiatru znad oceanu lekko potargał mu włosy.

- Tak, chciałem się z nią ożenić. Przyjęli ją za córkę i wcześniej czy później miała odziedziczyć część akcji firmy, należąca do jej ojca. Jako mąż Laury zdobyłbym znaczne wpływy w McCord Enterprises. Ale Laura nie była tym zainteresowana. Nie chciała połowy ciastka, skoro wychodząc za kogoś z rodziny McCordów mogła mieć je całe. Mała suka. Wykorzystała mnie tak samo, jak ja próbowałem ją wykorzystać. Nie zamierzała rezygnować z szansy wejścia do rodziny McCordów. Wiedziała, czego chce. Co więcej, zawsze to dostawała.

- Aż do tamtej nocy, kiedy Case powiedział jej, że zrywa zaręczyny.

- Musiała wtedy całkiem stracić głowę z wściekło-

ści - powiedział cicho Devin. - Laura odznaczała się gwałtownym temperamentem, choć na ogół starannie to ukrywała. Takie zachowanie nie pasowało do wizerunku anioła, który zawsze prezentowała na użytek McCordów. Kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, początkowo zamierzała poddać się zabiegowi. Potem jednak doszła do wniosku, że może wykorzystać to dziecko, aby zmusić Case'a do małżeństwa. Myślę, że zdawała sobie sprawę, iż on wyslizguje się z jej zachłannych, drobnych paluszków. Wiele na to wskazywało. Wpadła w panikę. Próbowwała go zaciągnąć do łóżka, żeby móc potem twierdzić, że to jego dziecko, ale jak się domyślam, on już coś podejrzewał. A może po prostu poczuł się zmęczony tymi jej gierkami. Tak długo trzymała go w niepewności, że pewnie po prostu stracił zainteresowanie. Laura była przekonana, że może sterować wszystkimi McCordami jak lalkami na sznurku. Często żartowała z tego, jak łatwo ich skłonić, by robili, co chciała. Sprawy potoczyły się w złym kierunku, kiedy zaczęła naciskać na Case'a.

- A więc wpadła we wściekłość i przyjęła błędną, wręcz głupią taktykę. Wybuchnęła płaczem i rzuciła się Case'owi w ramiona, twierdząc, że Kyle ją uwiódł. Pomyślała, że poczuje się zobowiązany do naprawienia win brata. - Pru z niechęcią pokręciła głową.

- To był całkiem rozsądny plan. Wiedziała, że Case zrobiłby wiele dla Kyle'a. Zawsze świetnie manipulowała McCordami, założyła więc, że potrafi przewidzieć ich reakcje.

- Ale szczęście opuściło ją tamtej nocy, kiedy próbowała zmusić Case'a do przyjęcia odpowiedzialności za

dziecko innego mężczyzny. Wówczas dotarło do niej, że ma poważne kłopoty. Spaliła za sobą mosty.

- Zadzwoiła do mnie tamtej nocy ze swego mieszkania, tuż po wyjściu Case'a. Powiedziała, że musi się ze mną zobaczyć. Zażądała, żebym jej pomógł.

Pru zamknęła oczy.

- A potem wsiadła do samochodu i udała się do twego domu z szybkością prawie stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Co za przygnębiająca historia.

Na twarzy Devina odmalowała się złośliwa satysfakcja.

- W końcu udało jej się jednak zemścić na McCordach. Byłem w szpitalu tamtej nocy. Słyszałem, co mówiła, i widziałem twarze Evelyn i Hale'a, kiedy oświadczyła, że Case ją uwiódł i porzucił, zrozpaczoną i w ciąży.

- Tak, udało jej się zemścić, prawda? Jej zemsta przetrwała lata. - Pru poczuła przypływ litości dla wszystkich włączonych w tę sprawę.

- To za mało. Za mało.

Zesztywniała, wyczuwając w jego słowach zapiekłą gorycz. Wbiła palce w pień drzewa, odwróciła głowę i spojrzała na Devina.

- O czym ty mówisz? Ta sprawa jest już zamknięta. Zostaw to, Devin.

- Jeszcze nie. Nie, dopóki nie udowodnię Case'owi McCordowi, że nie jesteś lepsza od Laury. Myśli, że jest tak cholernie sprytny, bo wreszcie znalazł kobietę, która wierzy mu bezgranicznie i nie zadaje żadnych pytań. Kobietę, która obdarza go całą swoją głuchą i ślepą lojalnością. Myśli, że różnisz się od Laury jak dzień od nocy. Ale myli się.

- Wynoś się stąd, Devin. - Pru, ogarnięta przerażeniem, próbowała nadać swemu głosowi rozkazujące brzmienie.

- Case zawsze ląduje na czterech łapach. Kiedy stracił dziedzictwo, z łatwością przeszedł nad tym do porządku dziennego. Po prostu odszedł, nie oglądając się za siebie. Nie miało to dla niego najmniejszego znaczenia.

- Mylisz się, Devin. Zerwanie więzi rodzinnych miało dla niego znaczenie.

Blanchard lekceważąco machnął ręką.

- Prawdziwa klęska to utrata władzy i prestiżu, jakim się cieszył jako przyszły prezes McCord Enterprises. Sądząc ze sposobu, w jaki zareagował na wyrzucenie go przez ojca, można byłoby myśleć, że korporacja jest tak naprawdę niewiele warta. McCord znalazł sobie nową pracę, znalazł nową kobietę, a teraz nie chce nawet kawałka McCord Enterprises. Zawsze miał szczęście. Zawsze dostawał to, czego chciał. Udało mu się nawet uniknąć poślubienia Laury po tym, jak zrobiła z niego głupca za jego plecami. Ale ja dołożę starań, by przekonał się, że żeniąc się z tobą, nie miał tyle szczęścia, jak mu się wydaje. Dowie się, że jego szczęście nie jest doskonałe. Tamtej nocy przy fontannie dobrze się bawiłaś, wygłaszając to swoje oświadczenie, prawda? Cóż, zobaczymy, jak długo Case będzie wierzył, że dziecko, które nosisz, jest jego, skoro dowie się, że nie tylko on cię miał.

Wyciągnął rękę. Pru instynktownie odskoczyła do tyłu. Niestety, natrafiła na pień drzewa i nie zdążyła przesunąć się na bok na tyle szybko, by uniknąć rąk Devina. Zacisnęła palce na jej ramionach. Kiedy uniosła głowę i spojrzała na

jego twarz, ujrzała w niej nieprzejednany, głuchy gniew. Lata gniewu.

- Puść mnie, Devin - warknęła. - W ten sposób nie wyrzecz na nim zemsty, na której tak ci zależy.

- Mam ochotę spróbować. Musisz być cholernie dobra w łóżku, skoro Case ożenił się z tobą, choć trzy miesiące mieszkaliście razem bez ślubu. Laura byłaby wściekła, gdyby wiedziała, że wrobiłaś go w małżeństwo, posługując się dzieckiem. Była przekonana, że nikt nie dorówna jej w manipulowaniu innymi.

- Między sytuacją Laury i moją jest jedna istotna różnica. - Pru zaczerpnęła powietrza i spróbowała wyzwolić się z uścisku Devina. - Dziecko, które mam urodzić, jest Case'a i on o tym wie.

- Skąd ma tę pewność?

Pru robiła wrażenie zszokowanej.

- Ufa mi. Wie, że nigdy bym go nie oszukała.

- Po dzisiejszym dniu nie będzie tego taki pewny, prawda? Moja w tym głowa, żeby dowiedział się, że cię miałem, Pru. Przedstawię mu szczegółowe sprawozdanie, krok po kroku.

- Zabije cię.

- Nie zdoła mnie tknąć. Poza tym, według wszelkiego prawdopodobieństwa, obróci swój gniew przeciwko tobie. Uzna, że to ty go zdradziłaś. Tak samo jak Laura. Nigdy ci nie wybaczy, że zrobiłaś z niego głupca.

Usiłował ją przewrócić na ziemię pod drzewem. Pru otworzyła usta do krzyku, ale Devin natychmiast nakrył je ręką. Miotła się z furią w jego uścisku, wbijając mu paznokcie w skórę.

- Przestań, ty mała suko. To ci nic nie da. Zrobisz sobie tylko krzywdę.

Przygniótł ją sobą i ścisnął jej odporne ciało muskularnymi nogami. Jedną rękę wciąż trzymał na jej ustach, drugą przesunął na przód jej sukienki.

Pru wpadła w panikę. Coraz trudniej jej było myśleć logicznie. Wiedziała jedno, musi się uwolnić bez względu na wszystko. Jak przez mgłę przypomniła sobie o grabiach opartych o pień drzewa. Starła się je namacać, modląc się w duchu, żeby nie stały zbyt daleko i by zdołała ich dosięgnąć.

Palcami natrafiła na metalowe zęby, właśnie gdy Devin zaczął szarpać materiał jej sukienki. Tkanina okazała się mocniejsza, niż sądziła Pru. Jej napastnik musiał się nieźle napracować, chcąc ją rozerwać.

Zacisnęła dłoń na grabiach, starając się jak najlepiej je uchwycić. Udało jej się nakierować długą drewnianą rączkę prosto na plecy Devina. Nie wyrządziła mu tym krzywdy, ale przynajmniej go zaskoczyła.

- Co, u licha... ? Niech cię diabli!

Oderwał dłoń od jej ust i usiłował wyszarpnąć grabie z jej palców. Pru krzyknęła.

- Zamknij się!

Próbował ponownie nakryć jej usta, ale jak tylko rozluźnił uścisk na jej ręku, chwyciła metalowe zęby grabi. Tym razem, modliła się w duchu, postara się być skuteczniejsza.

Devin wrzasnął i odskoczył od swojej ofiary, jak tylko uświadomił sobie, co zamierza Pru. Stalowe zęby były zaledwie o centymetr od jego pleców, gdy stoczył się z niej i zerwał na równe nogi.

Pru podniosła się niezdarnie, nie wypuszczając grabi z rąk. Trzymając narzędzie przed sobą, pospiesznie wycofywała się tyłem w kierunku domu. Gdyby tylko udało jej się dostać do środka i zatrzaskać drzwi, poradziłaby sobie. Mogłaby zadzwonić na policję. Devin zbliżał się do niej z oczami płonącymi wściekłością. Czekał na okazję i Pru o tym wiedziała. Jeden fałszywy ruch i ta namiastka broni zostanie jej wyrwana z rąk.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - ostrzegła.

Była tuż przy kuchennych drzwiach, kiedy usłyszała, że gwałtownie się otwierają. Drgnęła i odwróciła się, gotowa powitać każdego, kto tak nieoczekiwanie przyszedł jej z pomocą. Spodziewała się, że to Steve albo Martha, więc jej zaskoczenie sięgnęło zenitu, kiedy w progu zobaczyła męża.

- McCord! - wyrzuciła z siebie z głęboką ulgą. Rzuciwszy grabie na ziemię, błyskawicznie skoczyła naprzód, chroniąc się w objęciach męża.

Złapał ją, ale nie zamknął jej w uścisku.

- Wejź do środka. - Wepchnął ją za sobą do kuchni, zanim doszła do siebie na tyle, by coś powiedzieć. A potem odwrócił się do Devina Blancharda.

- Case, nie - jęknęła błagalnie Pru, gdy zdała sobie sprawę z jego zamiarów. - Zadzwonię na policję.

- Dzwoni i wezwij ich - polecił spokojnie i ruszył do przodu. - Mam dość czasu, by zakończyć całą sprawę, zanim przyjadą.

Pru zacisnęła palce na gałce drzwi. Chciała zapobiec temu, co miało nastąpić, wiedziała jednak, że nic nie może zrobić. Mogła tylko mieć nadzieję, że Case'owi nic się nie stanie.

Powinna była to wiedzieć.

McCord zawsze wychodził cało z każdej opresji.

Sporo czasu minęło, zanim Pru zabrała się do swojej pizzy. Policjanci przyjechali i odjechali, zabierając ze sobą ponurego Devina Blancharda. Pru i Case złożyli zeznania i zapewnili policjantów, że wystąpią z oskarżeniem. Razem wziąwszy, upłynęły przynajmniej dwie godziny, zanim Pru wyciągnęła pizzę z lodówki, gdzie umieściła ją podczas rozmowy męża z policją. Nagle uświadomiła sobie, że umiera z głodu.

Włączyła piecyk i wsunęła pizzę do środka dokładnie w chwili, gdy mąż wkroczył do kuchni. Nie wyglądał na specjalnie zmęczonego po krótkiej, acz gwałtownej konfrontacji z Devinem Blanchardem. Nie dałoby się powiedzieć tego samego o Blanchardzie. Ale Pru nie przejmowała się zbyt jego stanem. Policjanci również nie wydawali się nadmiernie zaniepokojeni.

- Chcesz pizzy? - spytała pogodnie, wyczuwając, że zatrzymał się tuż za nią.

- Czego ja chcę - powiedział ponuro Case - to wyjaśnienia, dlaczego wpuściłaś Blancharda do domu. Mówiłem ci, żebyś trzymała się od niego z daleka, Pru.

- Czy to przesłuchanie?

- Tak.

Uśmiechnęła się, złożyła ręce na piersiach, oparła się plecami o bufet i stanęła twarzą w twarz z mężem.

- W takim razie możemy zacząć od pytania, co robisz w domu dzień wcześniej.

Popatrzył na nią groźnie, przegarniając dłonią włosy w nerwowym geście.

- Skończyłem pracę w Nebrasce wcześniej, niż zakładałem. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Pospieszyłem do ogniska domowego i co zastałem? Moją żonę walczącą z napastnikiem, którego nie powinna była pod żadnym pozorem wpuszczać do środka. Do diabła, Pru, czy ty masz pojęcie, co czułem, kiedy otworzyłem tylne drzwi i zobaczyłem, co się dzieje?

- Wiem - burknęła, ale na widok niepokoju w jego oczach głos jej złagodniał. - Przykro mi.

Nie był w zbyt pokojowym nastroju.

- Powinno ci być przykro. Jesteś pewna, że nic ci się nie stało?

- Jestem pewna. Czuję się dobrze. On nie miał szans mnie skrzywdzić, McCord.

Uśmiechnął się krzywo.

- Wyglądało na to, że nieźle dajesz sobie radę.

- Dziękuję ci - szepnęła. - Pochodzę ze Spot w Teksasie, nie zapominaj. W Spot można nauczyć się mnóstwa rzeczy.

- Po co on tu przyszedł, Pru?

Westchnęła.

- Powiedział, że po to, by przeprosić mnie za tę scenę przy fontannie podczas balu. Twierdził też, że dzięki mnie zdał sobie sprawę, iż nie powinien pracować w McCord Enterprises. Powiedział, że rozjaśniłam mu w głowie.

- A ty się na to nabrałaś?

- Cóż, przecież nie spodziewałam się, że będzie chciał mnie zgwałcić - wybuchnęła. - Myślałam, że chce tylko porozmawiać.

- Mówiłem, żebyś trzymała się od niego z daleka.
- Ale nie powiedziałaś mi dlaczego, McCord. Nie powiedziałaś mi, że to Blanchard był ojcem dziecka Laury.

Gwałtownie wciągnął powietrze.

- Przyznał się do tego?
- Tak. Przyznał się. - Pru zmarszczyła brwi. - Nie wiedziałeś o tym?

McCord przestał przemierzać nerwowo kuchnię i opadł na krzesło stojące przy stole.

- Tamtej nocy po balu zacząłem się zastanawiać, czy to nie on był przypadkiem kochankiem Laury. Za bardzo zależało mu na tym, by cię do mnie zrazić. Widziałem jego twarz tamtej nocy przy fontannie. Był zbyt... - McCord przez chwilę szukał odpowiednich słów - emocjonalnie zaangażowany. Myślę, że można to tak określić.

- Rzeczywiście, to prawda. Nienawidził ciebie i twojej rodziny.

McCord utkwiał w niej wzrok.

- Zamierzałem porozmawiać z nim zaraz po powrocie z tej podróży. - Pokręcił głową. - Do diabła, Pru. Pracował dla nas od lat. Ufaliśmy mu bez reszty.

- To mu nie wystarczało. Rola przyjaciela rodziny nie zaspokajała jego ambicji. Chciał stać się jej członkiem, a nie było sposobu, by do tego doprowadzić. Nienawidził wszystkiego, co mieliście, a zarazem nie potrafił się zmusić do rezygnacji z intratnej posady. Przez jakiś czas myślał, że poślubienie Laury rozwiązałyby jego problemy. Twój rodzice traktowali ją jak córkę, a poza tym miała odziedziczyć udziały w McCord Enterprises. Ale Laura nie chciała za niego wyjść. Bardzo zależało jej na

tym, żeby stać się pełnoprawnym członkiem rodziny McCordów.

- Nie kochała mnie - powiedział Case w zamyśleniu.
- Obawiam się, że miłość nie miała tu nic do rzeczy.
- Odgrywała przede mną i moją rodziną czarującą ma-
lutką niewinność, zabawiając się jednocześnie na boku
z Blanchardem. - Case skrzywił się. - Od początku czu-
łem, że ona mnie nie kocha. Myślałem jednak, że mamy ze
sobą wiele wspólnego, i uznałem, że nasze małżeństwo nie
jest złym pomysłem. Byłem do niej przywiązany tak samo
jak reszta rodziny. Dopiero po zaręczynach zacząłem się
poważnie zastanawiać, jak będzie wyglądać życie z nią,
i rozważyć, czy to rozsądne, byśmy brali ślub. Ona jednak
nie chciała słyszeć o moich wątpliwościach. Prawdopo-
dobnie dlatego, że sama nie miała żadnych. W końcu już
podjęła decyzję. Wiedziała, czego chce.

- Chciała zapewnić sobie miejsce w waszej rodzinie.
- Powinna być ostrożniejsza.
- Chodzi ci o to, że zaszła w ciążę? Domyślam się, że
to był przypadek. Coś, z czym zamierzała sobie poradzić,
póki nie uznała, że może to wykorzystać, by zmusić cię do
małżeństwa. Najwyraźniej zaczęła się obawiać, że cię tra-
ci. Na jej nieszczęście nie było łatwo cię zmusić. Niezbyt
lubisz, jak się tobą manipuluje.

Case zaklął pod nosem.

- Nie zaczynajmy rozmowy na ten temat.
- W porządku. - Pru z uśmiechem pochyliła się, otwo-
rzyła piekarnik i wyjęła z niego pizzę. Z satysfakcją
wciągnęła zapach w nozdrza. - Pachnie jak nowa.

Case popatrzył na pizzę z powątpiewaniem.

- Co jest w środku?
- Papryczki jalapeno, anchois, oliwki, cebula i ostry sos. Nazywam to specjalnością Fundacji J.P. Arlingtona. Masz ochotę? - spytała, stawiając pizzę na stole.

- Próbujesz mnie oderwać od tematu. Właściwie odnoszę wrażenie, że już to zrobiłaś. Zamierzałem wygłosić ci wykład o głupocie niepodporządkowywania się moim wyraźnym poleceniom.

- Jasne. Myślisz, że mam ochotę siedzieć tu, jeść tę fantastyczną pizzę i wysłuchiwać, jak na mnie wrzeszczysz, że nie powinnam była wpuszczać Devina Blancharda za próg? - Usiadła i zsunęła dwa spore kawałki pizzy na naszykowane wcześniej talerze. - Tak czy inaczej, nie powinieneś krzyczeć na kobietę w ciąży. A skoro mówimy o wrzeszczeniu...

- O co chodzi?

- Musisz mi obiecać, że przynajmniej przez miesiąc nie będziesz wrzeszczał na Steve'a, że zostawia w ogrodzie rozrzucone narzędzia.

- Nigdy nie wrzeszczę.

- Cóż, w takim razie nie chcę, żebyś robił mu wykłady na ten temat. A dokładniej mówiąc, chciałabym, żebyś nie zapomniał mu podziękować, że zostawił te grabie oparte o drzewo.

- Rozumiem, że jestem mu coś winien za ten przejaw niedbalstwa, czy tak?

- Tak. - Wręczyła mu talerz z pizzą.

Case wykrzywił się, ale przyjął go. Spojrzał badawczo na pizzę, a potem na twarz żony. W jej oczach pojawiły się wesołe iskierki. Nie odrywając od niego wzroku,

zacisnęła drobne zęby na sporym kawałku pizzy i zaczęła żuć.

- Nigdy jeszcze nie pocałowałaś mnie na powitanie, jak przystało żonie - poskarżył się nagle Case.

Pru przestała żuć.

- Czyżby? - spytała niewyraźnie, z pełnymi ustami. - Zdaje się, że pofrunęłam ku tobie jak na skrzydłach nie dalej jak dwie godziny temu.

- Rzucanie mi się w ramiona, kiedy uciekasz przed napastnikiem, nie liczy się.

- Och. - Przełknęła kawałek pizzy, wstała, obeszała stół i usiadła mężowi na kolanach. - Mam nadzieję, że lubisz papryczki jalapeno, anchois, oliwki i cebulę. - Pocałowała go z całych sił.

Objął ramieniem jej talię.

- Kocham jalapeno, anchois, oliwki i cebulę. I kocham ciebie.

Przez chwilę była bardzo cicho, oczy błyszczały jej jak gwiazdy.

- Naprawdę, McCord?

- Kochałem cię od samego początku - powiedział cicho. - Nie wiem, dlaczego tak cholernie dużo czasu czekałem z wypowiedzeniem tych słów.

- Miałeś poważny uraz po swoich doświadczeniach z Laurą - wyjaśniła wspaniałomyślnie Pru. - Nie zamierzałeś pozwolić, żeby jakakolwiek kobieta tobą manipulowała. Myślę, że podświadomie uznałeś miłość za rodzaj słabości, która sprawi, że będziesz podatny na manipulacje.

- Czy to prawda? - Spojrzał na nią z podziwem. - Wy-

myślałaś to całkiem sama, a może zapisałaś się na korespondencyjny kurs psychologii?

- Wymyślałam to całkiem sama.
- Musiałaś poświęcić bardzo dużo czasu na rozmyślenia o mnie.

- O, tak - zapewniła go. - Całe godziny.

- Dlaczego?

Uśmiechnęła się i przytuliła do niego.

- Bo cię kocham, oczywiście.

Odwzajemnił uścisk, z ustami w jej włosach.

- Zastanawiałem się, kiedy wreszcie to przyznasz.

- Przecież musiałeś o tym wiedzieć od samego początku.

- To prawda, wiedziałem, a przynajmniej miałem nadzieję, że tak jest. Ale zawsze miło to usłyszeć.

Potrząsnęła głową z udawanym smutkiem.

- Byłeś zawsze mnie taki pewny.

- Nie jesteś szczególnie biegła w ukrywaniu swoich uczuć, kochanie. Za każdym razem, kiedy na mnie patrzysz, dajesz mi do zrozumienia, że mnie kochasz. Nigdy w życiu nie doświadczyłem czegoś takiego. Kiedy jestem w podróży, daleko od ciebie, myślę tylko o powrocie do ciebie i o wzięciu cię w ramiona. W samolocie lecącym do domu, obojętnie skąd, zawsze siedzę i rozmyślam, że wkrótce będę mógł opowiedzieć ci o podróży, o tym, co widziałem i jakie plany działalności fundacji w danym regionie porobiłem. A potem wyobrażam sobie, że zrobimy sobie drinka, zjemy coś dobrego, a ja odprężę się i będę słuchał, jak opowiadasz mi, co się wydarzyło w domu podczas mojej nieobecności. Wreszcie pójdziemy razem

do łóżka, a później wtulisz się we mnie i zaśniesz. Bardzo proste, bardzo kojące. Powiniennem był się z tobą ożenić pierwszego dnia, zaraz po tym, jak cię poznałem.

- Tak - zgodziła się. - Powinieneś. Jest dokładnie tak, jak zawsze mówiła ciotka Wilhelmina: Częstość mężczyznę darmową whisky, a on w końcu przyzwyczai się do tego, że nie musi za nią płacić. Niełatwo odebrać zapłatę, kiedy już wypił.

- Czy do końca życia zamierzasz rzucać mi w twarz słowa twojej ciotki?

Pru potrząsnęła głową i uśmiechnęła się szeroko.

- Nie, ponieważ tak się składa, że cieszę się, iż sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej.

- Cieszysz się! - Rzucił jej zdumione spojrzenie.

- Tak. Dzięki temu mogłam doświadczyć podniecenia zakazanej przygody. Będę miała takie wspaniałe, pikantne historie do opowiadania wnukom.

- Mieszkanie z mężczyzną, z którym nie wzięło się ślubu, nie za bardzo podpada pod kategorię czegoś zakazanego - podkreślił McCord. - Powiedziałbym nawet, że dla dwojga ludzi, którzy działają na siebie tak jak my, jest to więcej niż normalne.

- Możesz tak mówić, bo jesteś z Kalifornii. Ci z nas, którzy dorastali w Spot w Teksasie, patrzą na te sprawy inaczej. Tak się składa, że trzy miesiące w roli kochanki mieszkającej z tobą pod jednym dachem było najbardziej fascynującą przygodą, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła.

- Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że teraz, kiedy dreszcz zakazanej przyjemności należy do przeszłości, nie będziesz się nudzić. - Oczy mu lśniły.

- Bycie twoją żoną, McCord, jest nawet lepsze od bycia twoją kochanką.

- Cieszę się, że tak to odczuwasz, bo nie ma powrotu do tamtych dni. - Determinacja w ciemnych oczach McCorda była wręcz fascynująca. - Teraz jesteś moją żoną. Nigdy nie pozwolę ci odejść.

Pru uśmiechnęła się, wkładając w ten uśmiech całą swoją miłość.

- Właśnie to chciałam usłyszeć. - Wstała z jego kolan, obeszła stół i usiadła na swoim miejscu. - Jedz pizzę, zanim wystygnie.

Uśmiechnął się szeroko.

- Nie dziwi cię, że oboje raczej nonszalancko wyznajemy sobie miłość?

- Myślę, że to dlatego, iż mieszkaliśmy razem na tyle długo, by wiedzieć, że mówimy to, co mamy na myśli - zauważyła Pru, zadowolona z siebie.

- Żadnego podniecenia?

Pokręciła głową.

- Żadnych lęków i niepewności - poprawiła go delikatnie.

- Masz słusność. - Uśmiechnął się. - Miło być pewnym siebie nawzajem. Poza tym to, co najbardziej podniecające, przychodzi później. W łóżku.

Dużo później tego wieczoru, kiedy Pru wyszła z łazienki w nocnej koszuli, McCord leżał nagi, oparty o poduszki, z rękami pod głową.

Ze swoją zwykłą, promienną, pewną siebie miną obserwował ją, jak pojawia się w drzwiach. Pru uśmiechnęła się. Dobrze, że pewne rzeczy nie zmieniają się nigdy. Nabrał

nawyku patrzenia na nią w ten sposób po ich pierwszej wspólnej nocy. Miała wrażenie, że zachowa ten wyraz oczu do nocy, kiedy to będą obchodzili piętnastą rocznicę ślubu. To była miła myśl.

Zatrzymała się przy nogach łóżka, wpatrzona w męża. Naciągnięte do pasa prześcieradło odsłaniało umięśniony tors i pozwalało domyślić się gotowości dolnych partii ciała

- O czym myślisz, Pru?

- Myślę o tym, jakiego seksownego faceta poślubiłam.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu całkowitego zadowolenia. Jego wzrok na moment powędrował do miejsca, gdzie prześcieradło ledwie skrywało jego podniecenie.

- Zawsze tak na mnie działasz.

- Cieszę się - powiedziała uszczęśliwiona. Podeszła do swojej strony łóżka i położyła się obok męża. - Tak powinno być, jeśli weźmie się pod uwagę to, jak ty działasz na mnie samym spojrzeniem czy dotykiem. Tak bardzo cię kocham, McCord.

Śmiech znikł z jego oczu wyparty przez dobrze znajome pożądanie. Wyciągnął ku niej ramiona, objął ją i splątał nogi z jej nogami. Złączyli się w zmysłowym uścisku.

- Moja słodka, moja piękna, Pru. - Ucałował jej szyję, przesuwając jednocześnie dłoń przez jej pierś na biodro.

- To ty sprawiasz, że czuję się piękna, McCord - szepnęła, muskając wargami jego tors. - Kiedy trzymasz mnie w ramionach, czuję się niezwykła, wspaniała i seksowna.

Roześmiał się ochryple.

- To dlatego, że właśnie taka jesteś. W moich ramionach stajesz się płynnym ogniem. Ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, jak działasz na mnie.

- Jak?

- Jakbym miał za chwilę eksplodować.

- Cieszę się. - Śmiało przejechała dłonią w dół do jego uda, a potem objęła go intymnie. Był ciężki i twardy, a jednocześnie delikatny niczym aksamit. Zapragnęła poczuć go w sobie. Kiedy jego palce zawędrowały w miękkość spojenia ud, przeszył ją zmysłowy dreszcz.

Case wymruczał coś przy jej piersi i dalej penetrował jej ciało przejmująco wolnym, drażniącym ruchem. Kiedy krzyknęła i przyłgnęła do niego, złapał powietrze i przyniół ją swoim ciałem. Jego ciężar był obezwładniający.

- Jak mogłaś choć przez jedną chwilę wierzyć, że nie wyruszę za tobą, jeśli mnie opuścisz? - Case uniósł głowę i spojrzał w oczy żony. Głos miał ochrypły z emocji. - Ścigałbym cię aż na koniec świata. Należysz do mnie, Pru. Przysięgnij, że nigdy mnie nie zostawisz.

- Nigdy - przyrzekła. Objęła go ramieniem za szyję i mocno przytuliła. - W sercu nie opuściłam cię nigdy.

Uśmiechnął się z ledwie skrywaną satysfakcją.

- Właśnie to powiedziałem sobie tamtego dnia, kiedy ujrzałem cię przy basenie w domu twojej siostry. Wystarczyło mi, że w twoich oczach dostrzegłem nadzieję i ulgę, i już wiedziałem, że wciąż jesteś moja, że zawsze będziesz moja. Pozostało tylko postarać się, byś ty też zdała sobie z tego sprawę. Uznałem, że nałożenie ci obrączki na palec jest równie dobrym sposobem jak każdy inny.

- Czy to oznacza, że teraz przypisujesz sobie zasługę, że to ty wmanewrowałaś mnie w małżeństwo, nie odwrotnie?

- Jak mawia J.P., skoro raz zwróciłem na ciebie uwagę,

nic nie mogło mnie powstrzymać przed ujrzeniem światła logiki i rozsądku. - Nakrył jej usta swoimi i zanurzył się w jej ciało, wypełniając ją bez reszty.

Pru zaczerpnęła tchu, objęła męża ramionami i oddała się rozkoszom życia małżeńskiego.

Kilka miesięcy później Pru, oparta o poduszki w szpitalnym pokoju, podawała maleńkiego Jamesa Hale'a McCorda jego ojcu. Case wziął śpiącego synka na ręce i ułożył go ostrożnie w łóżeczku stojącym nieopodal. Przez długą chwilę stał tak, ze wzrokiem wlepionym w swego pierworodnego, raz jeszcze przyglądając się badawczo idealnie miniaturowym paluszkom u rąk i nóg.

- Fajny gość, prawda? - powiedział nie po raz pierwszy. Mówił podobne słowa od chwili, kiedy trzymał żonę za rękę na izbie porodowej i razem z nią męczył się, gdy James Hale przychodził na świat.

- Będzie wyglądał zupełnie tak jak ty.

- Tak. - Case'owi najwyraźniej spodobał się ten pomysł. Jeszcze przez chwilę przyglądał się synowi, po czym podszedł do łóżka. - Kocham cię, pani McCord.

Pru uśmiechnęła się i dotknęła jego policzka.

- Ja też cię kocham.

- Będę się troszczył o ciebie i naszego syna.

- Nie wątpiłam w to ani przez chwilę - zapewniła go miękko.

McCord spletał palce z jej palcami i ucałował jej dłoń. W tym momencie otworzyły się drzwi tak gwałtownie, że Pru podskoczyła. McCord uniósł głowę, poirytowany, kiedy zobaczył, kto w nich stoi.

- Zawsze musisz mieć takie wejście, J.P.?

J.P., od stóp do głów jaśniejący cytrynową żółcią, wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Tylko wtedy, kiedy mam niespodziankę. Zobacz, kto ze mną przyszedł, Pru. - Odsunął się na bok i skłonił zamasyście. Po chwili do pokoju wpłynęła potężnie zbudowana kobieta po pięćdziesiątce. Wysoka, przystojna, z bystrymi niebieskimi oczami i surowym kokiem siwiejących kasztanowatych włosów. Przybyła tak samo rzucała się w oczy jak J.P.

Pru przez chwilę wpatrywała się w nią, oniemiała, po czym wybuchnęła śmiechem.

- Ciocia Wilhelmina! Co tu robisz?

- Cóż, przyjechałam zobaczyć dziecko, naturalnie. Ten czarujący dżentelmen z Teksasu był na tyle miły, że mnie zaprosił. I dzięki Bogu, że to uczynił. Zanim doczekałabym się zaproszenia od ciebie, świńskie bajora zamarzyłyby na kość. - Ładne oczy Wilhelminy były znacznie łagodniejsze niż jej oskarżenia.

- To nie fair, ciociu. Kiedy ostatnim razem do ciebie dzwoniłam, powiedziałam ci, że chcielibyśmy, byś przyjechała zobaczyć dziecko najszybciej, jak to możliwe.

J.P. zachichotał.

- Kiedy pracuje się dla J.P. Arlingtona, możliwe staje się natychmiast faktem. To niemożliwe zabiera trochę czasu. Jak ci się podoba moja mała niespodzianka, Pru?

- Faktycznie jestem zaskoczona - zgodziła się z szerokim uśmiechem. - Ciociu, przedstawiam ci mego męża.

- Witam, ciociu Wilhelmino - powiedział swobodnie Case. Oczy zalśniły mu wesoło.

Wilhelmina przyglądała mu się uważnie przez dłuższą chwilę.

- Wiedziałam - powiedziała wreszcie. - Gładszy niż nasmarowany tłuszczem wieprz na lodzie. Moje gratulacje, Pru. Udało ci się. Szczęściara z ciebie, dziewczyno. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

- Tak, ciociu Willy. Wiem o tym.

- To dobrze. Teraz zobaczymy dziecko. - Przeszła przez pokój i stanęła przy łóżeczku. - Hm. Spory, prawda? Nie ma szans udawać, że jest wcześniakiem.

Pru ukryła rozbawienie.

- Nawet nie zamierzaliśmy próbować, ciociu Willy.

- To dobrze. Jedno drobne kłamstwo zawsze prowadzi do następnego i w końcu okazuje się, że jesteś w większych opałach niż pies, który przyparł do muru skunksa. Poza tym - oświadczyła Wilhelmina - to, że trochę się pospieszyłaś, nie ma zbyt dużego znaczenia. Twój mężczyzna w końcu wypełnił swój obowiązek wobec ciebie i tylko to się liczy.

- Cieszę się, że to aprobujesz, ciociu Willy. Czy wybierasz się do Pasadeny zobaczyć się z Annie i Tonym, skoro już jesteś na wybrzeżu?

- Oczywiście - odparła Wilhelmina - ale nie ma pośpiechu.

Pru zakaszłała, zastanawiając się, jak Case zniesie obecność ciotki w ich domu.

- My... my będziemy teraz dość zajęci, ciociu Willy. Obawiam się, że ani Case, ani ja nie będziemy mieli za wiele czasu, by pokazać ci La Jollę i San Diego.

- Nie ma potrzeby się o to martwić - wtrącił się J.P. -

Rezerwuję sobie przywilej pokazania pannie Wilhelminie wspaniałego kalifornijskiego wybrzeża. Pomyślałem sobie, że parę dni pokręcimy się po San Diego, a potem, bez pośpiechu, pojedziemy do Pasadeny. Wilhelmina powiedziała mi, że nigdy nie była w Disneylandzie.

Pru otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Czy dobrze słyszę, ciociu Willy?

- Mówiłam ci, że to absolutnie czarujący dżentelmen. - Wilhelmina czule zerknęła na J.P., który odpowiedział jej tym samym. - Nie mogę się doczekać tego zwiedzania.

- Mamy zarezerwowany stolik na kolację za godzinę - dodał zadowolony J.P. - Chyba powinniśmy już ruszać. Nie wolno męczyć młodej mamy.

- Racja. - Wilhelmina podeszła do łóżka i złożyła szorstki pocałunek na czole Pru. - Masz wspaniałego syna, Pru. I wspaniałego męża. Dbaj o nich, słyszysz?

- Słyszę.

- To dobrze. Wpadnę do ciebie rano, kochanie. Teraz odpoczywaj. - Poklepała siostrzenicę po ręku i skierowała się do drzwi.

- Ciociu Willy? - Pru nie była pewna, co powinna powiedzieć. Niepotrzebnie się martwiła. Wilhelmina zatrzymała się w drzwiach, a J.P. ujął ją pod ramię.

- Nie martw się o mnie, kochanie - powiedziała lekko ciotka. - Mój wiek nie niesie ze sobą zbyt wielu korzyści, ale znajdzie się jedna czy dwie. A najważniejsza z nich, to że raczej nie zajdę przypadkowo w ciążę.

Wypłynęła z pokoju i znikła w głębi holu, uwieszona u ramienia J.P., zanim Pru przyszła do głowy jakakolwiek

odpowieź. Gdy drzwi za ciotką zatrzęsęły się, zamknęła buzię, odwróciła głowę i ujrzała roześmiany wzrok męża.

- Myślę, że J.P. trafił wreszcie na swój typ - zauważył Case. -I bardzo dobrze. W końcu ja też trafiłem na swój.

Pochylił się i ucałował żonę z miłością i żarem, które ponad wszelką wątpliwość dowiodły prawdziwości jego słów.

KONIEC